

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XVII.

ROK V.

TOM I — ZESZYT I.

Styczeń.

WARSZAWA.

DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,

ulica Królewska, Nr. 23.

—

1880.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM I.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XVII.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO
ulica Królewska, N. 23.

1880.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 18 Февраля 1880 года.

SPIS RZECZY.

1. HISTORYA.

2. LITERATURA.

3. NAUKI SPOŁECZNE I POLITYCZNE.

4. BELLETRYSTYKA.

5. ESTETYKA.

6. ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

7. SPRAWY BIEŻĄCE, KORESPONDENCYE I KRONIKI.

SZALONA...

POWIEŚĆ.

Il fare un libro è meno che niente.
Se il libro fatto non rifà la gente.
Giusti.

TOM I.

Było to w samę wigilią Bożego Narodzenia roku 18.... Śnieg sypał jak to on czasem umié z zasępionego płowo nieba, powoli, spokojnie i polatując w powietrzu, gęsty, mięciuchny jak puszek, i układał się na ziemi, na gałęziach drzew, na krzewach i zeschłych roślin łodygach, coraz wyraźniéj zarysowując ich kształty na ciemnym jednostajnym obłoku, rozciągającym się nad całym widnokręgiem.

Cisza była w powietrzu prawdziwie zimowa, któréj żaden znak życia nie przerywał, nawet wrony, które opieszale się przesuwały po nad wierzchołkami drzew, leciały nieme i smutne.

Godzina była zaledwie druga po południu, a już zdawało się, że zmierzch nadchodził, tak gęsta zasłona mroków wisiała nad zachodem.

Dwór w Zamiłowie, na Wołyniu w okolicy Cudnowa i Lubaru położony, nad skalistym brzegiem rzeki, wydawał się ze swym sadem i drzewami otaczającemi, z budowlami do niego należącemi, jakby zimowa kartka z albumu wydarta... Stare tło niebios doskonale uwydatniało wszystkie pobielone szczegóły krajobrazu, jasno wychodzącego na niém, które tylko spadający śnieg jakby z na pół przezroczystéj ukazywał zasłony.

Dwór stary z dachem wysokim, przy którym się ów nizkim wydawał, ogromne topole i lipy, długie pokrycia szop, stodół i obór, nawet ogrodzenia i krzewy przy nich malował śnieg przylegając, czepiając się gałązek i ciężarem swym uginając je ku ziemi.

Z kominów dworu i kuchni podnosiły się do góry kłęby sinego dymu, którego barwa doskonale się zlewała z kolorytem niebios i całego krajobrazu.

W podwórzu, na gościńcu, w dali na drodze wiodącéj do wsi, nawet około gospody w środku jéj stojącéj, nigdzie widocznego życia nie było śladu; dym z kominów świadczył tylko, że się ludzie do chat pochowali i nie wymarli.

Od dwudziestu czterech godzin, prawie bez ustanku sypał ten śnieg spokojny, a zalepione niebo nic a nic się nie rozjaśniło, prorokowano większą jeszcze śnieżnicę, która szczęściem bez wiatru, równo spadała na ziemię, wróżąc doskonałą i trwałą sannę, bo ją poprzedziły mrozy, które grunt nawet błotnisty i oparzeliste moczary stężyły. Myśliwi cieszyli się zawczasu doskonałą ponową.

W wielkiéj izbie dworu Zamiłowskiego, zmierzch się już zawczasu czuć dawał. Była ona obszerna, choć trochę nizka i ze staroświecka niewytwornie przybrana w sprzęt wygodny. Wejrzawszy na nią, domyśléć się po niéj było można ludzi spokojnego żywota, którym u siebie dobrze było, tak że tu nic zmienić nie potrzebowali i nie chcieli. Stół, krzesła, kanapy co najmniéj wiek już jeden na bożym świecie przebyły, ale poszanowane trzymały się krzepko, i fizyognomia ich nie raziła tak jakby nowych a nieszykownych przybyszów. Na ścianach bez wielkiego rozmysłu tu i ówdzie porozwieszane obrazy, niżéj i wyżéj, jak przyszła niegdyś fantazya, miały już swe miejsce oznaczone pajęczynami i pyłem, które choć służba kiedy niekiedy obmiatała, wracały na dawne legowiska. Tak samo i wszystko co tu było zdawało się z wieków przyrosłe do miejsca i nieruchomo zadumane.

Obrazów parę wystawiały Chrystusa i Matkę Boską, inne były bardzo staremi wizerunkami ludzi dawnego kroju i stroju, nic a nic do dzisiejszych niepodobnych, tak już zczerniałemi, że z niektórych tylko części twarzy przeglądały, a płótna powydymane, popękane miejscami, popielatą warstwą pyłu przysłonięte, ledwie się w ramach trzymały.

Nie tykał ich nikt przez poszanowanie od czasu jak raz próba oczyszczania przedsięwzięta z pomocą cebuli, jednemu z pradziadków zaszkodziła.

Po kątach dużéj gościnnéj izby było komódek z bronzami, stoliczków, różnych gracików dużo, a na każdym z nich pomniejszych szkatułeczek, zegarków, skrzyneczek, koszyków, porcelany pełno; bo w obyczaju widać miejscowym być musiało co raz gdzie postawiono zachowywać od zniszczenia. Niektóre z tych zabytków dosyć były postarzałe, inne pootłukane, inne zdawały się niekoniecznie po-

trzebne i wcale nie przyozdabiające, ale miały za stare zasługi prawo przytułku i chleb, a raczéj pył łaskawy.

Jednostajne życie tego poczciwego dworu starego piętnowało się nawet na wygiętéj, czystéj, choć staréj podłodze jego, na któréj rozeznać było można zwykłe, w różnych kierunkach wydeptane ścieżki, nieco więcéj wgłębione. Trzy okna przysłonięte firankami wychodziły ztąd na podwórze, jedno w głąb' i ku ogrodowi. Wszystkie opatrzone były na zimę jak należy, podwójnemi szkłami, mchem i piaskiem w pośrodku.

Po salce téj przechadzał się z rękami w kieszeniach, z głową nieco do góry podniesioną, pięknego, wesołego dosyć oblicza mężczyzna niemłody, siwy, wąsaty, ubrany ze staroświecka, w butach do kolan i kapocie szaréj z cienkiego sukna. Głowa to była jakby z jednego z tych starych portretów wyjęta, nie naszych czasów, lat dawnych, innego autoramentu.

Każdy wiek tworzy sobie fizyognomie właściwe. Niegdyś, mimo walk, niepokojów i twardych prób losu, wielki spokój ducha i męztwo piętnowały się majestatyczną na licu pogodą. Z tych wąsatych, rycerskich twarzy starych wizerunków, których żywoty były jednym bojem i nieustannném męczeństwem, patrzy spokój taki, jakby się im śmiała szczęśliwość od urodzenia do zgonu. Nie widać w nich co cierpieli, bo znosić to umieli jako prawi bojownicy Chrystusowi i prawe dzieci ofiarnéj ziemi.

Krzyże Pańskie błogosławiono, ramiona się nie uginały pod niemi, siła była wielka, płynąca z głębi. Na dzisiejszych twarzach wypieszczonych dzieci wieku widać konwulsye jego, chorobę, słabość, niecierpliwość. Twarze są potargane, niespokojne, wystraszone, gniewne, wyzywające, nieszczęśliwe. Widać z nich, że im mało tego co daje życie... żeby im nigdy dosyć nie było...

Stary pan, Chorąży niegdyś Latyczowski (bo w tamtych stronach mieszkał za młodu), Eliasz Dorohub, należał widocznie do ludzi przeszłości, a i z teraźniejszością się godził. Sześćdziesiątków lat na nim wcale znać nie było, trzymał się prosto, wyglądał zdrowo, czoło miał pogodne i niezmarszczone, a choć Chorąstwo nosił tytularne, powiatowe i w wojsku podobno nie służył, coś w nim jakby żołnierskiego było.

Obok przezedrzwi jéjmość ze swym dworem stół do wigilii przygotowywała, uścielano siano, ustawiano snop w kącie, ludzie się krzątali i chodzili, a Chorąży sam pozostawszy, dumał niekiedy pochylając się w oknie i spoglądając na gościniec oznaczony kołkami i drzewkami, na którym nic widać nie było. Spodziewał się nim pewnie gościa na wigilią, a choć do pierwszéj gwiazdy było daleko,

zdał się już niespokojnym trochę; zdradzał się coraz częstszém wyglądaniem przez okna, w których z za gęstego śniegu ledwie na kilka stai widać było coraz mniéj wyraźnie drzewek wysmukłych pniaki.

W domu około trzeciéj już dobrze zmierzchało...

Z drugiego pokoju w białym czepku jeszcze rannym i ubraniu domowém, w fartuchu do góry podgarniętym, z kluczami u boku, wysunęła się pani chorążyna, zarumieniona ze zmęczenia, z oczyma błyszczącemi i twarzą tak jasną jak mężowska. Jejmość młodszą była znacznie od męża, dosyć jeszcze świeżą, niewielkiego wzrostu, okrągluchna, a wesołe usposobienie śmiało się jéj na ustach i oczach. Niegdyś musiała to być blondyka, bo miała jeszcze duże oczy niebieskie, i włosy posiwiałe, gdzieniegdzie płowy odcień ozłacał. Wchodząc powoli jedną ręką się w bok trzymała, jak gosposia rada z siebie i spokojna o to, że uroczysta uczta wieczorna wstydu jéj nie uczyni.

Spojrzała na męża, który się ku niéj obrócił.

— Cóż jegomość tak sumujesz chodząc, odezwała się głosem śpiewnym i miłym, w okienko spoglądasz...

Chorąży zbliżył się i w czoło ją pocałował.

— Czyż to dziw Elżusi? albo to jéjmości serce nie bije do tego samego co mnie??

Rozśmiała się jéjmość i pokazała piękne jeszcze zęby białe, które ją młodszą czyniły na oko niż była.

— Tylko się niepokoić nie trzeba, nie trzeba niecierpliwić, rzekła. Ewaryst będzie w sam czas...

— Ale bo i księdza nie ma dotąd? odezwał się Chorąży.

— Śnieg miecie okrutny, choć spokojny, dodała chorążyna, spoglądając ku oknu. Gdzie drogi wysadzane tam łatwo sobie radę dać, ale na równinach, w stepie!

Pokręciła głową.

— Sanna się już usłała doskonała, mówił Chorąży, koniom nie ma co ciągnąć, bo grudy wielkiéj nawet nie było.

— A no do wieczora jeszcze daleko, przerwała jéjmość, przyjadą w porę. Choćby się też i poczekało z opłatkiem!!

Chorąży się uśmiechnął i pociągnął ku oknu, a jéjmość weszła żywo do jadalni, gdzie właśnie przy dozorze młodego ładnego dziewczęcia, wielki obrus, tylko na podobne uroczystości dobywany, starannie służący z panną rozciągali na sianie. Panienka tak samo jak chorążyna, po domowemu jeszcze ubrana była skromnie, ale jéj i z tém dosyć było do twarzy. Nazwaliśmy ją ładną, inaczéj bowiem wdzięku jéj młodocianego, świeżego, określić trudno. Piękną

się nazwać nie mogła, brzydką nie była, a miała w sobie to, co sympatycznie usposabia i pociąga, coś dobrego i miłego w twarzyczce okrągłéj, rumianéj, parą żywych oczek rozpromienionéj, uśmiechniętemi usteczkami rozweselonéj, roztropnéj i łagodnością serdeczną tchnącéj. Figurka jéj przystawała do twarzy i godziła się z nią (bo nie zawsze natura wszystkie części swojego dzieła dobiera harmonijnie), była tak zręczna, giętka, ładniuchna jak panny Madzi świeży buziaczek, jeszcze dziecinnego wyrazu, a mimo niego poważny i już myślący.

Ustąpiła z zajętego miejsca dla chorożynéj, aby jéj pokazać jak obrus leżał; spojrzały na siebie zaspokojone. Zwieszało się go tyle ile było potrzeba, siana nie nakładł Pius za wiele, a tam gdzie się garby okazywały, panna Salomea naciskała je i wygładzała ręką, Pius z pod spodu wyciągał. Wszyscy przy téj czynności mieli oblicza tak zamyślone głęboko, tak przejęte tém co spełnili, jakby zadanie usłania stołu było niezmiernéj wagi. Panna Salomea, niemłoda już, ale czerstwa i zdrowa sługa jéjmości brała tu prym przed Piusem milczącym i akomodującym się jéj wejrzeniom i cichym rozkazom. Pius był także nie dzisiejszym sługą, a jeźli nie rówieśnikiem Chorążego, to o lat niewiele od niego młodszym, równie jak on czerstwym, a z powodu stanu kawalerskiego, jeszcze nawet okazującym pewne do resztki młodości pretensye.

— Już jegomość się o Ewarysta turbuje, cicho szepnęła chorążyna do panienki, chociaż nie ma czego, bom ja pewna, że przybędzie w porę. To tylko niedobrze, że Ewaryst do ostatniéj godziny podróż odłożył...

— A bo się tam w Kijowie nie rozpuszczają wcześniéj, a drogi kawał, i kto wié jaka tam droga? prędko odezwała się Madzia.

Obie jakoby się zmówiły, spojrzały na zegar stojący w jadalni; odwieczny szafiasty stróż porządku na cyferblacie zciemniałym z białego jakiegoś kruszcu wskazywał, że było już po trzeciéj...

— Wigilia, gdyby jak, dodała Madzia, nie gotowaby była przed piątą.

Zaczęło się zastawianie stołu...

Wśród ciszy panującéj we dworze, leciuchny szmer sanek przesuwających się po śniegu doleciał do uszu chorążynéj, która wyjrzała. Mąż jéj stał w oknie przypatrując się, ale że zaraz nie wyszedł na spotkanie do sieni już to zdawało się zapowiadać, iż nie Ewaryst spodziewany przybywał. I nim ku drzwiom pospieszył gospodarz, wszedł donośnym głosem wesołym witając słuszny mężczyzna w sukni długiéj czarnéj, oznaczającéj duchownego.

— Niech będzie pochwalony!

Zaledwie Chorąży odpowiedział, gdy ksiądz Zatoka dodał już z podobną intonacyą.

— Pokój temu domowi!

— I temu kto mówi.

Głosy się krzyżowały wesołe.

— A pana Ewarysta, nie ma? zapytał duchowny, ściskając się z gospodarzem.

— Dotąd nie ma!

Ksiądz Zatoka był w sile wieku mężczyzna, zdrowy, ospowatéj czerwonéj, wesołéj twarzy, któréj wyraz tak samo jak Chorążego malował wielki pokój duszy, z małą przymieszką jakiegoś niby szyderstwa z marności tego świata.

— Ależ sypie! odezwał się ksiądz, jeszcze kilka godzin a kopno będzie.

— Ja myślę, że to i Ewarysta opóźniło, bo w stepie, na polach, miejscami już śnieg grubo leżeć musi, a miękki jak puch...

— Pada jak z rękawa, bez najmniejszego wiatru, odezwał się gość; sanna będzie doskonała, byle się trochę utarła, i powinszować panom, bo wywózka zboża pójdzie łatwo...

— Jeżeli sanna potrzyma, odrzekł Chorąży, ja już nie jeden taki rok pamiętam, że się na Gody (Boże Narodzenie) słało jakby miało trwać wieki, a koło Nowego Roku deszcz poszedł.

— A! mało co nie bywało! zaśmiał się ksiądz, ale pan Bóg łaskaw, źle nie będzie...

Pius wyprostowany, w nowym surducie wniósł światło, bo już w pokoju dobrze ciemniło, gdy sanie pod ganek zaszły... i w domu wszystko drgnęło...

Był to ów tak tęsknie spodziewany pan Ewaryst, który w chwilę małą już wpadł żywym krokiem do pokoju i schylił się ojcu do kolan, gdy ten go za szyję chwyciwszy, do piersi swych ciągnął.

Chłop był jak wołyńska pszenica, niby kłos bujny na silnéj łodydze, mężczyzna w całém znaczeniu wyrazu, silny, zdrów, piękny, z wyrazem czystéj, pewnéj siebie młodości na licu poczciwém, rozjaśnioném w téj chwili radością niezmierną, jaką wlewa widzenie najdroższych swych i kąta najmilszego, rodzinnego, gniazdo, w którem się zrosło, z którego się uleciało.

Ewaryst podobny był do ojca, ale coś z matki miał w uśmiechu i spojrzeniu, jakby się w nim zlały dwie dusze rodzicielskie w jednę. Miło nań spojrzéć było, i ojciec też nie posiadał się z radości i matka płakała, wybiegłszy do niego, i ks. Zatoka z pobożném weselem, ze złożonemi rękami patrzał na ten obraz szczęśliwości najczystszéj,

najpiękniejszéj na ziemi, żadną nieskalanéj myślą ni namiętnością czarną.

Słowa z ust wylatywały, rwały się, plątały, nie była to rozmowa, był gwar jakiś ucieszny, weselny, jakby usta w téj chwili strzymać nie mogły milczenia, wyrazy przerywały uśmiechy, nie słuchano pytań ni odpowiedzi, cieszono się sobą...

Starym chorąztwu łzy z oczów płynęły, ocierali je ukradkiem...

Potrzeba było dość długiéj chwili na to, aby się uspokoiły te serca. Chorążyna wybiegła kończyć ubranie i myśléć o wigilii, Ewaryst siadł z jednéj strony przy ojcu, a ks. Zatoka z drugiéj, ale stary patrzał tylko na syna.

Wśród téj sceny noc się zrobiła zupełna, a choć coś na niebie księżyca było i śnieg świecił trochę, świata już mało daléj oczy dojrzały.

Godzina wieczerzy się zbliżała, i domownicy ściągać zaczęli, a Ewaryst szedł serdecznie ich witać. Pierwszym z nich był stryjeczny brat Chorążego, zubożały pan Paweł, wcale do niego niepodobny, zgięty w pół, schorzały stary z odwróconemi u oczów czerwonemi powiekami, które ciągle ocierał. Ten, że nie mógł mówić głośno, bo i na zadyszkę cierpiał, cicho ściskając Warysia błogosławił. Za nim wciągnął stary ekonom Otrobowicz, wierny sługa domu, krzyczący głośno a zachrypły i potrzebujący odkaszliwać ciągle, drab zamaszysty, wąsaty, śmiały, ale w obec Chorążego pokorny i uniżony aż do zbytku.

Od jadalnego pokoju wysunęła się naprzód pani Zbińska, zwana tu pospolicie Sędziną, daleka krewna saméj pani, podstarzała kobiécina z różańcem na ręku i wystrojona już jak na wilią z głową nastrzępioną wstążkami, mówiąca głosikiem miodowym i śmiejąca się ciągle. Siedziała ona tu na łasce u krewnych, bo wszystko straciła wielką naiwnością i nieopatrznością swoją, i tu jéj teraz nawet strzedz musiano, aby pierwszy z brzegu furfant, korzystając z łatwowierności, ostatku nie zabrał...

Na ostatek żwawo wybiegła panna Madzia, także sierotka na opiece tego domu zostająca, i jak brata, wesoło, serdecznie przywitała pana Ewarysta, rozpoczynając z nim zaraz rozmowę o podróży, w którą się i inni, oprócz p. Pawła, mieszali. Ten tylko z trudnością głowę podnosząc, krwawemi oczyma przypatrywał się chłopcu i usta mu drgały, ale mówić się nie zebrał. Ani by też cichego jego głosu dosłyszano wśród powszechnego gwaru.

Z sąsiedniéj jadalni biło już pozapalane światło do wieczerzy, stół był gotów, gdy i Chorążyna z opłatkami na talerzu, przystrojona w suknię jasną, liliową, ukazała się w progu.

Zaczęło się łamanie chlebem pańskim, życzenia i uściski, łamanie w koło, bo wszyscy się chcieli z sobą rozłamać a cóś powiedzieć z serca i do serca. Zbińska płakała dziękując dobrodziejom, płakał pan Paweł ściskając brata, który się musiał schylić do niego; Madzia téż miała łzy w oczach...

W izbie jadalnéj czekał na opłatek cały zastęp domowników, aż do najmniejszego chłopięcia, wszystkich Chorąztwo obeszli podając im opłatek i każdy do kolan się im kłaniał, mrucząc jak mógł i umiał i z ruska i z polska życzenia na Chrystusowe Narodziny.

Pius stary z opłatkiem w ustach natychmiast począł roznosić na przemiany polewkę migdałową i barszczyk postny. Rozmowa potoczyła się wesoło a ochotnie o zimie, o święcie, o roku nowym, który nadchodził i *de politicis*, bo u nas bez tego nic—świat nas tak obchodzi, jak gdybyśmy my go wielce obchodzili!! Otrobowicz miał ważną wiadomość, iż dla kawaleryi owies zakupowano, co miało oznaczać niechybną wojnę, a ks. Zatoka mówił, że słyszał o sucharach, co potwierdzało wróżby owsiane. Chorąży przypominał, iż zawsze czasu wojny na zboże się ceny podnoszą, co dla gospodarzy rzecz pożądana.

Cudnowski Aron jeździł już za kupnem, ale ile za parę dawał, nikt z pewnością powiedziéć nie umiał. Sprzeczano się trochę, Chorąży zapowiadał że w tym roku trzymać się będzie z ceną, bo w przeszłym się pośpieszył.

Wyszła tedy na stół i stara maksyma, że pierwszego kupca odpychać nie należy, zwłaszcza gdy są przykłady zmowy handlarzy między sobą.

Tymczasem Ewaryst o podróży swéj z Kijowa opowiadał panu Pawłowi. Chorążyna spytała go czy przywiózł co do Bałabuchy.

Szczupaki, okonie, leszcze i karasie, pierogi z kapustą, łamańce z makiem, kutia, wszystkie potrawy podaniowe z kolei się ukazywały, a ks. Zatoka dawał dobry przykład używania daru Bożego, bo jadł i pił aż się gosposia radowała. Prawda że, jak zaręczał, a wierzyć mu było można, od rana nic w ustach nie miał. Było to jego zwyczajem, w wigilią nie jeść do wieczerzy, a w W. Piątek pościć o chlebie i wodzie.

Butelczyna starego węgierskiego przyszła na ostatek dla konkokcyi, i z resztką jéj, po wyciągnieniu z pod obrusa przepowiedni jaki len będzie w tym roku, przeszli wszyscy do salonu.

Tu na ostatku idący p. Ewaryst spotkał się z Madzią, schylił się jéj do ucha nieznacznie i szepnął.

— Coś ci mam powiedzieć, ale ni czas ni pora?

Zdziwiło się dziewczę mocno i, wcale niepomieszane, podniosło oczy na pana Ewarysta, z tym spokojem, który świadczył, że żadne oprócz braterskiego uczucia, w sercu jéj nie postało.

Ewaryst też mówiąc to nie wyglądał na rozmarzonego, rzecz się widocznie tyczyła czegoś im obu nic tak blizkiego, aby się potrzebowali płonić i mieszać.

— Mnie? cóż to może być? zapytała uśmiechając się wesoła panienka—tajemnica jakaś?

Spojrzała w téj chwili na kuzynka, na którego twarzy postrzegła, że to co miał jéj powiedzieć nie musiało być wesołe. Strwożyła się nieco.

— Nic bardzo złego: spytała...

— Bardzo złego, nie—odpowiedział żywo chcąc skończyć Ewaryst,—ale niespodzianego coś, no.. późniéj.

Z krótkiéj téj słów zamiany widać było, iż Chorążyc z Madzią był dobrze, poufale, lecz tylko po bratersku.

Gdy w jednym kątku bawialni około butelki się skupili starsi, Chorążyna ze Zbińską i Madzią zasiadła na kanapie, powołując syna, aby się jéj spowiadał z całego swojego życia w mieście. Wprawdzie po kobiecemu i po macierzyńsku szczególniéj wypytywała o warunki powszedniego życia, o wygody, o godziny snu, pracy i spoczynku, lecz można było się domyśléć z téj na pozór obojętnéj rozmowy, że instynkt matki byłby jéj dał łatwo odgadnąć co stało po za tém, co rządziło myślą i sercem.

Ewaryst nie potrzebował ani się taić z niczém, ani odpowiedzi swych ważyć, mówił śmiało i otwarcie, bo nic taić i niczego się wstydzić nie potrzebował. Z wesołością studencką opowiadał matuli jak to się urwisowsko i po młodemu żyło w tém mieścisku, którego oboje państwo Chorąztwo nie lubili.

Ani tego wieczora, ani nazajutrz nawet, Ewaryst nie miał zręczności rozmówić się z Madzią na osobności, może też nie bardzo się z tém śpieszył.

Kilka razy dziewczę go zaczepiało, a cóż: ta tajemnica? Coś mi to pan miał powiedzieć?

— Będzie na to czas, znajdziemy chwilę stosowniejszą, to długa historya—odpowiadał jakby wahając się chłopak.

Madzia nie okazując najmniejszego zniecierpliwienia ruszała jednak ramionami i pomrukiwała sobie.

— Ciekawa rzecz—co téż to może być?

Pierwszy dzień Bożego Narodzenia upłynął nie rozwiązawszy zagadki. Dwóch szlachty z okolic Lubaru, obowiązanych panu Chorążemu przybyło w gościnę. Madzia i p. Ewaryst ciągle byli prawie zajęci, pomagając starym w przyjęciu.

Madzia jako nieodrodne dziecię Ewy była trochę zaciekawioną, lecz parę razy sprobowawszy dobyć tajemnicę z kuzynka nareście musiała powiedzieć sobie, iż rzecz była zapewne niewielkiéj wagi.

Na drugi dzień sami zostali Chorąztwo, Ewaryst już się był przed nimi wyspowiadał z najgłówniejszych spraw swych i myśli, i pod wieczór z Madzią znaleźli się w sali jadalnéj, pustéj, sam na sam, jakby umyślnie dla poufnéj rozmowy...

Ewaryst sam ją rozpoczął.

Zwykle śmiały sposób jego mówienia i żwawość dowodząca, że się nad tém co miał mówić nie potrzebował namyślać długo, trochę się zmieniły, co uderzyło Madzię.

— Dawno miałaś wiadomość od siostry? zapytał nie bardzo odważnie, oglądając się do koła.

Jakby jednego wspomnienia tego dosyć było dla strwożenia wesołéj Madzi, twarzyczka jéj dotąd promieniejąca, pobladła, zmieniła się i słowo zamarło na ustach. Potrzebowała czasu na odpowiedź przychodzącą jéj niełatwo.

— Od siostry—powtórzyła spuszczając oczy, od siostry? Pan Ewaryst wié, że od Zoni prawie nie miewam wiadomości nigdy... Mogę powiedziéć, że jéj nie znam...

A! dodała ciszéj, ja sierotą będąc, choć mi w domu waszym nigdy się to uczuć nie dało, takbym była pragnęła zbliżyć się do niéj! wiedziéć coś więcéj! niestety! téj w życiu pociechy podobno nigdy mieć nie będę.

Jakeśmy się rozstały dziećmi jeszcze, gdy mnie wzięli państwo moi najłaskawsi na opiekę, a Zonię zabrała pani Ozereńkowa, ledwie kiedy, zdala coś się o niéj dowiem, a i listów nawet nie pisuje. Siostry jesteśmy, a jak obce!

Podniosła oczy na pana Ewarysta i spytała.

— Mów pan, może wiesz co o niéj?

Ewaryst stał zdając się namyślać, patrzał na biedne dziewczę, które zasmucił pytaniem i wyrzucał sobie, iż postąpił jakoś niezręcznie.

Natura jego szczera i otwarta nie dozwalała mu kunsztownego obrotu nadać rozmowie, krótko więc pomyślawszy, znalazł najwła-

ściwszém odpowiedzićć od razu tém, na co chciał był przygotować Madzię.

— Nie będę nic w bawełnę obwijał, rzekł—bo nie umiem, Zonia jest w Kijowie.

Usłyszawszy to drgnęło dziewczę i przysunąwszy się bliżéj, zawołało natrętnie.

— Widziałeś ją! zmiłuj się! mów! Jak ona jest? gdzie? Czy uchowaj Boże nie stało się co złego? Ewaryst znowu naprożno się namyślał i ważył chwilę.

— Ozereńkowa umarła, rzekł powoli.

— Więc ona została sama, bez opieki? może bez żadnego sposobu do życia, a! panie Ewaryście, zaklinam was, mówcież mi prawdę całą, nie tajcie nic.—Ja mam męztwo, bo mam wiarę...

Ośmielony temi słowy, Chorążyc począł otwarciéj.

— Posłuchajcież jak to było. Nie nowina u nas w Kijowie widzieć na niektórych odczytach kobiéty,—Madzia przerwała żywo.

— Gdzie? na jakich odczytach? cóż to są za odczyty?

— Po prostu na lekcyach naszych profesorów, tłómaczył Ewaryst, kobiét młodych wiele teraz nawet uczęszcza na takie, na którychby ich się spotkać nie spodziewało. Nie ma w tém nic złego, ale że to nowość i że potrzeba się wcisnąć na lekcye pomiędzy samą trzpiotowatą młodzież—odwagi wiele musi mieć kto się na to waży.

— A! Boże! wykrzyknęła Madzia, bledniejąc i przysłuchując się z coraz żywszém zajęciem.

— Na jednéj lekcyi, mówił daléj Ewaryst, w pierwszych ławkach, zobaczyłem panienkę, która mnie szczególniéj zajęła; najprzód bardzo piękną i pełną rozumu twarzyczką, trochę zeszpeconą krótko obciętemi włosami...

Madzia sobie oczy zakryła.. Ewaryst postrzegł, że włosy te ją strwożyły i dodał prędko.

— Ale proszę sobie nie wyobrażać, żeby w tém było coś nadzwyczajnego.. Bardzo wiele młodych panien chodzi z krótko ostrzyżonemi włosami. Przyczyną mody być może potrzeba, bo kto sobie sam służy, ten z długiemi włosami wieleby tracił czasu...

Madzia westchnęła.

— Trzeba przyznać że, Zonia, gdyż ona to była, ma śliczną twarzyczkę, pełną inteligencyi, życia, odwagi prawie męzkiéj, mówił daléj Ewaryst. Zainteresowała mnie niezmiernie. Zacząłem się dopytywać kto była. Gdy mi nazwisko powiedziano, gdym się jeszcze imienia dowiedział, byłem już pewien, że jest siostrą waszą. Postano-

wiłem bądź co bądź się z nią poznać, aby wam przywieźć od niéj wiadomość.

Tu wstrzymał się znowu Ewaryst, Madzia zrozumiała, że się namyślał nad dalszym ciągiem opowiadania i kładąc mu dłoń na ręce—dodała.

— Poszę otwarcie! mówcie nie oszczędzając mnie; przecież, Bóg łaskaw, może tak bardzo złego nic nie ma.

— Ja złego nic nie wiem, odparł Ewaryst, ale że mi się dziwną wydała i ona i jéj życie...

Przerwał sobie nagle i dodał.

— Trzeba o tém pamiętać, kochana Madziu, gdzie i jak się wychowywała, a przytém i temperament jéj i usposobienie wcale od waszego różne...

Westchnienie łzawe prawie wyrwało się z piersi biednéj Madzi.

— Mów, panie Ewaryście, zaklinam was, ciekawa jestem a więcéj jeszcze niespokojną— nic mi nie taj..

— Ażebyś mnie lepiéj zrozumiała począł Chorążyc, muszę ci dodać to, że w naszym studenckim świecie, jak we wszystkich innych, są dwa prądy i dwa światy. Jeden idzie sobie zwolna krokiem mierzonym ku światłu, oglądając się, aby po drodze głowy nie rozbić, drugi pędzi gorączkowo, na oślep, niedobrze wiedząc dokąd, choć w najlepszéj wierze, iż ku dobru, ku jasności, ku prawdzie goni. Ja, moja Madziu, należę do ludzi spokojnych i nie chcących się awanturować; inni szturmem zdobywają, lub pragną opanować wielki cel jaki mają przed sobą.

Dowiedziawszy się o Zoni, gdzie jéj szukać miałem, poszedłem na Padoł do niejakiéj pani Heliodory Paramińskiéj, u któréj ona mieszkała. Tylko, Madziu moja, ani się dziwuj, ni wykrzykuj desperacko, gdy ci powiem jak ją zastałem.

Powiedziano mi, że tylko wieczorem znaléźć ją mogę. Trafiłem do domku Agafii Prochorównéj Sałhanowej, który mi wskazano. Tu gospodyni zaprowadziła mnie sama do pani Heliodory. Z przedpokoju już niesworny gwar jakiś i rozmowa bardzo głośna nieprzyjemnie mnie uderzyła. Zawahałem się czy wnijść i poprosiłem staréj Agafii, aby pannie Kaczkownie oznajmiła, że się ktoś z nią chce widziéć. Weszła, ja zostałem za drzwiami. Słyszałem jak mnie meldowano i śmiały, dźwięczny głosek zawołał.

— No, to może przecie tu wejść! Śmiech wesoły towarzyszył tym wyrazom.

Duży pokój na dole do którego wszedłem, znalazłem pełen dymu od papiérosów i cygar.. Z za obłoków jego zobaczyłem na kana-

pie siedzącą kobietę, średnich lat, dosyć przystojną, z głową odkrytą i włosami tak postrzyżonemi jak u Zoni, palącą papierosa i rozprawiającą żywo bardzo z kilku młodymi ludźmi otaczającymi stolik. Kilku innych siedzieli w głębi na krzesłach, Zonia spodziewając się jakiegoś gościa wyszła była nieco ku niemu. I ona trzymała cygaretkę w ręku...

Spojrzawszy na jéj minkę śmiałą i wyzywającą przykro mi się zrobiło. Postąpiłem nieśmiało krok ku niéj i powiedziałem kto jestem.

— A! bardzo miło mi poznać pana! odparła podając rękę po męzku.

Przypomniałem się jéj z kuzynowstwem, rozśmiała się.

— A! co tam! pokrewieństwo! odparła śmiało, wszyscy ludzie są sobie braćmi, a przynajmniéj być powinni.

Prosiłem, aby mi dała poznać gospodynią.

— Heldusiu—zawołała zwracając się do niéj, pan Ewaryst Dorohub.

Towarzystwo otaczające panią Heliodorę już ją musiało o mnie objaśnić na swój sposób, gdyż dosyć zimno zostałem przyjęty. Znałem zdaleka wszystkich tych panów jak oni mnie, należeliśmy do tych przeciwnych obozów, o których wspomniałem, więc nie miałem u nich łaski.

Zonia także przyjęła mnie bardzo chłodno, dosyć jéj było popatrzéć na mnie, aby poznać to o czém gospodyni podszepnięto, że należałem do ciemnych.

Uśmiechnął się Ewaryst. Madzia choć smutnie pożerała każde jego słowo, nie zupełnie zdawała się je rozumiéć.

— Towarzystwo przed chwilą tak wrzawliwe, ciągnął daléj Chorążyc, umilkło prawie, szeptano po cichu.

Dawano mi do zrozumienia, żem tu był nie zbyt pożądanym gościem.

Nie zważając na to, zacząłem wypytywać Zonię, głos zniżywszy, o nią samę. Sądziłem, że jéj to będzie znośniejszém, ale na pierwsze słowo odpowiedziała mi głośno.

— Przepraszam, przerwała smutnie Madzia, ale opisz że mi pan jak ona wygląda; ja chcę ją widziéć...

— Najprzód powiem, że jest bardzo, bardzo ładną. Oczy ciemne, śmiało patrzące, czoło dosyć wysokie, nosek mały, usta jakby nadąsane i dumne; piękne włosy choć niemiłosiernie obcięte, ale bujne, przy tém figurka zręczna, silna z ruchami trochę męzkiemi.

— Ale ja jéj jeszcze nie widzę! zawołała Madzia jakże... ona jest...

— Piękna i śmiała! powtórzył Ewaryst uśmiechając się, choć w kobiécie zawsze mnie taka jakaś rubaszność razi, jéj z tém do twarzy. Ma w sobie coś sympatycznie usposabiającego, szlachetnego, otwartego... niepodobna się nią nie zająć...

Ale słuchajże daléj—mówił Ewaryst. Gdym ją spytał co się stało z Ozereńkową. Umarła poczciwa Sędzina, rzekła wzdychając, i jéj winnam, że się bardzo o przytułek i przyszłość nie potrzebowałam kłopotać. Zapisała mi co miała, z tém przybyłam do Kijowa. Chcę się uczyć, będę się starała módz sobie na życie zarobić sama i nikogo już nie potrzebować...

Słysząc to pani Heliodora, siedząca na kanapie, dodała:

— A już to z Zoni, z jéj odwagi i pracowitości to doprawdy, przykład drugim brać, to kobiéta!

Szmer otaczających potakiwał tym słowom—Zonia się uśmiechała pogardliwie.

— Nie macie mnie z czego chwalić, odezwała się, na bezrybiu i rak ryba, tak téż i ja. Gdzie wszystkie kobiéty albo za piecem siedzą, lub się kogoś za poły trzymać muszą, wyglądam na osobliwość wielką, a w tém dziwu nie ma, tak być powinno. Dosyć nas już niewolnicami było i sługami.

— A! Boże mój! przerwała Madzia, załamując ręce i cała we łzach. Ewaryst się zatrzymał i po chwili kończył opowiadanie w krótszych wyrazach.

— Jedném słowem, moja Madziu, Zonia się zupełnie wyemancypowała... Przyjęła mnie całkiem jak obcego, i na tém się prawie skończyła nasza znajomość z nią. Spotykaliśmy się często, zaledwie mi raczyła główką kiwnąć z dala i zaraz się odwracała. Nie chciałem być natrętnym, tylko na wyjezdném zbliżyłem się raz do niéj, pytając: czy nie zechce napisać co do ciebie, albo ci co kazać powiedziéć. Uśmiechnęła się na to.

— Jeśli pan chcesz mów jéj, niech u nikogo na łasce nie siedzi, niech niczyją nie będzie niewolnicą, niech przyjeżdża tu, uczy się i wyrobi się na człowieka! Powtarzam ci jéj słowa...

Ażeby odmalować wrażenie jakie całe to opowiadanie uczyniło na Madzi, potrzebaby przypomniéć wychowanie jéj w tym spokojnym, patryarchalnym starym zamiłowskim dworze, do którego żadna nigdy nowa myśl się nie wcisnęła, gdzie wszystko nowe było uznawane złém, zepsutém i psującém, gdzie świat jeszcze toczył się odwieczną wybitą koleją...

Madzia słuchała ze zgrozą i rozpaczą w sercu. Zonia zdała się jéj zgubioną. Rozpłakała się tak, że do swojego pokoiku uciec mu-

siała. Ewaryst pożałował prawie, że jéj smutną o siostrze przywiózł wiadomość.

Nie było to jednak bez celu.

Zonia mimo swéj ekscentryczności, a może przez nią samą, zajmowała go mocno, chciał, spodziewał się przez siostrę wpłynąć na nią.

Dnia tego Madzia mając oczy od płaczu czerwone, wcale się już, pod pozorem bólu głowy nie pokazywała, a Chorążyna przypisując go potrawom świątecznym skazała ją na wszystko leczący na wsi rumianek...

Gdy rano potém wyszła trochę blada, a Ewaryst mógł się do niéj przybliżyć, najprzód starał się ją natchnąć męztwem i wytłumaczyć, że Zonia wcale nie była winną, że okoliczności popchnęły ją na tę drogę, na któréj odwaga i charakter poczciwy nie dadzą się jéj obłąkać.

— Zrób jedno, odezwał się w końcu, napisz do niéj jak do siostry, nie dając jéj poznać, żem ci ją odmalował trochę zdziczałą i dziwaczną, napisz jéj od serca, długi list. Jestem pewny, że on na niéj uczyni wrażenie.

— A! mój panie Ewaryście, odparła Madzia pokornie ręce składając. Pisać! ja! ale czyż ja potrafię tak napisać do niéj, aby mój list.. A! nic! nic! Ja pisać nie umiem. Gdybym ją widzieć mogła! klęknąć, zapłakać, uścisnąć, toby może poskutkowało, ale pisać!! Nie! nie!

Jednakże myśl poddana przez Ewarysta utkwiła w niéj. Innego dnia zapytała go, jakby to należało pisać.

— Zupełnie tak jakbyś do niéj mówiła, odparł kuzyn. Nie trzeba nic a nic wyszukiwać, nic a nic układać, dozwolić sercu, żeby dyktowało, a choćby wyrazy nie szykowały się bardzo udatnie, list przemówi do niéj, serce uderzy...

Spojrzała na niego Madzia i ruszyła ramionami.

— Ale ja listy piszę okropnie! dodała. Gdzie to tam kobiécie się brać do pióra!

Z tém się rozeszli, lecz ktoby był podpatrzył Madzię zaryglowaną siedzącą w swoim pokoiku wieczorem, przy łojowéj świeczce, myślałby może, iż zakazany jakiś bilecik pisze, tak go i łzami skrapiała i porywała się do pióra namiętnie i rzucała je rozpaczliwie, kilka ćwiartek leżało zasypanych literami, z których znaczna część była pokreślona potém i pozamazywana.

Po téj do pół bezsennéj nocy powiedziała nazajutrz spotkawszy się z Ewarystem.

— Próbowałam pisać, ale co to warto? Na nic. Gdybym mogła pojechać do niéj do Kijowa, byłoby wcale co innego.

— Wiesz przecie, że to być nie może, przerwał Chorążyc, a przezemnie list posłać, jakikolwiek bądź, potrzeba koniecznie.

— Koniecznie? zapytała Madzia.

— Cóżby to znaczyło, gdybyś wiedząc o niéj odemnie, słowem się nie odezwała? odparł Ewaryst.

— Ależ i ona mogła napisać do mnie? nieśmiało odezwała się Madzia.

— Mogła, i nawet myśl tę jéj poddawałem, ale.

— Coż ona powiedziała?

— My się nie znamy, jesteśmy sobie zupełnie obce, co ja do niéj pisać będę? Kłaniaj się jéj pan ódemnie jeśli chcesz...

I że ona tak mnie zbyła, nic w tém dziwnego, wedle jéj pojęć nie ma nic złego w odpowiedzi. Gdybyś ty się okazała obojętną moja Madziu...

— To, napiszę! odezwało się dziewczę posłuszne.

Przez cały ciąg pobytu Chorążyca u rodziców, trwały i narady o ten list i ciche o Zoni rozmowy.

Panu Dorohubowi jednak i Chorążynie nie mówiono nic o Zoni, ażeby ich tém nie martwić na próżno.

Po trzech królach traf przyniósł szlachcica z pod Wasilkowa, z okolicy właśnie w której Ozereńkowie mieszkali. Pani Chorążyna, która się Madzią zaopiekowała, zawsze pamiętała o jéj siostrze i utyskiwała nad tém, że ją zabrała Sędzina, nazywała to nawet rozbojem i gwałtem, gdyż miała zamiar obie sieroty wychowywać razem.

Szlachcic pan Weryha, daleki krewny Chorążego, miał sprawę w okolicy i zwyczajem szlacheckim u krewnego obrał sobie fundum. Wieczorami rozmawiano o najrozmaitszych sprawach i ludziach, byle czas jakkolwiek przepędzić, Chorążyna nie mając już o co spytała o Ozereńkowę.

— A cóż tam Sędzina Ozereńko, nie wiecie co się u nich dzieje?

— Sędzia zmarł, to pani Chorążyna pewnie wiesz. Sędzinie po nim niewiele zostało, a ładu u nich nigdy nie było. Biedowała chorowała, gryzła się, no, i zmarło się téż jéj nie tak dawno.

Dorohubowa ręce załamała.

— A z wychowanicą jéj, siostrą naszéj Madzi, cóż się stało? zawołała z przestrachem.

Szlachcic dziwną zrobił minę.

— Ozereńkowa jéj podobno zostawiła po sobie wszystko co tam było... choć niewiele tego się zebrało.. Pojechała z tém, słyszę, do Kijowa.

Stary wąsa pogładził, uśmiechnął się i nie dokończył. Widząc wchodzącą Madzię, Chorążyna dała mu znak, aby milczał. Niespokojna potém schwyciła Ewarysta do kąta.

— Słuchajże co Weryha powiada, szepnęła mu, wszak to Zonia podobno po śmierci Ozereńkowéj, któréj się zmarło, pojechała do Kijowa. Czyż ty tam o niéj nic nie słyszał?

Ewaryst tak był przyzwyczajony mówić przed rodzicami prawdę, iż w pierwszéj chwili zarumienił się i zmięszał. Kłamać nie mógł a całéj prawdy mówić nie chciał.

— Słyszałem, że ma być w Kijowie, i że się czegoś uczy, sposobi do czegoś... dobrze nie wiem, odparł Chorążyc... Chciałem się nawet o niéj dowiedziéć coś więcéj, ale mi trudno było i czasu zabrakło...

— A! to nie do darowania doprawdy, odezwała się matka łagodnie. Przecież to siostra rodzona Madzi. My nie możemy ją tak opuścić. Sama jedna, nie mająca żywéj duszy na świecie, taż to marnie przepaść może! To się nie godzi! My byśmy ją wzięli!

Ewaryst znalazł się w trudném położeniu, nie mogąc wyjaśnić dla czego wziąć ją nie było podobna. Dodał tylko, że za powrotem się dowié o niéj więcéj, że słyszał, iż była u pani jakiéjś itp.

— Nic że ty o tém nie mów Madzi, aby się nie martwiła, dodała Chorążyna, ja się z jegomością naradzę a trzeba coś na to zrobić, aby biedna dziewczynina nie przepadła...

Rozmyślał już Ewaryst, czy ojcu nie powiedziéć prawdy całéj, gdy Chorążyna uprzedziwszy go, już się z nim naradziła i postanowiono, aby ona syna odprowadziła do Kijowa dla zabrania Zoni. Stary Dorohub nie czynił najmniejszéj trudności w przyjęciu jéj pod swą opiekę, znajdował tylko, że kto wié czy to dla Madzi dobrém będzie, gdy nie wiadomo jak wychowana siostra do jéj towarzystwa przybędzie. Chorążyna trafną znalazła tę uwagę.

— To prawda, rzekła, że po wychowaniu u tych Ozereńków nic bardzo dobrego się spodziewać nie można, ale natura poczciwa nie powinna się była dać zepsuć,

— Zepsuta czy nie, odparł Chorąży, zawsze inaczéj ona pewnie wygląda niż poczciwa Madzia, starsza od niéj o rok, nie bez tego żeby na nią nie wpływała. Możemy jéj nie wyratować, bo już w tych latach przerabiać ją trudno, a Madzi zaszkodzić. Niech no jejmość pomyśli dobrze.

Myślano, roztrząsano, spierano się po troszę dni następnych, a że i Ewaryst brał udział w rozmowach nie trudno mu było zmienić matki postanowienie a przynajmniéj wykonanie jego odroczyć. Zgodzono się na to, ażeby Ewaryst powróciwszy starał się bliżéj dowiedziéć coś o Zoni i doniósł czy Chorążyna ma po nią przyjeżdżać, albo w inny sposób starać się jéj być pomocną.

Tym sposobem wszystko zostało w zawieszeniu. Madzia tymczasem ogromny swój list do siostry przygotowywała.

Rzeczą było dziwną, że ona co pióra nigdy nie trzymała w ręku, chyba dla przepisania jakiéj recepty gospodarskiéj, modlitewki, albo zanotowania bielizny idącéj do prania, gdy raz poprobowała téj rozmowy z siostrą na papierze, prawie namiętnie się nią zajmowała i wszystkie wolne godziny jéj poświęcała. Biegała zamykać się w swoim pokoiku, bazgrała, przepisywała, poprawiała, odczytywała, popłakiwała przy tém i los tego pisma tak ją obchodził jak nigdy jeszcze nic w życiu.

Prawda, że sieroctwo zwiększało przywiązanie do siostry i troskliwość o nią, że to serce piszące było miłości pełném ku nieznanéj biednéj, opuszczonéj Zoni, lecz i tajemnicze działanie myśli oderwanéj od człowieka, wracającéj doń w odzieży słów, niby dziecięcia własnego odzywającego się do rodzicielki, przyczyniało się téż do wrażenia jakie list na nią wywierał.

W wigilią wyjazdu Ewarysta arkusiki były odczytane raz jeszcze, ponumerowane, poskładane i zapieczętowane jak najnieforemniéj. Madzia w sekrecie oddała je drżącą ręką Chorążycowi, prosząc, aby uchowaj Boże nie zgubił, a postarał się koniecznie o odpowiedź, Chorąztwo ze swéj strony polecili synowi, żeby się o Zonię dowiedział i szczerą im o niéj napisał prawdę. Sama pani myśląc o biednéj sierocie popłakiwała; serdecznie pragnęła ją zabrać do siebie, a lękała się razem nie już utrapienia i niepokoju w domu, lecz wpływu siostry roztrzpiotanéj na Madzię. Tak ją sobie wyobrażała pani Chorążyna, wiedząc, że ów dom Sędziego Ozereńki bardzo był otwarty, gościnny, ożywiony do zbytku, a o tém co się tam działo za żywota jego, różnie jakoś mówiono.

(C. d. n.)

J. I. Kraszewski.

ZAJĘCIE GALICYI.

I.

Z początkiem Maja r. 1772 stał znaczny korpus konfederacki nad samą granicą węgierską za Duklą, dowodzili nim: Imć. Pan Radzimiński, marszałek sanocki, Zyberk, marszałek inflancki,—Szymoński, regimentem wojska Komputowego (tak zwanych Barskich), Stawuszewski, regimentarz przemyski, Falkowski, konsyliarz wołyński, Kadłubiński i Francuziewicz, pułkownicy konfederacyi W. X. Lit., i Suhak, regimentarz sanocki.

Czternastego Maja przybywa do nich oficer austryacki od majora Fabri i wzywa w imieniu komenderującego generała Esterhazego, aby umykali od granic węgierskich, jeżeli nie chcą być atakowani po nieprzyjacielsku.

— Stoimy we własnym kraju odpowiedzieli marszałkowie i regimentarze i nie robimy żadnych hostitates sąsiedniemu państwu.

Oficer odjechał, ale niebawem ruszył IMPan Fabri, major od huzarów, z piechotą, armatami i jazdą, i wkroczył w granice Polski. Tymczasem jednak cofnęli się marszałkowie na inne miejsce,—na dawném obozowisku pozostała tylko mała ilość ludzi. Jednego z nich zapytano się, gdzie są marszałkowie? a gdy się składał niewiadomością „nieprzystojnie był traktowany" i przymuszony, że wojsko majora prowadził na konfederatów. Innych rozbrojono, zabrano broń na 116 ludzi i 500 mundurów.

Marszałkowie cofnęli się tymczasem na drogę ku Dukli i stanęli z wojskiem na pagórku. Fabri ruszył za nimi a podstąpiwszy pod ich stanowisko żądał rozmowy z dowódzcami. Wyjechał p. marszałek sanocki i pytał: coby to wkroczenie znaczyło? Major oświadczył się z dawną dla niego przyjaźnią i wynurzył mu swój żal, że musi postępować z nim po nieprzyjacielsku, jeżeli wojsko konfede-

rackie dobrowolnie nie odstąpi od granic węgierskich, i jeżeli do innych komend konfederackich nie wyda ordynansu, aby z pogranicznych gór schodziły. P. marszałek chciał się odnosić do generalności, oświadczono mu wszakże, że generalność już wraca w granice Polski, i nie pozwolono do niéj apelować.

Widząc, że przyjśćby musiało do potyczki, a nie chcąc „zerwania przyjaźni z cesarzem Imcią“ zaczął się marszałek cofać.

— A gdzie mają swe stanowiska inne dywizye p. marszałka? zapytał go jeszcze Fabri.

— *In mea terra sanocensi*, odpowiedział Radzimiński.

Jam non vestra, *sed Cesareo majestati*, odrzekł znów major, i kazał naprzód ruszać konfederatom.

Gdy zeszli z góry, otoczyło ich wojsko austryackie i prowadziło do Barwnika, a ztamtąd pod Duklę, siedzibę Mniszchów. Tam dopiéro powiedział major.

— Nie chcę robić wstydu, abyście pod aresztem do miasta byli wprowadzani, maszerujcie wolni, ale się nie zatrzymujcie w Dukli, abym was tam nie zastał.

Wojsko więc konfederackie przeszło nagłym marszem przez Duklę, za nim zaś Austryacy, przy odgłosie kotłów i muzyki regimentowéj.

Nie wszyscy jednak konfederaci posłuchali rady majora, aby się w Dukli nie zatrzymywali, kilku pozostało dla sprawunków, tych więc wojsko z miasta rugowało, a gdy pp. Golejowski towarzysz komputny i Komorowski starosta do broni się porwali, okuto ich w kajdany i zabrano sprawunki.

Wojska austryackie miały rozkaz wkroczenia w pograniczne powiaty Polski, bez żadnych szczegółowych instrukcyj. Cesarzowa Marya Teresa ciągle się jeszcze wahała, co czynić z tą „nieszczęśliwą“ okupacyą, jak ją nazywała, nawet Kaunitz nie miał wyrobionego zdania, jeden cesarz Józef naglił na matkę i na ministra o przedsiebranie stanowczych kroków, a mianowicie: o jak najrychlejsze zajęcie w Polsce ważnych strategicznych punktów, aby się tam nie dać zbyt wzmocnić Rosyi i Prusom, które już znaczną część Polski miały w swéj władzy.

„Jeżeli Rosya i Prusy cofną swoje wojska,—pisał cesarz Józef do Kaunitza,—i my tak samo zrobimy, w przeciwnym jednak razie konieczność i dbałość o własne bezpieczeństwo nakazuje nam, żeby się zastosować do postępowania tamtych dwóch państw.“ Cesarz życzył sobie, aby Kaunitz uwiadomił o tém rząd polski. Minister odradził na razie pisania demonstracyjnéj deklaracyi, o którąby się sąsiednie państwa mogły obrazić, sądząc, że powody wkroczenia

do Polski późniéj określić się dadzą. Na teraz zgadzał się na to, aby wojska wkroczyły do Polski, nie ogłaszając żadnego manifestu (1).

Major Fabri też nie usprawiedliwiał swoich kroków, ale nazajutrz po wkroczeniu do Dukli (17 Maja) wysłał do zamku, aby pan Mniszech jenerał wielkopolski delegował kogoś ze swego ramienia do słuchania ordynansów generała Esterhazego. Zwołano też magistrat, kahał i pospólstwo miejskie.

Gdy się wszyscy zgromadzili, a z zamku przyszedł pan komisarz Pobilski odczytano po łacinie dla katolików a po niemiecku dla żydów ordynans, aby się nikt nieważył ani Konfederatów, ani Rosyan przechowywać pod karą stu plag i wiecznego więzienia jeżeli plebejusz, a jeżeli szlachcic: pod karą pieniężną i więzienia.

Po wydaniu tego rozkazu przystąpiła austryacka komenda do spisania „domów, gospodarzy, dzieci, służących i wszelkich ludzi" a konfederaci złączyli się w Wietrznem z pułkownikiem Rudnickim, a tam naradziwszy się udali się na noc do sąsiedniéj wioski, do Kobylan. Nazajutrz pociągnęli w głąb' kraju, do Jedlicza, marszałkowie zaś w Gliniku radę złożyli i ex resultate téj rady wysłali dwóch z pośród siebie, to jest pułkownika Francusiewicza i Czyżewskiego, kapitana leibgwardyi, do komenderującego generała wojsk austryackich z następującą instrukcyą.

1-o Imci Pwie delegaci oświadczą, że wszystkie traktaty przymierza, sojusze z Cesarzem Imcią, Rzeczpospolita wiernie zachowuje, ani żadnych hostilitates w krajach cesarza Imci nie czyni, oświadczą oraz wdzięczność za dozwolone dotąd asyllum w cesarskich krajach, nawet cesarza Imci upraszać będą o rezolucyą, dla czego we własnym kraju nie mają spokojności od wojsk cesarskich.

2^0 Żądać będą uwiadomienia, czyli wojsko austryackie wkroczyło jako przyjacielskie Rzeczypospolitéj Polskiéj, czyli jako sprzyjające potencyi Rosyjskiéj i z nią trzymającym Polakom.

3^0 Prosić będą, aby hostilitates były zaniechane, dopóki rezolucyj od generalności nie odbierą itd.

Z taką więc instrukcyą pojechali delegaci z trembaczem do Dukli, zgłosili się do majora i żądali przepuszczenia, celem udania się do kwatery komenderującego generała. Tego im jednak odmówiono i dano odpowiedź, że sam generał nie wié, po co wojsko austryackie weszło i kraju nie odbiera: kazano mu tylko rozciągnąć

---

(1) Arneth: Geschichte Maria Theresias VIII. 382.

kordon o cztery mile od austryackich granic i czekać ordynansów do 4-o Czerwca.

— Przyczyną naszego wejścia,—dodał major, sami wasi marszałkowie, że się po naszych granicach wieszali, a Rosya na nich tam napadała. Chcecie się bić, to się bijcie we własnym kraju. Więcéj nie mogę wam dać żadnéj odpowiedzi, a jeżeli życzycie sobie pisać, to piszcie, ja pismo odeślę, ale samym pojechać nie pozwolę. Delegaci chcieli się widzieć z p. generałem Mniszchem, dozwolono im zatém na kwadrans pójść do zamku.

— Potrzebuję także, rzekł Francuziewicz,—żeby mi krawcy miarę wzięli, a na to i na wizytę u p. Mniszcha kwadrans nie wystarczy.

— Krawiec może brać miarę, odpowiedział Fabri, podczas rozmowy WPana z p. generałem.

— W Polsce nie ma tego zwyczaju odciął znów konfederat,— aby krawcy brali miarę na suknię wtenczas, kiedy z kim godnym mówimy.

Nie uzyskawszy wszakże przedłużenia terminu poszli delegaci do zamku, a gdy się nieco dłużéj zabawiali, chodząc po ogrodzie, wpadł huzar na koniu, a wołając po słowacku:

— Hybaj konfederat! wyprosił ich nie zbyt grzecznie z ogrodu i wracać polecił (1).

Delegaci wrócili do obozu pod Łęki, a panowie marszałkowie nie wiedząc co daléj czynić rozchodzili się na dalsze kwatery.

Po kilku dniach odwołała komenda wojsk austryackich majora Fabrego do Węgier, a przysłała do Dukli nowego dowódzcę, majora hr. Klebersberga, który wezwał urzędników grodzkich, aby rozpisali potrzebne dla wojska furaże. Przyjechał vice-starosta biecki p. J. Łętowski, ale że z furażami szło leniwo, więc major zamknął go do aresztu. Składał się pan Łętowski, że mandat winien wyjść od samego p. Starosty, którym był Stanisław Wilhelm Siemieński, wypuszczono więc szlachcica, ale kazano oblatować w grodzie Bieckim mandat cesarski, aby w przeciągu czterech dni lustracya wszystkich miast i wsi powiatu była przeprowadzona. Akt lustracyi miał wykazywać ilość znajdującego się w każdéj miejscowości bydła, zboża i furażu, z dołożeniem jak wiele potrzeba zostawić gospodarzowi do wyżywienia a ile będzie można przystawić dla cesarskiego wojska, *ergo futuram paratam solutionem.* Rozkaz podnosił wyraźnie, że od konskrypcyi żadne dobra nie są wolne, ani pańskie, ani plebańskie,

---

(1) Cały opis vide Ręk. Ossol. L. 572 str, 230.

ani też klasztorne. Komendant dodał lustratorom oficerów prowiantowych a dwóch komisarzy kazał wydelegować do swojéj kwatery, aby prowadzili wojsko, którędy będzie potrzeba, i żywność wcześnie obmyślali.

— Proszę IMPana—dodawał komendant, nie czynić w tém żadnéj ekskuzy ani trudności, a komisarze mają się u mnie w Dukli stawić o godzinie 9-téj z rana, na dzień 18 b. m. (Maja), a gdyby się nie stawili odpowiedzielibyście mi JWPan i WPan Łętowski za to, i byłbym przymuszony mimo estymacyi, którą winienem WPanom, obydwóch ściągnąć do siebie i tak długo przytrzymać dopókiby komisarze nie przybyli.

Nakoniec upraszam WPana nauczyć mnie, do kogo się mam referować w przypadkach nagłych i potrzebach dla wojska zachodzących, ponieważ jedni mówią, że to jest we władzy WPana czynić rozporządzenia w Jego powiecie, drudzy zaś mnie upewniają, że to jest *onus* IMc Pana Łętowskiego jako komisarza powiatu, mającego zupełną moc, *a nobilitate* sobie nadaną. Na tak stanowczy rozkaz poparty już doświadczeniem, które p. Łętowski przebył przed kilkoma dniami w Dukli, zabrali się urzędnicy spiesznie do czynności. Daléj że mianować lustratorów, rozpisywać rozkazy. Mianowano następujących panów: Strzyżowskiego i Jaworskiego, Sobolewskiego i Leśniowskiego, Potockiego *v* Rudkowskiego, Pohoreckiego i Działeckiego, Romera i Chmielowskiego, Górskiego, pisarza grodzkiego, i Wiktora, Głowackiego i Wybranowskiego, Chęcińskiego i Wybranowskiego, Biesiadeckiego i Małeckiego, Witowskiego i Krzeczowskiego, Boguszewskiego stolnika i Lubowskiego. Zaczynajcie więc WPanowie, pisze do nich p. Starosta, jak najprędzéj tę robotę i kończcie, abyście przykréj w domach własnych unikli egzekucyi. A jeżeliby w którém miejscu, wsi, probostwie lub plebanii przez zabronienie czyjekolwiek ta lustracya skutku nie wzięła, więc pp. lustratorowie przez kogo będzie opozycya nanotowawszy w rejestrze swoim, niezwłocznie komendzie w Dukli stojącéj raportowali.

Uzyskawszy w ten sposób jaką taką podstawę swoich operacyj nie czekał Klebersberg na dalsze rozkazy, ale wyprawił zaraz oddział wojska pod dowództwem kapitana Rosattiego drogą ku Pilznu, pomimo że to miasteczko już nie o 4, ale o 10 mil leży od węgierskiéj granicy. Komendy wojskowe wiedziały zapewne, że jeżeli przyjdzie do dalszego zajmowania kraju, to główna armia wkroczy do Szlązka i że w ten sposób z Pilzna ku Tarnowu będzie jéj można podać rękę. Rosatti nie zastaje w Pilznie żadnego z urzędników, wydaje mandat w imieniu cesarza, pisany po polsku, nakazujący podobnież jak najspieszniejszą lustracyą powiatu, zabraniający sprzeda-

ży czegokolwiek, coby na potrzebę wojsk cesarskich przydać się mogło i obiecujący płacić za dostawione produkta według cen, jakie w kraju istnieją.

Resztki konfederatów błąkały się tymczasem po wsiach i na swoję rękę wybierały rekwizycye. Oddział, liczący około 200 ludzi, naszedł nocą na dwór p. M. Łętowskiego, brata wice-starosty, wyjadł wszystko co tylko we dworze i w całéj wsi było do zjedzenia, zabrał mu trochę zboża, parę koni, i tak dokuczył obywatelowi, że biedak musiał kupić owsa dla wojska austryackiego, gdyż własnego ziarna już nie miał. Z tego zdaje się powodu wydał zaraz major Klebersberg mandat, że „ponieważ już tylko garstka rabusiów pod imieniem konfederatów w pobliższych wsiach pozostała, a reszta podług zaszłéj z Rosyanami umowy pod Częstochową ściągać się powinna“ przeto, aby ich łapano „jeżeliby piéniądze, bydło, lub inną żywność wybierać chcieli“ i odstawiano do austryackiéj komendy.

Pomimo że p. Klebersberg tak już w kraju gospodarował i tak się urządzał, ludność nie widziała jeszcze jak daleko sięga cel okupacyi, i czy takowa jest tylko chwilową, czy też w stałą ma się zamienić.

Tutaj znowu cesarz Józef stał się sprężyną, która miała uchylić wszelkie ułudy i możliwe nadzieje. Pomimo że rokowania z Petersburgiem co do zajęcia Polski przez Austryą nie były bynajmniéj ukończone, przecież uważał cesarz za potrzebne, dostawszy nareszcie pozwolenie matki, wydać już z końcem Maja daleko sięgające rozkazy do armii. Świadczy o tém list cesarza, pisany po francuzku do marszałka Lasy, zachowany w wiedeńskiém ministeryum wojny.

„Kochany marszałku,“ pisze cesarz, „chociaż kuryer wysłany do Petersburga jeszcze nie wrócił, przecież Jéj Cesarska Mość skłoniła się dzisiaj do rozkazania mi, abym cię uwiadomił, że uważa za konieczne, aby wojsko nasze jak najprędzéj wkroczyło. Rozkażesz więc, tak na Szlązku jako też i na Węgrzech, aby wojska w miarę jak przybywać będą natychmiast do Polski wkraczały. Przedewszystkiém trzeba natychmiast zająć obydwie saliny. Polecisz też Altonowi, aby wziął ze sobą infanteryą, jeżeli mu potrzeba, zaprzysiągł *ad interim* urzędników (salinarnych) i rozkażesz, aby daléj eksploatowano kopalnie i sprzedawano sól jak dotąd. Rozumié się, że piéniądze ztąd pochodzące trzeba będzie składać w osobnéj kasie i nie wydawać ich więcéj królowi, od dnia okupacyi. Jeżeliby Esterhazy mógł natychmiast z kilkoma batalionami i jednym, albo dwoma regimentami huzarów, ruszyć i zająć Lwów, byłoby to korzystném, aby te dwa punkta były przez nas zajęte, zanim różne przedstawienia nie zdołałyby nam przeszkodzić, albo uniemożliwić wykonanie

tego zamiaru. Zresztą niepotrzebujesz już oczekiwać innych rozkazów i możesz polecić Hadikowi i Altonowi, aby jak najśpieszniéj działali. Adieu que les eaux vous fassent grand bien. Józef 25 Maja 1772.“ W skutek tego listu wydał Lasy natychmiast potrzebne rozkazy tak, że przed 10-tém Czerwca korpusy już były gotowe do wkroczenia, jeden na granicach województwa Krakowskiego od Szląska pod wodzą generała d'Altona, drugi pod wodzą generała Esterhazego przy wąwozach karpackich, prowadzących ku Stryjowi. Korpusy postępowały naprzód bardzo szybko, Alton w 10.000 żołnierza zajął już 11 Czerwca Wieliczkę, Lanckoronę i szturmował wraz z Rosyanami do Tyńca, Esterhazy tego samego dnia był w Stryju.

— Wojska austryackie przechodzące, pisze wtedy jeden obywatel z Sambora, a rosyjskie wychodzące tak mnie teraz zatrudniły, że Bóg widzi momentu nie mam wolnego. Generał wojsk rosyjskich Kamiński dziś spodziewany, a Esterhazy generał austryacki jutro, słowem, zawrot głowy mi nie ustaje w tych nowych konjekturach.

Konjektury się rozjaśniły w ostatnich dniach Czerwca, komendy austryackie ogłosiły bowiem następującą deklaracyą J. cesarskiéj Mości.

— Ponieważ Najjaś. Cesarz Imć rezolwował się przy oblokowaniu wojska kraj Polski przyjąć i wziąć w swoję protekcyą, zaczém mocą tegoż łaskawego umysłu mnie generalnemu komendantowi przy wkroczeniu wojska cesarskiego każdemu z osobna wiadomo rozkazał uczynić, aby nikt z obywateli jakiéjkolwiek godności i kondycyi swojéj nie wyzuwał się ani oddalił się, ale jak przedtém, tak i teraz przy godności, urzędzie, funkcyi, profesyi swojéj zostawał i publikować mającéj się téj dyspozycyi jako najpilniéj zadość uczynił.

Poczém wszyscy obywatele wszystkie bezpieczeństwa, protekcyą, tak jak inni poddani w państwach dziedzicznych J. C. Mości spodziewać się mają. Która to niniejsza dyspozycya cesarza Imci, aby po miastach, miasteczkach, wsiach obwieszczona i publikowana była obywatelom, przez mających zwierzchność, i onéj zadosyć się stało zaleca się. Dla czego gdyby kto z poddanych wyprowadzający się z kraju przez wojskowych był spotkany, naówczas do swego domu i pomieszkania wrócony będzie. Dan w Preszowie w kwaterze generalnéj dnia 10 junii 1772 August Gf. Hadek (1).

Komendy rozesłały ten mandat do urzędników polskich po niemiecku, i przy téj sposobności, kraj po raz pierwszy spotkał się

---

(1) Rkp. Ossol, L. 572. str, 257 i L. 331, str, 1.

z trudnościami obcéj urzędowéj mowy. Jeden taki egzemplarz doręczono pomiędzy innemi Imci Panu M. Szczepańskiemu w Bieczu. Nabiedził się z nim szlachcic, widać to z listu, który zaraz pisze do Starosty (1).

„Jaśnie W-y Imci łaskawy i osobliwy dobrodzieju! Na dniu dzisiajszym *circa horam octavam* przyszedł z Boguniowic uniwerszał od wojska cesarskiego, który starałem się przekopiować na polskie, ale patres Reformati nie mogli. Posyłam go wraz z listem do mnie pisanym.

Ktoby go zrozumiał? Kazano universał po farnych kościołach ogłosić i rozesłać aż do Jarosławia, do linii wojsk rosyjskich. Radzi więc p. Szczepański homerowskim stylem, aby ten akt,—„Jasło do Frysztaka, Frysztak do Strzyżowa, Strzyżów do Czucza, Czucz do Rzeszowa, Rzeszów do Łańcuta, Łańcut do Przeworska, Przeworsk, do Jarosławia transportowały, tylko, żeby się oryginał mógł powrócić, bom dał rewers jakom go odebrał.“

— Piszą mi także, dodaje Szczepański, o jakowychś paletach, czego ja nie rozumiem. Gdyby jednak JW. Pan ten uniwersał komu po polsku podyktował, toby się go *per districtum via cursoria* posłało.“

Stało się jak p. Szczepański radził, uniwersał u p. Starosty na polski język został przełożony i via cursoria rozesłany.

Równocześnie z uniwersałem zarządzone zostały wojskowe ruchy na wielką skalę, mające objąć mniéj więcéj terytoryum, które w Wiedniu stale do Austryi przyłączyć zamierzano. Na dniu 2 Lipca 1772 wyszedł bowiem rozkaz od generalnéj komendy, aby kolumna generała d'Alton rozciągła się od Białéj aż do ujść Sanu i Wisły, aby generał Szreder zajął Lublin z terytoryum od ujść Sanu i Wisły aż po Chełm, generał Greven od Chełmu aż do Bełza, Hadik—Lwów. Esterhazy, Atmaszy i Fabri obszar od Lwowa aż po siedmiogrodzką ziemię. Forgaszowi oddano komendę w powiecie bieckim?

W ten sposób zajmowali Galicyą Irlandczyk, Niemiec, Duńczyk Czech, Włoch, a był jeszcze pomiędzy nimi i Szkot Hamilton, którego wszakże wcześnie odwołano. Można mieć ztąd wyobrażenie z jak różnorodnych żywiołów składała się ówczas armia austryacka.

Rozkaz powyższy wyprzedzał o miesiąc postanowienia traktatu zawartego w Petersburgu pomiędzy trzema mocarstwami na dniu 2 Sierpnia 1772, według którego miał przypaść w po-

---

(1) Rkp. Ossol. L. 572, str. 267.

siadanie Austryi kraj rozciągający, się od Szlązka wzdłuż prawego brzegu Wisły aż po Sandomierz i ujście Sanu do Wisły.

Ztąd miała być pociągnięta prosta linia do Zamościa, daléj zaś przez Hrubiszów aż po Bug, a następnie wzdłuż téj rzeki i granicy Rusi Czerwonéj, aż w okolicę Zbaraża, ztamtąd zaś aż po Dniestr. Wreszcie całe Pokucie aż po mołdawską granicę miało należéć do Austryi.

Według tego planu zajmowały wojska austryackie Galicyą. Generał d'Alton zdobywszy Tyniec, zająwszy Bochnię i Wieliczkę poszedł do Tarnowa i tam stanął główną kwaterą. Władza jego sięgała daleko: od Białéj po Duklę, a ztamtąd po Sandomierz. On pierwszy wziął się szybko do tymczasowéj organizacyi kraju.

Przedewszystkiém unieważnił wszystkie dotychczasowe nominacye komisarzy powiatowych, których delegowała szlachta na żądanie wkraczających oddziałów, a wezwał powiaty, aby mu przedstawiły nowo wybranych komisarzy powiatowych, szlachtę posessionatów i kandydatów na komisarza generalnego, którego zadaniem będzie zwoływać komisarzy powiatowych na konferencye w „publicznym wojsk Naj. Cesarza Imći interesie“—Jeżeliby który z komisarzy nie przybył, zastrzegł sobie generał prawo nałożenia grzywien, tudzież prawo rozstrzygnięcia w razie różnicy zdań. Zadaniem komisarzy było rozpisywać prowianty i podwody, zakładać magazyny powiatowe, starać się o wyżywienie i transportowanie wojsk przechodzących przez ich powiaty. Niebawem przedstawiły powiaty generałowi następujących kandydatów na komisarstwa generalne: Wiktora, wojskiego krakowskiego, Michała Łętowskiego, pisarza ziemskiego krakowskiego, Jordana, podwojewódzkiego bieckiego, Ignacego Stadnickiego, starostę nowogrodzkiego, i Sobolewskiego, podczaszego mietnickiego.

Generał mianował Michała Łętowskiego z tytułem „generalis comissarius“ a oprócz tego po jednym delegacie na dwa lub trzy powiaty; i po kilku subdelegatów. Łętowski miał przybyć do Tarnowa z końcem Lipca celem otrzymania instrukcyi od generała, ogromne jednak wylewy wód zatrzymały go na milę przed Tarnowem, z tamtéj strony rzeki Białéj, tak że dopiéro ostatniego Lipca stanął z p. Jordanem, delegatem powiatu bieckiego w głównéj kwaterze. Posłuchajmy samego pisarza ziemskiego o pierwszych wrażeniach, jakie odniósł z powodu nowego urzędu.

Pisze on do swego ojca p. podkomorzego krakowskiego „dnia wczorajszego przyjechawszy do Tarnowa nie zastaliśmy JW. generała, pojechał do Partynia, dziś dopiéro o godzinie 10 byliśmy u niego,

gdzieśmy dwie godziny bawili na opowiadaniu nam funkcyj komisarskich. Dyspartymenta furażów zastaliśmy gotowe, owsa na jeden powiat pilznieński wypada na kwartał 5.000 korcy, żyta korcy 1.426, siana porcyj 66.622, słomy i drzewa znacznie, ale cyfry pamiętać nie mogę, bo nam jeszcze dyspartymentu nie oddano. Dnia dzisiejszego nie pojedziemy; raz dla nabożeństwa, druga, abyś JW. pan dobrodziéj wspólnie z JW. kasztelanem bełzkim (Ewarystem Kurapatnickim) wspólnie wniósł instancyą choć za powiatem bieckim, aby raczyli umniejszyć quantitatem zboża i sian, bo rzecz nigdy niepodobna, aby wystarczyć takowym furażom. Dziś wieczór odbiorę wszystkie in scripto decyzye. Nasze i wielu innych obywateli remonstracye odebrały rezolucyą: „Nyx z tego,“ tak ma być, jak jest ułożono, nawet nas komisarzów pociągniono do równego ciężaru. Pensyą wyznaczono dla mnie 3.000 zł., dla komisarzów powiatowych po 2.000, a jakeśmy się obrachowali, to mnie odtrąciwszy cenę furażów zostanie na drogi, na posłańców złotych 200, a JM. panu podwojewodziemu złotych 9 na rok.

Instrukcya wydana dla komisarzy nie małe na nich nakładała obowiązki; mieli oni, prócz zakładania magazynów, dostarczenia furażów i prowiantu, utrzymywać drogi w porządku, kędy wojska przechodzić miały, stawiać mosty, przysposabiać promy, a nadto po wszystkich miastach i wsiach urządzać stałą policyą miejscową. Dyspartyment rozciągał się na powiaty: sandomirski, wielicki, pilznieński, biecki, sądecki, czchowski, szczorzecki, a główne magazyny ustanowiono w Tyńcu i Tarnowie.

Pan Łętowski zwołał delegatów na dzień 9-go Sierpnia do Tarnowa i pierwsza tymczasowa organizacya województwa z ramienia władzy austryackiéj była dokonaną.

W taki sam sposób i prawie równocześnie postępowali inni dowódzcy, a zarazem wydali bardzo obszerny, z 54 pytań składający się kwestyonariusz, mający stanowić podstawę urzędowego opisu kraju. Powiatowi bieckiemu dostał się ten kwestyonaryusz po łacinie, na ręce p. Wiktora, wojskiego krakowskiego, odpowiedzieć kazano nań w przeciągu dni czterech. Tak się też stało: p. Łętowski pisarz ziemski krakowski niemało sobie głowy nałamał, ale w danym terminie, na dniu 14 Lipca 1772 cały akt wykończył. Główne pytania były tam następujące:

Do jakich religij zaliczają się mieszkańcy powiatu, i które z nich są tolerowane? Jakie obyczaje, jaki stopień oświaty ludności? Jakie duchowieństwo i ile pobiera dochodów? Z ogólnikowych odpowiedzi p. Łętowskiego na to pytanie tyle tylko się dowiadujemy, że w powiecie dwóch obywateli było protestantów a mianowicie: dzierżawca

królewszczyzny Grodny, p. Kempski, i Chrząstowski, właściciel Burzyna i Szczepanowic.

Dalsze dwa pytania tyczą się szczegółów co do stanu klasztorów i duchowieństwa. Na czwarte pytanie: jaki jest stan szkół, gimnazyów, kolegiów i w ogóle instytucyj naukowych? była bardzo smutna odpowiedź, trzeba się bowiem było przyznać, że w całym powiecie ani jednéj publicznéj nie było szkoły.

O dalszych pytaniach, aż do 10-go możnaby powiedzieć, że jakie pytanie taka i odpowiedź, cóż bowiem w czterech dniach można było napisać na szumne kwestye o usposobieniu, zwyczajach, domostwach i t. d. mieszkańców. Bardziéj już zajmującém było dziewiąte pytanie, na które p. Łętowski w ten sposób odpowiedział. „Prywatne wychowanie dzieci zasadza się na nauczeniu ich zasad wiary w domu, poczém bywają odsyłane stósownie do stanu i możności do męzkich lub żeńskich klasztorów, które szkoły utrzymują, kogo na to nie stać, wychowuje dzieci do zatrudnień gospodarskich, do służby wojskowéj, albo do rzemiosła.“

Mnóstwo dalszych pytań tyczących się geo-oro-hydrografii powiatu, handlu, gospodarstwa, ekonomicznych stosunków zbywa pisarz ziemski ogólnikami; dowiadujemy się z nich zaledwie, że w powiecie można pożyczyć pieniędzy po 10 od sta, że nie ma ani jednego doktora, ani apteki, tylko chirurdzy po miasteczkach, tudzież, że zupełnie nie ma poczt i żadnych instytucyj celem zabezpieczenia życia i mienia mieszkańców.

Wreszcie w ostatniéj odpowiedzi czytamy, że Biecz był dawniéj murem opasany, ale że obecnie mury zniszczały, i że w powiecie są następujące miasteczka, wolne królewskie: Jasło, Grybów, Dębowiec, Ciężkowice, Osiek, i dziedziczne: Dukla, Żmigród, Gorlice, Bobowa i Jaśliska, i że do powiatu należy 250 włości królewskich albo duchownych.

Odpowiedzi p. Łętowskiego nie wystarczyły komendantowi, więc jeszcze w uzupełnieniu kilka ściśle geograficznych zadał pytań, zmierzających widocznie do tego, aby módz na podstawie otrzymanych odpowiedzi sprostować niedokładne mapy. Tym razem cel został osiągnięty, a daty geograficzne i topograficzne dostarczone przez urząd grodzki nic nie pozostawiają do życzenia, sporządzono nawet bardzo dokładną tablicę, uzmysłowiającą odległości każdéj miejscowości powiatu od miasta Biecza.

Wojska austryackie jak najspokojniéj zajmowały wyznaczone powiaty i zagospodarowywały się, nie natrafiwszy nigdzie prócz w Tyńcu na opór. Szczegółowego opisu zajęcia Lwowa nie mamy, ale tyle nam wiadomo, że Hadik był tam już w drugiéj połowie

Czerwca, mniéj więcéj wtedy, kiedy d'Alton w Tarnowie, a dnia 4-go Sierpnia wydał uniwersał wzywający błąkające się jeszcze we wschodniéj części kraju garstki konfederatów, aby się rozwiązały i każdy wracał do domu, do swych zajęć. Uniwersał obiecywał nadto, że ktoby spotkał jakiego odosobnionego żołnierza bez paszportu lub świadectw i dostawił go najbliższéj komendzie, dostanie dwa złote węgierskie wynagrodzenia.

Tymczasem biedzono się w Wiedniu kogo przeznaczyć na pełnomocnika, któryby objął w imieniu cesarskiém zajęty kraj polski. Nie miano odpowiedniéj osobistości, a że właśnie wówczas bawił w Wiedniu hr. Pergen, zasłużony dyplomata w misyach na francuskim i na innych dworach, więc wybór padł na niego. Pergen znał wybornie niemieckie stosunki, ale o praktycznéj administracyi nie miał żadnego pojęcia. Zresztą i usposobienie stawiało go raczéj w rzędzie dyplomatów, aniżeli energicznych administratorów, którzyby nowo nabytą prowincyą urządzać mieli. Jeden ze współczesnych powiada o nim, że jest to człowiek, który zawsze sobie umiał poradzić z właściwą mu mądrością i przenikliwością w zawikłanych sprawach niemieckich, a przytém okazał pewną giętkość charakteru, która w dyplomatycznéj karyerze często więcéj znaczy i prędzéj wynosi na wyższe godności, aniżeli siła i prostota (Questo si é un ministroche non manca di quella destrezza, e che monstra una certa flenibilita S'animo. Renier).

Był to wybór Maryi Teresy, a nie cesarza Józefa, który jeszcze bliżéj nie znał przyszłego namiestnika Galicyi. W innych sprawach wszakże, tyczących się nowéj prowincyi, nie dał sobie cesarz nikomu wydrzéć pierwszeństwa i usposobienia, skory do inicyatywy. Jak tylko traktat podziałowy zawarty został w Petersburgu, na dniu 2-go Sierpnia 1772, i kuryer przyniósł o tém wiadomość, zaraz napisał rodzaj memoryału do matki, w którym jéj przedstawia wnioski w sprawie objęcia Galicyi w posiadanie. Memoryał (1) nosi datę 26 Sierpnia i zaleca przedewszystkiém, aby Hadikowi posłać opis granic kraju odstąpionego Austryi i nakazać, aby od téj chwili rosyjskim wojskom nie wydawano żadnych furażów jak tylko za kwitem, a pułkownikowi Scegerowi i kilku oficerom generalnego sztabu polecić, aby bezzwłocznie zajęli się wytyczeniem suchéj granicy, począwszy od Sanu i zatknięciem cesarskich orłów, w ten sposób, aby *in linea militari, politica et comerciali* jak najkorzystniejsze dla kraju pozostającego przy Austryi pozyskać warunki, i aby własności austryackich

---

(1) Ręk. Ossol. L. 525. str. 2.

poddanych jak najmniéj były poprzecinane graniczną linią. Następnie radzi Cesarz, aby Pergen wyjazd swój przyspieszył i aby natychmiast wydane było w Galicyi oświadczenie, że tak poddani greckiego obrządku, jako też i dysydenci nie będą bynajmniej niepokojeni *in libero exercitio* swych wyznań. Nieobecnych w kraju obywateli każe wezwać do powrotu, ogłosić zupełną amnestyą dla tych, którzy z bronią w ręku walczyli za swą ojczyznę, tudzież deklarować się, że ktoby, czy to z sąsiedniéj Polski, czy z zagranicy (z wyjątkiem cesarskich krajów dziedzicznych) sprowadził się do Galicyi ze swém mieniem i na gruncie osiadł, będzie uwolniony od podatków przez sześć lat. Takie uwolnienie aż do lat dziesięciu miałoby służyć rzemieślnikom i fabrykantom *cujus cumque nationis et religionis*, którzyby w miastach lub na wsi osiedli celem wykonywania swego rzemiosła. Dla zamożnych wreście gospodarzy, którzyby przyszli do kraju z bydłem lub stadem koni, radzi Cesarz krom uwolnienia od podatków przyznać jeszcze premium. Następnie stawia wniosek, aby Żydom w Galicyi odebrać wszystkie karczmy, szynki, dzierżawy opłat, i wyznaczyć termin w przeciągu którego musieliby je oddać w ręce cudzoziemców lub Polaków. Wreszcie wnosi, aby wysłać z Siedmiogrodu rozumnych salinarnych urzędników do Wieliczki, sprzedawać sól po bardzo nizkiéj cenie, wydać zakaz wywozu zboża i zakładać wojskowe magazyny. *Salvo meliori*, podpisuje się cesarz: gdybyście co lepszego wymyślili, prosimy... Memoryał ten stał się podstawą do wypracowania instrukcyj dla hr. Pergena. Zajęła się nią kancelarya nadworna, a przyjąwszy wszystkie wnioski cesarskie uchwaliła prócz nich następujące wskazówki dla namiestnika.

Jak wszystkie pisma austryackiéj biurokracyi tak i ta instrukcya w nadzwyczaj drobne wdaje się szczegóły. Co do uroczystości objęcia kraju w posiadanie postanawia, aby patent okupacyjny był także i na polski język przetłómaczony i drukowany, i aby publikacya odbyła się najprzód we Lwowie przy odgłosie trąb i bębnów, a jeżeli będzie możliwém przy trzechkrotnym wystrzale z armat i z ręcznéj broni. Następnie należy zarządzić trzechkrotny okrzyk „des so genannten Vivat Ihro Majestat als Souverainin des Landes“ jako téż wiwat na cześć cesarza jako korregenta i całéj cesarskiéj rodziny. Dobrzeby było, gdyby podczas ogłoszenia patentu można rozrzucić cokolwiek pieniędzy i wydać festyny dla ludu. Po publikacyi ma być odśpiewane solenne Te Deum. Patent poprzylepiać na bramach miasta, obwieścić w kraju z ambon, nie należy go jednak oblatować w grodach. Do objaśnienia patentu trzeba także publikować w łacińskim i polskim języku manifest, który wydadzą zgromadzeni w Warszawie ministrowie.

Całą odpowiedzialność za administracyą wkłada instrukcya na namiestnika, ponieważ jak tam powiedziano „jemu się powierza wyłączną dyrekcyą wszystkich spraw krajowych i rządowych, z wyjątkiem rzeczy wojskowych, i pozostawia mu się wszelką swobodę działania.“ Wszystkich urzędników ma namiestnik zaprzysiądz, i *ad interni* zatwierdzić *in officio*, tych jednak, których godność i władza sprzeciwia się jego władzy, a mianowicie: wojewodów, starostów, kasztelanów, zgoła wszystkich, którzyby się tutaj zaliczyć dali należy suspendować. Starostwa, wójtostwa, tenuty pościągać, w szczegółowym tylko razie płacić pensye niektórym usuniętym starostom, a innym jakie łaski przyznać.

Następują postanowienia ogólnikowe o zaprzysiężeniu ludności, o kontrybucyi wojennéj, o stosunku poddańczym. Poddaństwo należałoby po słuszności znieść, a przedewszystkiém zaprowadzić także i w Polsce Prohibita generalia i główne zasady mutatis mutandis pryncypiów urbaryalnych zaprowadzonych w Węgrzech i na Szlązku. Szlachta, któraby była w posiadaniu jakich kopalń, będzie je mogła daléj wyzyskiwać pod warunkami istniejącemi w krajach dziedzicznych, salin jednak nikt nie może zatrzymać, ale należałoby przyznać właścicielom pewną indemnizacyą.

Czy i o ile od *deductis deducendis* pozostałych dochodów z tego kraju będzie mogło być użyte na rzeczywiste w tymże ulepszenia nie da się łatwo oznaczyć, ale zawisło od potrzeb całéj monarchii i najwyższych postanowień. Instrukcya każe hr. Pergenowi starać się zaraz z początku o dobrych nauczycieli dla szkół, a przy obsadzaniu posad, jeżeli chodzi o urzędników wykonawczych nietylko obecnie, ale i w przyszłości *caeteris paribus* uwzględniać krajowców przed obcymi. Z doświadczenia okaże się, ilu będzie potrzeba radców gubernialnych i podwładnych urzędników, a hr. Pergenowi pozostawia się na razie wybór i proponowanie potrzebnych osób.

Z sąsiednią Polską należy przyjazne zachować stosunki, przytém jednak w niczém nie dać poznać, jakoby ta część kraju kiedykolwiek z Polską miała łączność, albo ją jeszcze mieć mogła. Wszystkie te postanowienia były oryginalnemi przepisami kancelaryi nadwornéj i dopiéro następne noszące tytuł, „Allershöchste Resolutions-puncte von 26 August“ mniéj więcéj to samo zawierają, co cesarski memoryał. Ponieważ jednak niektóre postanowienia uzupełniają, lub cokolwiek zmieniają pierwotną myśl cesarską, a bardzo są charakterystyczne, przeto je przywodzimy i tak:

Co do Żydów: „żadnemu żydowi, który się już w kraju znajduje nie wolno się żenić bez szczegółowego zezwolenia gubernium, pod karą wydalenia z kraju i konfiskaty majątku. Pozwolenia zaś

powyższe należy z trudnością tylko wydawać i za opłatą wysokiéj taksy. Obcemu żydowi nie wolno się osiedlać w Galicyi, istniejące zaś rodziny należy pospisywać, wymienić sposób ich zarobkowania, nie wypuszczając żadnego członka familii, każdy bowiem Żyd niefacyonowany (niezapisany) będzie bezzwłocznie z kraju wydalony.

Co do obsadzania posad urzędników: „na naczelników okręgowych władz administracyjnych trzeba wybierać ludzi o ile możności zręcznych, uczciwych, przyczém możnaby użyć Czechów, Szlązaków i tych Węgrów, którzy umieją po słowacku. Propozycye do mianowania mogą wyjść od czesko-austryackiéj i węgierskiéj kancelaryi nadwornéj. W każdym urzędzie musi być wszakże przynajmniéj jeden Polak.“

Jeden z ostatnich punktów jest prawdziwém curiosum, dowodzącém jak dalece ci panowie w Wiedniu, którzy układali instrukcyą rządzenia nową prowincyą najmniejszego nie mieli o niéj wyobrażenia. Oto ciekawe postanowienie:

„Byłoby bardzo do życzenia, żeby w pewnym czasie (binen Jahr und Tag) nikt prócz chłopów nie ubierał się po polsku. Wszystko powinno być traktowane po niemiecku, albo po łacinie, a każdy, kto tylko wstępuje w c. k. służbę, winniem być *sub conditione sine qua non* wezwany, aby przyjął strój francuski.“

Naturalnie stroju narodowego tak szybko zmienić się nie dało i ów *Jahr und Tag* przedłużył się na lat kilkadziesiąt.

W taką zaopatrzony instrukcyą wyjechał Pergen we Wrześniu do nowéj prowincyi i stanął w pierwszych dniach Października 1772, w Poniedziałek, we Lwowie. Opisanie przyjazdu namiestnika i uroczystości zaprowadzenia nowego rządu pozostawiamy listowi, pisanemu do p. Ewarysta Kuropatnickiego, kasztelana bełzkiego. Korespondent tak pisze 28 Października:

„W Poniedziałek stanął tutaj minister cesarski i nazajutrz, jak dzień, zaraz kazał przybijać cesarskie uniwersały po wszystkich bramach.

Posłał minister do mieszczan, aby przysięgali na poddaństwo cesarzowi, miasto jednak zaczęło się ekskuzować, żeśmy raz już królowi i Rzeczypospolitéj przysięgali, więc trzeba na to sejmu, aby nas od pierwszéj przysięgi uwolnił, a powtóre my jesteśmy najniższe stany i należałoby zaczynać od JW. Panów szlachty, urzędników, a natenczas i my zapatrzywszy się na starsze głowy wzbraniać się na poddaństwo cesarzowéj przysiądz nie będziemy. Sam minister tę ich ekskuzę za sprawiedliwą osądził, że od wyższego stanu ludzi początek trzeba zrobić, dał im więc pokój.

Miasto podało suplikę ministrowi, w ten sposób, aby żydom zabroniono wszystkich handlów, ponieważ oni nam wszystkie poodbierali zyski. Jeżeli nie znajdziemy litości w prośbie naszéj, gotowi jesteśmy domy nasze odstąpić i pójść ztąd. Z Panem Bogiem, replikował minister; nie jesteście nam bardzo potrzebni...

Dnia 3 Października w Sobotę rano posłał do Imci Księcia oficyała, aby była wszelka gotowość w kościele katedralnym, żeby teatrum zrobiono, żeby ze wszystkich klasztorów księża byli przytomni i żeby wszyscy biskupi, kanonicy przygotowali się do przyjęcia ministra, osobę cesarską reprezentującego, a témsamém, aby przywitano i uznano za swego Naj. Pana Józefa II cesarza. Ksiądz oficyał ekskuzował się z początku sam, że potrzeba najprzód oznajmić arcybiskupowi lwowskiemu, ale jak mu należycie pod nos nakiwano, bardzo prędko dał się nakłonić, i tak zaraz rusztowania musieli pozrzucać w kościele, pięknie je uprzątnęli, teatrum zrobili jakby dla cesarza, i taka ceremonia odbyła się w Niedzielę rano.

Wszystkie armaty wyprowadzono na wały, ulice zielem posypano, grenadyerowie ustrojeni uszykowali się we dwa rzędy, począwszy od kamienicy JO. księcia wojewody bracławskiego aż do samego ołtarza wielkiego katedralnego. Cechy z chorągwiami stały około ratusza.

Minister wyszedł od siebie bogato ubrany, z wielką paradą, przy odgłosie armat i ręcznéj strzelby, z kapeli hukiem szedł do kościoła. X. Sufragan z biskupem Bakońskim i ze wszystkimi kanonikami czekali go przy drzwiach. X. Sufragan najpierwiéj dał mu krzyż pocałować, pokropił go święconą wodą, potém wzięli go pod ręce z biskupem Bakońskim i prowadzili na teatrum. Księża ze wszystkich klasztorów rzędami, a najwięcéj było Jezuitów. Biskup miał mowę, witając ministra w osobie cesarskiéj, potém Jezuita, ale nie można dowiedzieć się, jak się zowie. Miał mowę po łacinie, a nie można jéj było dostać, tak ją zataili. Potém śpiewano Te Deum laudamus i już nie wspominano króla, ale Maryą Teresę cesarzową i Józefa II cesarza. Ludzie wszyscy, pospólstwo, które stało w rynku, musiało wołać z żołnierzami:

Wiwat Marya Teresa cesarzowa i Józef II pan nasz! Ustawicznie przytém bito z armat i ręcznéj strzelby, a kapela bardzo pięknie przygrywała. Dragonia po wszystkich ulicach jeździła i nadsłuchiwała, czy kto szemrać nie będzie, albo żeby jakiego tumultu nie było? Bramy i fórty były pozamykane, aż dopóki się wszystko nie skończyło. Po skończonéj ceremonii poszedł minister ze wszystkimi biskupami i kanonikami do Hadyka; starosty lwowskiego nie było na téj ceremonii, uczynił się chorym i żaden nie był z urzędników i oficyali-

stów. Po pana Zielonkę podkomorzego lwowskiego posłali, ale się rozchorował, a minister pomiarkował, co się znaczy, i mówił: „jak widzę, inaczéj będę musiał postąpić.“

Minister daje w ten czwartek wielki bal, ponieważ są to imieniny cesarzowéj, i wielką oświadcza wdzięczność tym, którzy z nim tę uroczystość będą obchodzili. Ma to być jakiś bal przedziwny.“

Uroczystość odbyła się według programu, który z Wiednia przysłano, a opis powyższy chyba tam uzupełnić trzeba, co Karpiński dodaje, że hr. Pergen siedział w kościele z głową nakrytą, co panią Bielską, łowczynę koronną tak zgorszyło, że się zwróciła do młodego Karpińskiego i głośno rzekła:

Czemuż W. Pan nie idziesz i temu durniowi kapelusza z głowy nie zrucisz. Zerwałem się zaraz, dodaje Karpiński, ale rozum krok niepotrzebny a szkodliwy dla mnie zatrzymał... Jak wiemy zresztą, poeta nie należał bynajmniéj do bohatérów...

Nowy rząd bardzo za złe wziął urzędnikom polskim, że nie chcieli brać udziału w uroczystości i przyjmować od niéj urzędów, i niejednokrotnie im to uczuć dawał. Jeden z obywateli pisze nawet list do króla, w którym się skarży, że za nieprzyjęcie urzędu skarbowego od obcéj władzy od téjże jest obwiniony i prześladowany, i dodaje, że będąc wyłączonym od poddaństwa J. Królewskiéj Mości „dwóch osobliwszych potencyj w sobie czując niepodległość: serca i woli“ składa je do skarbu królewskiéj prześladowanéj niewinności (1). Staroście Kickiemu podziękował król za godne wystąpienie w obec nowego gubernatora i zapewniał we własnoręcznym liście, że postępek ten tém mu jest szacowniejszy, że nie był rozkazany i że własne światło, własne sumienie, jedynym były do niego powodem“ (2).

II.

Cesarz Józef II miał wiele niecierpliwości w charakterze, która go parła do ciągłego działania. Wszędzie być samemu, o wszystkiém się naocznie przekonać, na nikogo się nie spuszczać, najdrobniejsze wydawać rozporządzenia w sprawach, które go żywo obchodziły, to były wyniki owéj żywości umysłu. Niedziw też, że i przyrost jednéj prowincyi do monarchii na chwilę mu nie dał spokoju, marzył on

(1) Ręk. Ossol. Nr. 331, str. 42.
(2) Ręk. Ossol. Nr. 331, str. 12.

niemal od czasu wkroczenia wojsk do Polski, aby być z niemi, aby wprowadzać nową organizacyą, aby wytykać granice, stosownie do strategicznych i ekonomicznych potrzeb monarchii. Gdyby nie cesarzowa matka byłby z pewnością jeszcze z wiosną r. 1773 pojechał był do nowo zajętego kraju, ale Marya Terresa nie lubiła tych ciągłych synowskich podróży, sądziła, że one niszczą jego zdrowie, była niespokojną, gdy syna w Wiedniu nie widziała. Syn jednak miał swoję wolę, i mimo oporu matki umiał ją zawsze przeprowadzić. Wyjechał 6-go Maja 1773 z Wiednia do Banatu i Siedmiogrodu, nie wyjawiając zrazu swego zamiaru udania się ztamtąd do Galicyi, i dopiéro z drogi zażądał od matki pozwolenia zwiedzenia także i nowéj prowincyi.

Cesarzowa zezwoliła wprawdzie, ale ją to wiele kosztowało. Napisała téż do syna bardzo piękny list, w którym się więcéj przebija serce matki niż wola cesarzowéj.

„Spokój mój i dobry humor, pisała z Schönbrunn 20-go Czerwca 1773, niedługotrwały. Tego samego wieczora, którego żartobliwie do ciebie pisałam przybył kuryer i w najsmutniejsze mnie pogrążył marzenie. Nie mogę bowiem z tego samego punktu widzenia co ty patrzéć, ani na tę straszną podróż (Schrekliche Reise), ani na inne, które z tyloma są połączone trudami, w których zużywasz najpiękniejsze swe lata i nietylko pozbawiasz mnie niewielu jeszcze danych mi chwil oglądania cię, ale je zmartwieniem zapełniasz. Lepiéj pomagaj mi zaprowadzać ulepszenia w tych prowincyach, które mamy pod okiem i po których już podróżowałeś. Skoro się tutaj utrwalą reformy, przyjdzie kolej na Siedmiogród i na Polskę, jeżeli jednak najpiérw temi ostatniemi zajmować się będziemy, to nię osiągniemy takich rezultatów, jakiebyśmy w tamtych osiągnąć zdołali. Przebacz mi, ale ja jestem tą, która ci prawdę powiedziéć musi. Mimo twéj bystrości umysłu i niestrudzonéj pilności jest to niemożliwém, abyś w tych dwu albo trzymiesięcznych podróżach wszystko widziéć i potrzebne wnioski wyprowadzić zdołał, przedewszystkiém zaś w Polsce, gdzie nikt ci nie potrafi dać potrzebnych wyjaśnień, najmniéj zaś tamtejsi obywatele. A zważ nadto, podczas jakiego to przejścia tam się udajesz? Ani carowa, ani król pruski dotąd tam nie byli. Widziałeś téj zimy, że król nie uważał takiéj podróży za stosowną, a przecież jesteś tak okrutnym (so grausam), aby wymagać na nią odemnie zezwolenia. Liczysz na moję czułość, która zawsze trzyma z tobą w przeciwieństwie z mym rozumem.

Nie mogąc przeciw przekonaniu żadnego powziąć postanowienia, wezwałam Kaunitza na naradę. Załączam ci jego pismo, stosownie do którego wydałam wszystkie rozkazy. Spodziewam się, że tym spo-

sobem zadość się stanie twéj woli, a Bóg niech raczy przyjąć tę ofiarę, którą nie tobie składam, ale Jemu samemu, aby pobłogosławił twoje zamiary i przedsiewzięcia. Z méj strony nie usłyszysz ani skargi, ani szemrania, wszystko to pozostanie jak zazwyczaj, wgłębi mego serca. Możesz sądzić w jakim się to serce teraz zbolałém znajduje stanie, po chwilowéj pociesze, którą mu ubiegłéj zimy sprawiłeś obietnicą, że więcéj o zamierzonéj podróży myśléć nie będziesz. Pomimo więc przytłumionych pogłosek, które tutaj przed dwoma tygodniami rozszerzano, że przecież do niéj przyjdzie, ja jedna byłam spokojną. Teraz zezwoliłam i nie chcę więcéj o niéj mówić, ale utrapień moich nie widzę końca. Muszę jednak zauważyć, że jeżeli już koniecznie chcesz w tym jeszcze roku odbyć tę podróż, to nie może być odpowiedniejszéj na nią pory jak Wrzesień. Przysięga bowiem na wierność, która jeszcze nie mogła być wykonaną (ludności galicyjskiéj) jest niczem innem jak ceremonią, gdyż w każdym razie będzie tylko wymuszoną i wydartą tym biednym ludziom (nur erzwungen und diesen armen Leuten abgenöthigt sein wird).

Dotąd nie było możliwém wysłać ci do Banatu potrzebnych wyjaśnień, tyczących się nowéj konwencyi, którą musiano natychmiast ekspedyować, gdyż Rewiczky żądał jak najrychlejszego przysłania mu nowych instrukcyj.

Gdybyś tutaj był przy mnie, wszystkoby szło lepiéj, tutaj jest twoje miejsce, ale nie w Karpackich górach. Przebacz mi; sądzisz, że za wiele uwagi zwracam na to, co ludzie mówią. W dwudziestu pierwszych latach mego panowania dowiodłam co innego, ale ty, ty za mało wagi przypisujusz do opinii, idziesz tylko za swemi popędami i za swą wolą. A ponieważ téj ostatniéj nikt się nie sprzeciwi, gdyż posiadasz dar wymowy i łatwość pióra i wspierasz je niewyczerpanemi sofizmatami i żarcikami, więc też najczyściéj osiągniesz co chcesz. W ten sposób upewniony w swych zdaniach, sądzisz, że nikt inny nie ma słuszności, albo nie zasługuje na uwagę. Przebacz mi to wezbranie serca, nie gniewam się bynajmniéj, ale smucę się i chcę cię przestrzedz na przyszłość" (1).

Podróż galicyjska stała się zatém powodem tak bolesnych słów cesarzowéj, które jednak nie musiały w niczém zachwiać silnéj woli Józefa, nie uczynił bowiem nawet tego, co mu matka doradziła, aby przynajmniéj do jesieni podróż odłożył, ale natychmiast po powrocie kuryera z Wiednia wydał rozporządzenia tyczące się swéj podróży.

---

(1) Korespondencya Maryi Teresy z cesarzem Józefem II, 9—11. Arneth II, 409.

Ze zwykłą sobie gorliwością sam je dyktował i tego samego miesiąca, jeszcze w Czerwcu, wysłał do Hadika i do Pergena do Galicyi.

W nieocenionym zbiorze dokumentów z pierwszych lat zajęcia Galicyi, znajdującym się w bibliotece Ossolińskich (1) są i te rozkazy, i rzucają nader jasne światło na młodego, swém powołaniem przejętego monarchę, który rzeczywiście chce dobra ludów poddanych jego panowaniu i ma dość siły i zdolności, aby swe myśli w czyn zamienić, a jeżeli grzeszy, to tém, co mu matka wytknęła w powyższym liście: zbytkiem ufności we własne zdanie, niezważaniem na cudzą radę.

Pozostawiając hr. Hadikowi pamięć o materyalnéj stronie podróży, pisze do hr. Pergena.

....Przedwszystkiém na tém mi zależy, aby całemu narodowi dać do poznania ducha méj podróży (der wahre Esprit meiner Reise) i odjąć mu to fałszywe mniemanie, jakobym tam jechał, aby się cieszyć z jego ucisku (Unterdrückung) i wstydu. Ludzie rozumni pojmą przecież i muszą pojąć, że podróż, którą przedsiębiorę, jest najnieprzyjemniejszą ze wszystkich moich podróży, które mógłbym kiedykolwiek przedsiebrać, albo które przedsiebrałem, i że nic innego mnie do niéj skłonić nie mogło, jak tylko nadzieja, że nietylko tamtejszéj ludności, ale całemu państwu, którego częścią jest teraz Galicya, pożytek przynoszę. A może nigdy nie zdarzy się temu krajowi chwila, w któréjbym mu mógł być tak przydatnym jak obecnie, gdy po rozdarciu i zmianie dawnych stosunków nowe mają być zaprowadzone formy rządu. Z naocznego też przekonania się i z zetknięcia się z ludźmi będę mógł powziąć o kraju lepsze wyobrażenie, aniżeli z niedokładnych dzieł geograficznych. Jestem pierwszym, któryby rad zebrać wiadomości o urządzeniach, o stosunkach, sposobie myślenia i zdolnościach ludności, aby je zużyć dla dobra publicznego i dobra jednostek. Jest to jedyna i największa przysługa, którą jestem w stanie zrobić Polakom w ich bolesném wprawdzie położeniu, ale na które nie ma rady. Ta przysługa powinna im być osłodą.... .

Jeżeli im pan sam, albo przez osoby zaufane wyłożysz te argumenta, które mi się jasne i bez zarzutu być zdają, to nie wątpie, że każdy z nich otwarcie wypowié i dowierzy mi swe skargi, stosunki i życzenia, co mi prawdziwą sprawi radość. W rzeczach, które się stały, a pomimo, że są nieprzyjemne odstać się nie mogą, byłoby zbyt nierozważném nie chwytać się środków, które złe zmniejszyć mogą, albo nawet stworzyć stałe, prawdziwe dobro. Jeżeli miesz-

---

(1) L. Inw. 525.

kańcy Galicyi opuszczą nadarzającą się teraz sposobność, mogą przez długi czas żałować swego postępowania.

W téj myśli proszę przygotować umysły, nic nie przesadzając, ani téż nie zdradzając nawet pozorów jakiejś obawy, któréj rzeczywiście mieć nie mogę, w obec tego, że kraj wojskiem przepełniony. Zresztą wszelka obawa obca jest naszemu sercu.

Ktokolwiek więc zechce może mi przedkładać memoryały, skargi i prośby.

Wypraszam sobie jednak wszelkich oznak radości jakiegokolwiekby były rodzaju, żadnych przemów, bicia we dzwony, albo innych uroczystości. Nie życzę sobie także, aby umyślnie dla mnie drogi robiono, ograniczyć się tylko należy na załataniu niezbędnych dziur i postawieniu mostów, bez których przejechać się nie da.

Pragnę wreszcie, aby mi w całéj podróży towarzyszył jaki obywatel, któryby umiał po łacinie, znał okolicę i dawał potrzebne wyjaśnienia. Niech zresztą ludzie z tego sądzą, że tam nie przyjechałem w celach wojskowych, które w istocie do ostatnich teraz należą."

Rozkaz przesłany równocześnie generałowi Hadikowi w podobnych mniéj więcéj słowach kreśli cele podróży i wolę cesarza, zawiera jednak szczegółowe polecenia co do materyalnéj strony podróży, które cechują charakter Józefa II. Przedewszystkiém niech podróż jak najmniéj przynosi kosztów, nic zbytecznego, nic paradnego, wszelkie przygotowania, to rzecz wojskowych, aby ludności od pracy nie odrywać.

Są w tych rozporządzeniach przesadne skrupuły, pociągające to za sobą, że cesarz się pozbawia bliższéj styczności z zamożniejszą ludnością. Nie chce bowiem nigdzie mieszkać po zamkach, po dworach, ale tylko po domach zajezdnych, plebaniach, lub chatach wieśniaczych. Na noclegach mają żołnierze dostarczać żywności, do kuchni każe odkomenderować 4 albo 5 uczciwych a zręcznych żon wojskowych, które mówią po niemiecku, a gdyby ich nie było, po kilku żołnierzy.

Program podróży był następujący: dnia 26 miał cesarz z Koszyc wyjechać i przez góry, na Hamonnę, Lisko, Sanok, Brzozów, Dynów, Dubiecko, Jarosław, Jaworów, Janów udać się do Lwowa, tam kilka dni zabawić, następnie objechać wszystkie ważniejsze miasta i całą linią niewytkniętéj jeszcze granicy powrócić do Lwowa, zabawić tam dłuższy czas, a następnie, na Żółkiew, Niemirów, Leżajsk, Tarnów, Bochnię, Wadowice i Białę wrócić do Wiednia. Plan czynności tak był wypracowany, że cesarz żadnego znaczniejszego nie miał opuścić miasteczka. Kazał sobie przedewszystkiém zwracać uwagę na miejscowości pogranicznego, albo wewnętrznego handlu,

na wsie, w których miałyby być urządzone stacye kontumacyjne, słowem na wszystko, cokolwiekby mogło mieć administracyjne znaczenie.

Pierwsza część podróży, aż po Zamość, odbyła się według programu. We Lwowie bawił cesarz tylko kilka dni, mieszkał w domu jakiegoś aptekarza i niestrudzenie pracował, zwiedzał wszystko, dowiadywał się i pilnie pisał listy do matki. Niestety ta korespondencya, któraby wiele mogła rzucić światła na ówczesne stosunki, zaginęła, pozostał jednak rządowy memoryał, datowany ze Lwowa, dnia 5 Sierpnia r. 1773, który cesarz podyktował swemu sekretarzowi i wysłał do matki.

Cenny ten do historyi Galicyi i nader charakterystyczny dokument nie był dotąd nigdzie w całości drukowany, mając go zaś przed sobą w wierzytelnym odpisie, podamy z niego to wszystko, coby jakąkolwiek miało wagę, tém bardziéj, że wyrażonych jest w nim wiele myśli, które się stały podstawą pierwotnéj polityki rządu austryackiego w Galicyi.

Memoryał zaczyna się niepochlebnie dla hr. Pergena.

„Podczas krótkiego mego pobytu w Galicyi," pisze cesarz, „a wszczególności przez pięć dni, które we Lwowie spędziłem, mogłem się dostatecznie przekonać, że od roku, to jest od czasu, jak nasze wojska kraj zajęły, nic nie zrobiono prawdziwie pożytecznego prócz zaprowadzenia trybunału.

„Nie było téż możliwém zasięgnąć tutaj dokładnych o kraju wiadomości, gdyż to, co mówią Polacy jest stronniczém, a to, co cudzoziemcy— niedostateczném. Zresztą mniéj uczciwi z tych ostatnich nie starają się o poznanie prawdy, a duch niezgody wkradł się już właśnie pomiędzy tych, którzyby wspólnemi siłami działać powinni.

„Polski naród jest bardzo giętki (beugsam) na zewnątrz, ale przecież bardzo uparty, a nie mogąc żadnéj prawdziwéj znaléść pomocy i błądząc po ciemku, nie umiałem sobie inaczéj poradzić jak opisując następujące uwagi, które przedkładam Waszéj cesarskiéj Mości."

Cesarz prosi następnie matki o dokładne rozważenie jego memoryału, aby można ułożyć pewien stały system urządzenia w Galicyi. Prosi także o zakomunikowanie pisma Kaunitzowi i o zdanie ministra.

Stawia on kwestyą rządzenia w Galicyi jasno i dobitnie, radzi odrazu postanowić, czy się ją ma uważać jako stałą część austryackiéj korony, czy téż jako prowincyą, którą przy pierwszéj lepszéj sposobności na inny nabytek zamienićby można, od tego bowiem zawisło postępowanie rządu; w pierwszym razie trzeba gospodarować

jak dobry właściciel w swych dobrach, w drugim jak dzierżawca, któremu chodzi o napełnienie kieszeni, bez względu na przyszłość powierzonéj mu włości.

„Wasza ces. Mość niech raczy wypowiedzieć, czy ten nabytek ma być uważany za stałą wieczną część monarchii, dla utrzymania któréj wieleby poświęcić można, czy nie? jeżeli tak, to trzeba dbać o militarne wzmocnienie Galicyi, również jak o Czechy, Morawią lub Węgry, tudzież o podniesienie jéj pod względem politycznym.

Pierwsze będzie wymagało twierdz, drugie wielu politycznych urządzeń. Jeżeli jednak W. ces. Mość uważać zechce Galicyą li tylko jako ekwiwalent potrzebny do utrzymania równowagi państwa, który przy pierwszéj lepszéj sposobności za coś lepszego i odpowiedniejszego możnaby zamienić, w takim razie zupełnie inaczéj trzeba postępować, trzymać tyle tylko wojska ile koniecznem będzie dla nadania powagi rządowi, urządzić o ile możności jak najprościéj gubernium, któreby nie myślało o żadnych stałych instytucyach, ale o korzyści. Należałoby wtedy zaprowadzić wszędzie dzierżawy, sprzedawać królewszczyzny, podatki podnosić do takiéj wysokości do jakiejby tylko podnieść się dały a starać się natomiast tylko o utrzymanie koniecznéj sprawiedliwości. Stosownie do możliwych przyszłych wypadków europejskich, trzeba wybrać albo jednę, albo drugą stronę. Trzeba postanowić: *aut*, *aut*, bo trochę tak, a trochę nie, trochę fortyfikować, a przecież nie dość trwale, brać pieniądze, wyciskać podatki i znów opuszczać, to doprawdy nie idzie, w takim razie nic nie osiągniemy.“

Wychodząc następnie z przypuszczenia, że cesarzowa nakłoni się do tego, aby Galicyą uważać jako stale nabytą prowincyą, sądzi cesarz za konieczne postanowić, czy ją należy zrównać z innemi dziedzicznemi krajami, czy téż nadać jéj odrębne w monarchii stanowisko, a zatém, czy zastosować do niéj wszystkie ustawy, które w innych obowiązują prowincyach, czy nie? Po raz pierwszy wychodzi tutaj kwestya centralizacyi, stanowiącéj późniéj ideał wielu rządów w Austryi; cesarz bowiem jak we wszystkiém tak i pod tym względem żąda stanowczego orzeczenia, czy zbliżenie Galicyj do krajów niemieckich, zamalgamowanie się z niemi jest pożądaném, i czy przewaga rządu ma spoczywać w Wiedniu, czy w kraju? Wszystkie te pytania pozostawia bez odpowiedzi, ale z zarządzeń, któreby chciał przeprowadzić, i uwag, które czyni, okazuje się, że takie zamalgamowanie się uważa narazie za niemożliwe, uznając wszelkie odrębności nabytego kraju.

Skupienie interesów galicyjskich w kancelaryi nadwornéj w Wiedniu, które tam z początku należały, uważał cesarz za nieod-

powiednie, Galicya jest bowiem krajem rozległym, jéj interesa mają swe właściwości, przeto należałoby dla niéj utworzyć nowy najwyższy urząd, nową kancelaryą nadworną, którąby mogła przytém sprawować i interesa drugiego kraju, potrzebującego osobnéj władzy, a mianowicie: Siedmiogrodu.

Zastanawiając się nad tém komuby kanclerstwo mogło być powierzone, przychodzi do przekonania, że generał Hadik najwłaściwszą byłby osobistością. Zna on już potrosze Galicyą, jest za stary, aby pełnił wojskową służbę, a nieodpowiedni, aby mu powierzyć urząd namiestnika we Lwowie. Człowiek to zręczny, uczciwy, mający szacunek u ludzi, ale do przeprowadzenia organizacyi nowego kraju za powolny i pełen węgierskich uprzedzeń (mit hungarischen prejuges), które w Galicyi chętnie naśladowaćby chciano. Zresztą ma żonę nie kwalifikującą się na utrzymywanie stosunków z ludźmi, na namiestnikową, kobiétę znaną z zalotności, głupoty i skąpstwa, która go trzyma pod pantoflem i często nakłania do postępowania jeżeli już nie szkodliwego, to przynajmniéj bardzo nieodpowiedniego. Wydała ona w Galicyi córkę (za ks. Marcina Lubomirskiego) i zaprzyjaźniła się z polskiemi domami, chce aby jéj podchlebiano, ma też cały dwór pochlebców i proteguje tych, którzy się najuniżeniéj kłaniać umieją. Niedorzeczności pani Hadikowéj nie miałyby w Wiedniu znaczenia i nie przeszkadzałyby, aby generał dobrym był galicyjskim kanclerzem.

Trudniejszą jest rzeczą obsadzenie posady namiestnika we Lwowie; Pergona uważa cesarz za najzupełniéj nieodpowiedniego, a słusznie mu w Galicyi zarzucają, że nie dość jest pracowitym. „Tłómaczy się wprawdzie,“ dodaje cesarz, „że nie ma zdolnych pomocników, i że wiele wskazówek, o które prosił nie otrzymał, *nec in re nec in tempore*; mnie się jednak zdaje, że on nieprzyzwyczajony do porządku w traktowaniu interesów, i że się nigdy do tego nie przyzwyczai, bo jest po trochu idealistą.

Maluje np. tablice statystyczne wielkie jak domy, pomimo że wié dobrze, że ta jego statystyka jest fałszywą i musi być fałszywą, chce wszystko sam robić, a nic dokończyć nie umié. Być może zresztą, że jest to tak wielki geniusz, że dla téj wielkości warto poświęcić zwykły porządek, bezpieczeństwo i dokładność w interesach? ale ja tego zdania nie podzielam.“

„Tutaj trzeba przysłać człowieka w średnich latach, pełnego sił bezinteresowego, uczciwego, czynnego i dokładnego w nadzorowaniu podwładnych. Namiestnik galicyjski musi posiadać wiele wiadomości i zdolności,—musi się rozumiéć na organizacyi administracyjnéj, na rzeczach kameralnych, stosunkach kredytowych, na sądow-

nictwie, na sprawach publicznych i politycznych, musi posiadać języki i być człowiekiem niezłomnego charakteru.“

Przechodząc w myśli osobistości, któreby mogły odpowiedzieć tym trudnym warunkom, znajduje cesarz jednego człowieka, któryby sprostał zadaniu, a jest nim wice prezydent Izby w Wiedniu, hr. Wrbna. „Powiedzą może,“ dodaje Józef „że go szkoda na tę posadę, ale niech W. Ces. Mość raczy zważyć, że Galicya jest większą a równie żyzną jak Czechy, i że dobra administracya tego kraju nie jest drobnostką. Galicya może się bardzo przyczynić do podniesienia całéj monarchii!“

Załatwiwszy w ten sposób kwestye osobiste dwóch najwyższych posad galicyjskiéj administracyi, rzuca cesarz kilka myśli, kilka pytań co do polepszenia organizacyi kraju. Przedewszystkiém zdaje mu się, że zaprowadzenie reprezentacyi stanowéj, magnackiéj, szlacheckiéj i mieszczańskiéj podobnie jak w Karyntyi, Styryi, Krainie, w Austryi i na Morawie będzie pożyteczném w Galicyi. Jakiś głos w rządzie trzeba pozostawić miejscowéj ludności, jeżeli już nie głos stanowczy, to przynajmniéj doradczy i petycyjny, do czego się wybornie nadaje doświadczona już w innych prowincyach austryackich organizacya stanowa. Każe sobie téż jak najrychléj przysłać na wzór ustawę urządzenia stanów i sejmów czeskich, aby według niéj mógł dla Galicyi wypracować projekt odpowiedniego statutu.

Ekonomiczne stosunki Galicyi potrzebują także szybkiego, bezzwłocznego ratunku. Rzemiosła i kupiectwo na bardzo niskim stoją stopniu, trzeba w téj mierze koniecznie nieść pomoc krajowi. Sposobność ku temu nadarza się dobra, gdyż wielu kupców z okolic Gdańska, Torunia i Elbląga chce się przesiedlić do Galicyi, aby uniknąć zdzierstw króla pruskiego, ale cóż? ci ludzie są protestantami, co i u miejscowéj ludności i w Wiedniu za zbrodnię uchodzi. Cesarz przemawia jednak stanowczo za tém, aby im pozwolić zamieszkać w Galicyi i pozakładać sobie zbory religijne, oratorya. „Czyżby to Pana Boga bardzo obrażać miało? Przecież Żydzi mają w kraju tyle synagog ile tylko chcą, a nie są nawet chrześcianami, jak protestanci, wszakże oni miotają najcięższe przekleństwa przeciw świętéj boskiéj osobie, a niebo przed nimi najzupełniéj zamknięte? czyżby przeto mieli być lepszymi od protestantów? czemuż ich tolerować, chociaż nic nie robią, żyją tylko z oszukaństwa, a odpychać protestantów, ludzi, jak wiadomo dobrych, pracowitych, którzyby mogli zakładać fabryki, zaprowadzać rzemiosła, krzewić umiejętności, pomnażać pieniądze?“

Memoryał cesarski pisany szybko, bez obmyślanego planu zawiéra same luźne projekta, często się w nim ta sama myśl powtarza,

trudno więc uporządkować zawarte tam uwagi, w jaki taki system. Widać tylko w nim żywą myśl, która często przeskakuje z przedmiotu na przedmiot, w miarę jak się jéj nasuwają różne spostrzeżenia.

Z protestantów też wpada cesarz na galicyjskie duchowieństwo, które w najgorszym przedstawia świetle, i radzi jak najprędzéj zaprowadzić dobre seminarya duchowne. „Bez duchowieństwa nic się nie da zrobić pomiędzy ludem, ale nawzajem jak długo biskupi i zakonnicy myślą o swych gospodarstwach, opływają w dostatki, urządzają biesiady, kłaniają się przed despotycznym papieżem w Rzymie a nie dbają o łaski właściwego monarchy, tak długo nie można do nich żadnych przywiązywać nadziei.“

Główne zasady Józefinizmu: oderwanie duchowieństwa od Rzymu, zniesienie zakonów, kiełkują już bujnie w tych słowach i trzeba tylko śmierci Maryi Teresy, aby swój owoc wydały.

Musimy jednak przyznać cesarzowi, że w owych przynajmniéj czasach chce zawsze dobrego, ma może fałszywe czasem pojęcia, ale pewna, jasna, otwarta dążność cechuje jego czyny. I tak nie podoba mu się zaraz, że wiedeńska biórokracya rekrutuje ze wszystkich krańców świata urzędników dla Galicyi, bardzo też otwarcie przeciw temu występuje, przestrzega przed awanturnikami, którzy zaledwie po kilku miesiącach w kraju pobytu dają się ludności we znaki, radzi, aby brać ludzi uczciwych, nieprzekupnych i wyrzuca centralnemu rządowi kilka niedołężnych nominacyj.

„Owszem,“ powiada, „trzeba sobie ludność ujmować, a nie zrażać, przychylność szlachty zyskiwać, osobliwości skłaniające się ku rządowi odszczególniać, udzielać zaszczytne tytuły: tajnych radców, szambelanów, znakomitszych wynosić do stanu książąt, hrabiów, baronów, tym, którzy mają polskie ordery, dać austryackie odznaki, postępować jak na zręczny rząd przystoi, a nie stwarzać sobie na każdym kroku niepotrzebnych trudności.“

Wiele z tych myśli pozostanie artykułem wiary dla przyszłych rządów w Galicyi.

Jakeśmy powiedzieli, cesarz zatrzymał się we Lwowie, zaledwie dni kilka, poczém zaraz pojechał w okolicę Zbaraża, aby się zająć sprawą uregulowania granicy, do czego delegowany był pułkownik Seeger. Nasuwała się tam właśnie nieprzewidziana trudność, chodziło o rozpatrzenie się w owéj zawiłéj sprawie nie istniejącéj rzeki „Podhorce“, która według manifestu okupacyjnego miała stanowić granicę w tamtéj okolicy.

Powstało pytanie, czy pod Podhorcami należy rozumieć Seret czy Zbrucz? Zrazu zadawalniano się w Wiedniu Seretem, płynącym

w pobliżu Zbaraża, gdyż to miasteczko uważano za jedno z najbardziej wysuniętych granicznych punktów. Gdy się jednak cesarz rozpatrzył w okolicy i poznał jej bogactwo, kwestya się zmieniła, życzono sobie, aby pod „Podhorcami" rozumiéć Zbrucz. Cesarz zachwycił się okolicą, a już to w liście do Lacego, już to w piśmie urzędowém datowaném z Zamościa, 26 sierpnia podnosił, że jest to nietylko najpiękniejsza i najżyzniejsza część Galicyi, ale nawet jedna z najżyzniejszych w Austryi. Dobroć gleby, bogactwo i stan bydła, wielka ilość włości, pilność mieszkańców, wreszcie strategiczne położenie Zbrucza, wszystko to zachęcało, aby granicę aż po za tę rzekę posunąć.

Tak się też stało; Rosya się nie sprzeciwiała, żadnych nie stawiała przeszkód, wola cesarza się przeto spełniła.

Według pierwotnego programu podróży miał cesarz wrócić jeszcze z Zamościa na dłuższy pobyt do Lwowa, i wtedy właśnie chciał wypracować dokładny system postępowania rządu w Galicyi, sądząc że do tego czasu będzie miał odpowiedź na swój memoryał. Zawikłania jednak zagraniczne, kwestya Niederlandzka, przeszkodziły mu dokończyć zamierzonéj podróży, powołany bowiem przez cesarzowę musiał bezzwłocznie wracać do Wiednia. W ten sposób skończył się drugi niejako akt zajęcia Galicyi, który chociaż krótki i w połowie przerwany stanowił zawiązek akcyi rządowéj.

III.

Zakończeniem dzieła okupacyi było zaprzysiężenie ludności, tak zwane *hommagium*. Pan Władysław Łoziński opisał je szczegółowo w swoich „Galicyanach" i nie probowalibyśmy przedstawić téj rzeczy na nowo, gdyby całość naszej pracy tego nie wymagała, i gdyby nie nowy w téj mierze dokument, na któryśmy natrafili.

Ograniczymy się jednak na tém, co najpotrzebniejsze. Z listu Maryi Teresy do syna widzieliśmy jak się zapatrywała na tę ceremonią i jak mało do niéj przywiązywała wagi. Było to jednak wewnętrzne przekonanie cesarzowej, na zewnątrz podnosił rząd hommagium do wielkiego znaczenia i zaraz po objęciu Galicyi nad nim się zastanawiał. Sam Pergen przyjechawszy do Lwowa upominał się, aby mu w téj mierze bliższe z Wiednia dano instrukcye i powiedziano: czy zaraz ma odebrać od ludności przysięgę wierności i poddaństwa, czy dopiéro po jakiém takiém urządzeniu.

Zastanawiano się nad tém w Wiedniu, ale koniec końcem postanowiono dopiéro wtedy ludność zaprzysiądz, jak ją król polski od

dawnych uwolni zobowiązań, w przeciwnym bowiem razie zmuszałoby się ją do krzywoprzysiężnego hołdu, któryby żadnego obowiązku sumienia nie mógł za sobą pociągać. Zaraz téż po powziętéj uchwale sejmu warszawskiego z r. 1773, sankcyonującéj odstąpienie Galicyi, wydał rząd odpowiednie zarządzenia co do składania przysięgi (Eid der Vasallen—und Unterthans—Treue), a instrukcya hr. Pergena, dana w téj mierze dyrektorom dystryktów, nosi datę 18 Listopada 1773.

Z przygotowań i sposobu w jaki się brano do przeprowadzenia tego aktu okazuje się, że chciano mu nadać wielką i uroczystą wagę, chciano, aby został pamiętny we wszystkich umysłach. Na termin przysięgi oznaczono dzień 29-go Grudnia, cała ludność bez wyjątku miała tego dnia uznać nowego monarchę. Za duchowieństwo przysięgali biskupi, za szlachtę posesionatów delegaci przez nią wybrani, ludność tylko miejska i wiejska składała przysięgę gminami *in gremio*. Akt zaprzysiężenia pospolitéj ludności był dość prosty. Wszyscy mieszkańcy gminy zgromadzili się w oznaczoném miejscu. Przełożony, albo mandataryusz wyjaśnił jak umiał, stósownie do przesłanéj instrukcyi wielką wagę przysięgi. Złamanie jéj, mówiło rozporządzenie gubernatorskie, nietylko że jest obrazą Boga i naturalnych praw, ale „obrzydliwym występkiem krzywoprzysięstwa“ i pociąga za sobą utratę mienia, a nawet i życia. Po przemówieniu odczytywano rotę przysięgi, a lud powtarzał ostatnie słowa, podniósłszy prawą rękę do góry. Z odbytego aktu spisywano dokument, który podpisywali właściciele wsi lub mandataryusze i trzej najstarsi włościanie. Dokumenta posyłano dla większego wrażenia do Wiednia.

Bardziéj zawiłém było zaprzysiężenie szlachty. Chcąc jéj oszczędzić kosztów jeżdżenia do Lwowa, a raczéj obawiając się zanadto burzliwych wystąpień, polecono, aby obywatele wybierali dystryktami po dwóch delegatów, ci zaś, aby się zjechali w cyrkule i wysłali ze swego łona sześciu upoważnionych do składania w ich imieniu przysięgi poddaństwa i wierności.

W ten sposób 42 delegatów reprezentowało na dniu 29 Grudnia we Lwowie całą galicyjską szlachtę.

Zgromadzenia dystryktowe z wielką urządzono pompą. Dyrektor okręgu siedząc *in facie totius concursus nobilium*, odczytał najprzód przysłaną mu mowę po łacinie. Mowa była sucha, oficyalna, kończyła się słowami: że „pocieszający widok Najwyższéj c. k. opieki nie pozwala wątpić, że szlachetne zgromadzenie skłoni się z równą ochotą jak czcią do wyboru dwóch delegatów z tego dystryktu w celu złożenia hołdu, i że dyrektor będzie w stanie donieść o téj gotowości i uległości najwyższéj władzy, ku satysfakcyi zgromadzonych i dyrektora dystryktu.“

Łacińską treść przemówienia powtórzył pisarz stojący za krzesłem dyrektora po polsku, poczém nastąpiło głosowanie i spisanie dokumentu hołdowniczego. Uroczystość kończyła się według instrukcyi ucztą. „Na czém ugoszczenie ma polegać,“ pisał namiestnik, „nie da się ściśle oznaczyć, ale musi ono być urządzoném w miarę najłaskawiéj na to udzielonych funduszów i według obyczaju krajowego, a nadto w ten sposób, aby uczta o ile możności dobrze wyglądała i ażeby szlachta częścią przez samo wrażenie, częścią zaś przez przyjazne przyjęcie i szczere zachowanie się c. k. dyrektora czuła się zadowoloną i z ukontentowaniem wracała do domu.“

Formalistyczny duch austryackiego rządu nie chciał oszczędzić składania homagium nawet królowi Stanisławowi Augustowi, o ile przez swe dobra z téj strony kordonu leżące stał się poddanym cesarskim. Powstała ztąd korespondencya pomiędzy Kaunitzem, Pergenem a Rewiczkim w Warszawie, król polski bowiem prosił tego ostatniego, aby swém pośrednictwem oszczędził mu téj przykrości. Naturalnie, chodziło o zaprzysiężenie króla przez delegata. Na czém się ta sprawa skończyła nie wiemy z pewnością, dość, że na żądanie Rewiczkiego napisał Pergen do niego list, w którym tłómaczy, że nic w tem ubliżającego, aby król złożył hołd cesarzowéj, taki stosunek bowiem istnieje pomiędzy innymi monarchami, a nawet sama Naj. cesarzowa znajduje się sama w podobnym przypadku. List był pisany w ten sposób, aby go Rewiczki mógł pokazać królowi.

Wróćmy jednak do szlachty. Zgromadzone pierwszy raz po rozbiorze obywatelstwo korzystało gdzieniegdzie ze sposobności dozwolonego zjazdu i zetknięcia się z władzami, aby wynurzyć co mu leżało na sercu. O ile nam dotąd wiadomo, cztery dystrykty uchwaliły instrukcye dla swych deputatów, czego od rządu wymagać mają. Akt taki szlachty bobrzeckiéj i stanisławowskiéj przytacza p. W. Łoziński, o instrukcyi obywateli w Bełzie zebranéj wspomina hr. Pergen w jednym ze swych sprawozdań do Wiednia, czwarty zaś dokument tego rodzaju, najobszerniejszy i najstaranniéj ułożony, a mianowicie: życzenia szlachty zebranéj w stolicy we Lwowie mamy przed sobą (1).

Wiadomość o uchwalaniu takich instrukcyj wprowadziła w kłopot Pergena, który donosząc o tém Kaunitzowi tłómaczy, że to „pochodzi jedynie z zakłóconego spokoju umysłów mieszkańców, ale że się będzie starał zniweczyć te zamiary, nie biorąc publicznie osobistego udziału, w każdym razie da taką odpowiedź, która im odej-

---

(1) Ręk. Ossol. L. 331, str. 75.

nie rozpowszechnioną tu od niejakiego czasu nadzieję otrzymania rządów na wzór węgierski i uzyskania przywilejów tamecznéj szlachty.

Rzeczywiście hr. Pergen wziął się zręcznie do rzeczy, ujął sobie bowiem kilka bardziéj wpływowych osobistości pomiędzy delegatami, tak, że gdy zgromadzenie lwowskie chciało uchwalać „desideria, któreby Jéj Ces. Mości niedogodnemi być mogły“ takowe za wpływem owych osobistości usunięte zostały. Wywdzięczając się za usługę, wyrobił namiestnik tym osobistościom zaszczytne tytuły. Nie było zresztą w tém nic szkodliwego, że ludzie umiarkowani nie dopuścili do żądań, o których z góry wiedziano, że nie zostaną wysłuchane, oszczędzili tym sposobem krajowi niepotrzebnego zaostrzenia stosunku z koroną. Sądząc po desideriach ułożonych przez lwowską szlachtę, które taką noszą cechę jak gdyby przez wszystkich delegatów (z całego kraju) przyjęte zostały, to ludzie wytrawni, znający kierunki rządu austryackiego mogli rzeczywiście ruszać ramionami na niektóre uchwały, nie powiemy bowiem, żeby takowe we wszystkiém stały na wysokości stosunków i aby się nie zamykały w kastowych, ściśle szlacheckich, a nie narodowych interesach.

Akt zresztą z godnością napisany. Autorowie tłómaczą się przedewszystkiém, że u obcych szukają pomocy, „Traktat w Warszawie ułożony—powiadają—a teraz od najwyższego gubernium po powiatach obwieszczony jaśnie nam pokazuje, że nas odstąpili nasi (a co największa) i od przysięgi królowi uczynionéj uwolnili. Przeto i rozum i potrzeba nam radzi myśléć o sobie, protekcyj szukać Naj. cesarzowéj.“

A tak dopiéro się usprawiedliwiwszy, zwracają się do nowego tronu, prosząc, aby cesarzowa ich „kondycye“ przyjąć raczyła, gdyż w ten tylko sposób przysięga świętą i trwałą się stanie, tém bardziéj, że naród polski od dawnych czasów z „wszelką powolnością austryackiéj famili“ sprzyjając nie dał powodu do jakiéjś z jéj strony urazy.

Gdy cesarzowa narodowi odda sprawiedliwość, naród „homagium“ albo poddanie się za najmilszą rzecz mając chętnie złoży i przyjmie, a słodkiém zachęcony panowaniem, niemocą przynaglony, szczerą wolą i umysłem pociągniony, na dopełnienie obowiązków swoich ubiegać się będzie.

Po tym ustępie następują żądania, pierwszy tyczy się zachowania wiary.

„Ilekroć tylko dawniéj przypadło cokolwiek czyli na piśmie, czyli też słowem potomności podawać do zachowania, tylekroć pierwszy wzgląd miała, za największą rzecz poczytaną była u narodu nieskazitelność i obrona rzymskiéj katolickiéj wiary. Teraz, gdy pa-

nowaniu naj. cesarzowéj się poddajemy nietylko że nam ta wiara zupełnie zabezpieczoną i ocaloną będzie, z największą pociechą serca i duszy pewni jesteśmy, lecz mamy ufność, iż stawianie zborów dyscydeńskich, cerkwi szyzmatyckich wiecznem prawem wzbronionem będzie. Zabiegając zaś zgorszeniu apostatowie, czyli odstępcy od wiary, bez wszelkiego ich ochraniania śmiercią i konfiskowaniem całego majątku i dobytku, aby karani byli, upraszamy."

Stawiając drugą część tego żądania, zapoznawała szlachta zwrot opinii jaki się już wyrabiał w zachodnich społeczeństwach, ściągała na siebie niechęć wykształconéj części niemieckich urzędników i cesarzowi Józefowi przedstawiała się jako bardzo zacofaną, niemal barbarzyńską. Było to niepożytecznie i niedyplomatycznie, zważyć jednak trzeba, że się to działo na spory przeciąg czasu przed konstytucyą 3-go Maja i że Galicya, przez odcięcie jéj od Warszawy, pozbawioną naraz została wszelkich bardziéj postępowych żywiołów, które pozostały w stolicy, obywatelstwo zaś podkarpackie oddalone od serca ojczyzny należało do najskrajniéj konserwatywnéj części narodu.

Rozwijając daléj swoje żądania stara się szlachta o ile możności zabezpieczyć swoje prawa, nie opiera się wprawdzie jak szlachta stanisławowska na tém, że ponieważ Galicya została rewindykowaną w imię praw korony św. Szczepana, więc i jéj się w konsekwencyi należą prawa i przywileje węgierskiéj szlachty, ale do tych samych dąży celów. Więc przedewszystkiém wychodzi z odwieczną formułą: „*nominem captivabimus nisi jure victum*" żąda, aby dawne prawa szlacheckie utrzymane, ażeby sądy przez narodową szlachtę sprawowane były, aby rząd dozwolił na odbywanie sejmików celem wybierania sędziów. „Szlachcie także przystoi," mówiąc, „aby była pośrednikiem pomiędzy monarchą a narodem, podporą i strażą praw sobie przepisanych, z tego téż powodu winna mieć zawsze wolny przystęp ze skargami i zażaleniami do samego naj. majestatu."

Jedną z najważniejszych spraw poruszonych w petycyi jest stosunek poddańczy, szlachta życzy sobie, żeby pozostał taki jaki jest, i w niczém nie został zmieniony. „Nabyliśmy włościan," mówią, „nie skąpym wylaniem krwi przodków naszych, zastawiając ich nami samymi przeciw Turkom, Tatarom, Kozakom i innym natarczywościom, nadto niezmiernemi nakładami piéniężnemi nieraz okupywaliśmy ich i opłacali własnym kosztem. Nadto ratowaliśmy ich w różnych upadkach nie małym kosztem, opatrując ich nędzę jak i dotychczas opatrujemy i zapomagamy, a przeto z całym narodem upraszamy, aby od prawa nad nimi panowania nie byliśmy oddaleni i z niego ogołoceni, my zaś po ojcowsku postępując z nimi, zachowywać ich nie

ustaniemy w stanie pożytecznym i najświętszemu Majestatowi nam i imże samym.“

Petycya żąda następnie, aby „nauczyciele po szkołach opatrzeni byli, aby z królewszczyzn tylko czwartą część płacić rządowi, aby wywóz zboża i soli „szlacheckiéj“ wolny był od cła, a przywóz win węgierskich od opłat, i jeszcze kilka mniéj ważnych porusza szczegółów.

Hr. Pergen nic na to żądanie nie odpowiedział, w Wiedniu zaś znaleziono jedne z nich za nadto wsteczne, inne za nadto śmiałe, inne wreszcie uwzględniono, gdyż zgadzały się z zapatrywaniem rządu, jak n. p. zaprowadzenie szkół, obsadzenie części posad rządowych Polakami i płacenie podatków li tylko w piéniądzach, a nie w płodach surowych i piéniądzach zarazem.

Najwięcéj jednak korzyści przyniósł akt homagialny samemu hr. Pergenowi, szlachta bowiem wracała ze Lwowa do domu z medalem w kieszeni wybitym na cześć uroczystości, hr. Pergen zaś rozstawał się z nią bogatszy o 6.000 dukatów, gdyż rozczulone obywatelstwo złożyło mu w uznaniu jego życzliwości, a może antycypując jego względy hojny upominek w złocie. Upominek ten zrobił jak to stwierdzają urzędowe źródła bardzo dobre w Wiedniu wrażenie, dowodził bowiem, że kraj nieogołocony jeszcze tak dalece z pieniędzy, jak się to zrazu zdawało, że zatém siła podatkowa ludności nie jeden ciężar udźwignąć potrafi.

Galicya ani się spodziewała ile ją miało kosztować to dobre wyobrażenie o jéj trzosach.

Ignotus

PODATKI

W CESARSTWIE ROSYJSKIÉM.

(Z Annuaire des finances russes. A. Wesełowskiego, Rok VI*)*.

Gdy o ile nam wiadomo, nie zjawiła się dotąd w naszéj ekonomicznéj literaturze, ani w dotyczących pismach czasowych, żadna obszerniejsza praca, ogół podatkowości w Państwie Rosyjskiém obejmująca, tuszymy sobie, że poniższy rys historyczno-statystyczny, z poważnego wydania petersburskiego zaczerpnięty, pomimo braki swe w niejednym względzie, które oka znawcy nie ujdą, zasłuży sobie na uwagę czytelników, materyami skarbowemi zajmujących się. Przedstawienie onego może być tém bardziéj na czasie, że agitują się od lat kilku jak słychać w sferach rządowych, i są może już obecnie do rozstrzygnięcia przygotowane plany gruntownego w całym systemie podatków stałych przeobrażenia: ten zaś system od wieków istniejący był niewątpliwie najwydatniejszą skarbowości rosyjskiéj właściwością.

I. Podatki stałe, czyli bezpośrednie.

A. Poduszne. Podatek zwany podusznym ustanowiony został w Rosyi za Piotra W-go, głównie na utrzymanie wojska. Nakładane dawniéj nadzwyczajne w czasach tylko wojny bezpośrednie pobory zastąpił odtąd pomieniony stały i bezpośredni również podatek z wyraźnem na wojsko przeznaczeniem.

Według ustaw Piotra W-go, dzieliła się wszystka ludność krajowa pod względem skarbowym na dwie wielkie kategorye: szlachty wolnéj od podatków, lecz obowiązanéj do służby osobistéj wojskowéj i cywilnéj, i innych wszystkich klas podatkom ulegających. Co do podusznego mianowicie, myśl Cesarza Piotra była ta,

żeby do opłaty onego pociągać tych tylko mieszkańców drugiéj kategoryi, którzy się trudnią rolnictwem, handlem lub rzemiosłem. Służba naprzykład domowa, gruntami nieuposażona, nie miała być do regestrów podusznego wpisywaną, tak samo i jednostki do pracy niezdolne.

Przed wprowadzeniem nowego podatku zarządony ogólny spis ludności (w latach 1719—1722) wykazał około 5.400.000 głów płci męzkiéj do opłaty podusznego zakwalifikowanych; że zaś na utrzymanie wojska potrzeba było wtedy mniéj więcéj 4 miliony rubli, kwota więc podatku oznaczoną została na 80 kopiejek od zakwalifikowanéj jednostki.

Pod następcami Piotra nieco zniżona, podniosła się ona późniéj w końcu wieku XVIII za Cesarza Pawła, i w początku XIX za Alexandra I, stopniowo do trzech rubli i trzydziestu kopiejek. Podwyższenie to, jako w zelżonych piéniądzach papiérowych, nie było rzeczywiście tak wielkiém jak się z pozoru wydaje; gdyż w roku 1840 po przywróceniu waluty kruszcowéj owe 3 ruble 30 kop. redukowały się do 95 kopiejek srebrem. Ta ostatnia kwota podatkowa przetrwała do roku 1862, w którym powiększona została do całego rubla. W roku 1867 miało miejsce ponowne podwyższenie, i od tego czasu kwota poboru podusznego rozciąga się prowincyami od 1 rubla 18, do 2 rubli 61 kopiejek (1).

Przywileju wolności od podusznego dostąpił prócz szlachty w poprzednim jeszcze stuleciu i stan kupiecki, będąc natomiast w odmiennym opodatkowany sposobie; późniéj zaś także uwolnieni odeń zostali tak zwani obywatele honorowi po miastach: klasa przez Cesarza Mikołaja ustanowiona. W roku wreszcie 1866, jednocześnie z wprowadzeniem podatku od miejskich nieruchomości, otrzymała uwolnienie od podusznego wszelka inna w miastach ludność, zostawszy jednak obowiązaną uiszczać po dawnemu dodatek do tego podatku na rzecz funduszów Ziemstwa (o czém niżéj).

Taką rzeczą sami już tylko dziś włościanie podusznemu ulegają, i nie w jednostajnéj mierze, lecz różnéj podług różnych kategoryj. Tak np. osadnicy niemieccy po różnych guberniach płacą od 90 k. do 2 rs. 7 kop. podusznego; Tatarzy w guberni astrachańskiéj płacą po 2 rs. 78 kop.; Żydzi rolnicy w Besarabii po 3 rs. 60. kop.

---

(1) Szkoda, że autor nie wykazał szczegółowo tego stopniowania podatków, którego podstawą musi być zapewne rozmaitość urodzajności ziemi, jak zobaczymy niżéj w ustępie o podatku gruntowym.

Podstawą rozkładu i poboru podusznego jest liczba zakwalifikowanych doń jednostek podług ostatniego spisu ludności (1). Wszakże regestra podatkowe w ciągu lat pomiędzy jednym a drugim spisem żadnym nie są poddawane sprostowaniom w miarę ubytku zmarłych i przybytku narodzonych; dwie te kategorye uważane są jako znoszące się i kompensujące wzajemnie. Pomimo to nie są te regestra niezmiennemi: wykreślają się z nich bowiem jednostki wyłączające się z gmin za przyzwoleniem tychże, a wpisują nowowchodzące do ich składu. Ogół więc podusznego, od każdéj gminy ściągnąć się winnego, stanowi co rok suma, pierwotnie na podstawie ostatniego spisu ludności wyliczona, po odjęciu kwot w stosunku jednostek z gminy wybyłych, a dodaniu kwot w stosunku jednostek przybyłych.

Ludność gminy odpowiedzialną jest za uiszczenie podusznego solidarnie; za to téż rozkład onego do gminy zupełnie i wyłącznie należy. Uwolnienie jednak od solidarności służy włościanom, własną osobistą (a nie we wspólności gminnéj) posiadłość gruntową mającym; także gminom, w których liczba opodatkowanych czterdziestu nie dochodzi. W tych drobnych gminach wykreślają się z regestru podusznego zmarli, w wojsku służący, na Syberyą deportowani, jako téż do pracy niezdolni.

B. Podatek gruntowy od włościan dóbr Państwa wprowadzony został jednocześnie z podusznym. Nałożono go by mieć dla Skarbu niejaką równowartość tego, co uiszczali włościanie poddani w majątkach prywatnych w postaci czynszów lub pańszczyzny (2). Oznaczony z początku na kopiejek 40 od duszy (t. j. od jednostki do opłaty podusznego zakwalifikowanéj), zwiększył się ten podatek w ciągu XVIII wieku do 2 rubli 26 kopiejek. W roku 1797 nastąpiła w nim klasyfikacya guberniami według urodzajności gleby; utrzymała się ona do téj chwili, i stosownie do niéj kwota podatku gruntowego bardzo obszerną ma skalę, począwszy od kopiejek 75 i 90 w guberniach północnych, jak Archangielska, Wołogdocka i Ołoniecka, aż do rubli 3 kop. 30 w urodzajnéj strefie południowéj.

---

(1) Ostatni obecnie spis ludności w Państwie Rosyjskiém, dziesiąty z rzędu od Piotra W-go, odbył się w roku 1857; było w nim zakwalifikowanych do podusznego 22.289.335 głów, a do innych odpowiednich opłat 2.890.192: razem 25.179.527 głów.

(2) Błędnym byłby ztąd wniosek, jakoby ludność wiejska w dobrach rządowych nie uiszczała przed Piotrem W. żadnych podatków. Uiszczała je owszem w postaci naturaliów na utrzymanie Dworu, urzędników i wojska w rozmaitéj zapewne i ściśle nieoznaczonéj mierze. Tak poduszne jak i podatek gruntowy były wycenieniem i zamianą tych danin na opłaty pieniężne.

Pobiera się ten podatek od włościan dóbr rządowych na dwojakiéj podstawie: w guberniach Archangielskiéj, Wołogdockiéj, Wiackiéj, Ołoneckiéj, Permskiéj, Półtawskiéj, Stawropolskiéj, Czernichowskiéj, w prowincyach Kozaków Dońskich, Tereckich i Kubańskich, tudzież w Syberyi i w pewnéj części guberni Ufańskiéj, w myśl pierwotnéj zasady równorzędnie z poduszneni, do którego więc dodatek tylko stanowi; w innych zaś guberniach na podstawie wymiaru ziemi, w posiadaniu włościan będącéj. Suma podatku gruntowego na każdą gubernią przypadająca wyznacza się według liczby opodatkowanych włościan; następnie zaś rozkłada się na gminy i jednostki w stosunku wykazanéj w kadastrze rozległości gruntów (1).

Na mocy prawa z r. 1866 dozwolonym został skup gruntowego podatku; w guberniach zaś Państwa zwanych Zachodniemi jest on obowiązkowym.

Prócz tego podatku ponoszą jeszcze włościanie dóbr rządowych przeznaczoną pierwotnie na opędzenie kosztów zarządu gminnego opłatę od 14 do 40 kopiejek od duszy. W roku 1875 przyłączono tę opłatę do podusznego (wraz z innemi przedtém w dziale miscelaneów pod tytułem zapomogi dla kasy Państwa zamieszczanemi źródłami dochodowemi miast i wsi; o czém niżéj).

C. Powinności ziemskie (fundusz gubernialny). Przed wprowadzeniem Ustawy Ziemstw (dotąd z wyłączeniem gubernij Zachodnich) opędzały się miejscowe potrzeby guberni z osobnego funduszu, na rzecz którego pobierano: dodatek specyalny do podusznego od ludności temuż ulegającéj (co się wyszczególni w końcu tego ustępu). i dodatek do opłaty od patentów na prowadzenie handlu. Etat tego gubernialnego funduszu ustanawiał się w Radzie Państwa na lat trzy w miarę uznanych potrzeb; taż Rada rozkładała na gubernie i wydatkową jego stronę, także w miarę potrzeb: t. j. że wydzielona dla danéj guberni suma wydatkowa niekoniecznie odpowiadać miała sumie poborów z téjże guberni na rzecz gubernialnego funduszu. Z niego zresztą oddzielała się znaczna bardzo zapomoga dla kasy Państwa.

Po wprowadzeniu Ustawy Ziemskiéj został fundusz powinności ziemskich zniesiony a pobory na rzecz jego wprost do kasy Państwa przekazane: jako to 1) dodatek do podusznego od włościan na stopę 4 do 91 kopiejek, zależnie od guberni; 2) opłata gruntowa od większych właścicieli na stopę od jednéj dziesiątéj części kopiejki do

(1) W tém miejscu przydałaby się cyfra wyznaczonéj na jedność miary gruntowéj (zapewne desiatyny) ilość podatku.

72³/₄ kopiejek od desiatyny (ogólnéj przestrzeni, czy téż użytkowéj, albo samych ornych gruntów?), którą zaczęto pobierać od roku dopiero 1872, zmniejszając odpowiednio pobór dodatku do podusznego od włościan; 3) dodatek do podusznego od ludności miejskiéj (rozumié się prócz uprzywilejowanych kategoryj), według stopy takiéj saméj co i dla włościan: t. j. od 4 do 91 kopiejek, i 4) dodatek do patentowego.

D. Podatek od nieruchomości w miastach. Wspomniało się już wyżéj (pod A.), że ten podatek zastąpił od roku 1866 poduszne od miejskiéj ludności, nie uchylając wszakże dodatku na rzecz funduszów gubernialnych, o którym dopiéro co była mowa.

Ogólna suma podatku od nieruchomości miejskich ustanawia się w Radzie Państwa corocznie i rozkłada na gubernie: dalszy zaś rozkład na poszczególne miasta dokonywa się przez zarządy gubernialne. Od roku 1875 pierwotna tego podatku suma około dwóch milionów rubli zdwojoną została.

Autor podaje w tém miejscu rubrykowaną specyfikacyą wpływu podatków, o których dotąd była mowa, za lat pięć: od roku 1871 do 1875; lecz wprost za nim powtórzyć jéj nie możemy, znajdując w niéj niejasności i niezgodności z przedstawieniem rzeczy w poprzednich ustępach, a także i z informacyami, które skąd inąd powzięliśmy. Główniejsze jednak cyfry zamieszczamy. Samo właściwe poduszne przyniosło w tych latach w porządku ich następstwa: 43.69, 43.22, 43.69, 43.73 i 57.12 milionów rubli. Nagły przyrost w roku 1875 tłomaczy autor przyłączeniem do podusznego i przekazaniem wprost do kasy Państwa dodatku przedtem na rzecz funduszów gubernialnych pobieranego. Dodatek ten musiałby wynosić taką rzeczą około 13 milionów rubli.

Podatek gruntowy od włościan dóbr rządowych czynił w tymże periodzie pięcioletnim 35.62, 34.02, 33.79, 34.09 i 34.10 milonów rubli. Liczyło się w dobrach rządowych podług ostatniego spisu 9.617.194 dusz podatkowych; gdyby przeciętną cyfrę podatku gruntowego z przytoczonych lat pięciu 34.32 mil. rubli, przez cyfrę téj ludności podzielić, wypadłoby po 3 ruble 19 kopiejek na duszę podatkową; ilość, która jak widzimy wielce jest zbliżoną do maximum podatku (3 rs. 30 k.); z czego wniosek wynika, iż pobory mniejsze i minimalne w bardzo szczupłym tylko zakresie miejsce mieć muszą. Gdyby jednak podatek gruntowy ściągany był od włościan w majątkach Najwyższego Dworu, gdzie ilość dusz podatkowych 1.158.593 podług spisu wynosi, powyższa przecięciowa zmniejszyłaby się prze-

szło o jednę dziesiątą; a zatém zeszłaby do 2 rs. 88 kop., kwoty znacznie większéj niż przecięciowa właściwego podusznego, która (bez dodatku) po 1 rs. 73 kop. na duszę podatkową wypada.

Trzecią rubrykę podatków stałych w wykazie, o którym mówimy, stanowi podatek gminny. Nazwy téj w przedstawieniu swojém wyżéj nigdzie autor nie użył. Przypuszczamy, że to będzie chyba ów dodatek na opędzenie kosztów zarządu gminnego, w końcu ustępu *B* wspomniany. W takim razie należy przypuścić także, iż musi ten dodatek być pobierany i od włościan w dobrach Dworu; cyfry bowiem onego z lat pięciu 3.38, 3.39, 3.30, 3.28, 3.40 mil. rubli, za wysokie byłyby na stopę od 14 do 40 kop. od duszy, gdyby go sami tylko włościanie w dobrach rządowych ponosili.

O czwartéj rubryce, podatek gruntowy, żadnych téż autor objaśnień nie daje. Wpływ jego podany jest tylko pod rokiem 1875 w cyfrze 7.771.370 rubli. Domyślać się można, że jest to wskazana wyżéj w ustępie *C* opłata od gruntów większych właścicieli na stopę od 0.1 kopiejki do 72 i trzech czwartych kopiejek od desiatyny. P. W. powiada tamże, iż ta opłata zaczęła być pobieraną w roku 1872; należało więc zamieścić wpływy z niéj pod latami 1872, 73 i 74 dla porównania; czego nie widzimy. Ztąd więc wątpliwość, co za podatek gruntowy zajmuje czwarte miejsce w szeregu podatków stałych przez p. W. wyliczonym.

W rubryce piątéj mieści się podatek miejski od nieruchomości w cyfrach 2.21, 2.31, 2.73, 2.86, 4.03 mil. rubli; w szóstéj podatek gruntowy szczególny w guberniach Zachodnich (o którym autor żadnych wyżéj nie udzielił wyłuszczeń) w cyfrach 2.46, 2.85, 2.80, 2.67, 2.47 mil. rubli; w siódméj i ostatniéj podatek gruntowy wraz z podymnem w Królestwie w cyfrach 7.67, 7.62, 7.58, 7.60 i 7.39 mil. rubli.

Wszystkie te kategorye poboru składają w preliminarzach budżetowych urzędownie ogłaszanych jednę rubrykę pod nazwą „podatków“ i w jednéj ogólnéj podawane są sumie. Suma ta w tabeli pana W. wykazana jest w pięciuleciu (1871—75) jak następuje: 95.03, 93.42, 93.91, 94.25, 116.29 mil. rubli. Mając przed oczyma preliminarze urzędowe od roku 1874 znajdujemy, że dwie ostatnie cyfry pięciolecia u p. W. nie zgadzają się z urzędowemi. Te ostatnie podają na lata 1874 i 1875 identyczną sumę 94.63 milionów rubli, która tylko w drugiém z tych lat, skutkiem odmiennego układu budżetu, a mianowicie przeniesienia sumy 21.507.821 rubli poborów gubernialnych, miejskich i innych miejscowych, wydzielanych dla kasy Państwa i zapisywanych przedtém pod tytułem zapomogi dla téjże kasy w dziale miscelaneów, z tego ostatniego działu do działu podatkowego, wzrasta do 116.139.290 rubli (ta ostatnia cyfra różni się

o półtorasta przeszło tysięcy *in minus* od wykazanéj przez autora). We wspomnianéj sumie 21.507.821 rubli, przeniesionéj z działu miscelaneów do „podatków," mieści się i ów podatek gruntowy; w zamierzeniach téż budżetowych od r. 1875 począwszy tytuł rubryki pierwszéj brzmi: „podatki i opłata gruntowa;" do czego od roku 1877 dodano jeszcze „i leśna." Jakiegoby rodzaju była ta leśna opłata, o tém w raporcie Ministra Skarbu do Najjaśniejszego Cesarza, obok preliminarza budżetowego na rok 1877 ogłoszonym, żadnéj nie znajdujemy wzmianki. Na rok 1876 wpływ z „podatków" razem z opłatą gruntową preliminowany był na 115.76 mil. rubli; na rok 1877 na 118.67; na rok następny w cyfrze 118.73, a na 1879 w cyfrze 118.82 mil. rubli. Ponieważ ogólne cyfry dochodowe w ostatniém sześcioleciu 1874—79 były z kolei: 539.85, 559.36, 570.13, 570.77, 600.39, 628.96 mil. rubli, rubryka więc „podatków" stanowiła w roku 1874 przeszło część piątą (21.5%) ogólnego dochodu; lecz w latach następnych niewiele bardzo z natury swojéj zwiększając się, musiała coraz maleć w porównaniu z szybko rosnącemi cyframi dochodu ogólnego; tak że w zamierzeniach na rok 1879 nie czyni całych jego 19%. Wszakże po dochodach trunkowych jest to zawsze najznaczniejsza dochodowa rubryka rosyjskiego budżetu. O rzeczywistych z niéj wpływach mniéj dokładne mamy wiadomości. W roku 1873 wynosiły one 93.148.835 rubli (było to przed wspomnianą wyżéj zmianą budżetowego układu) przy ogólnym dochodzie państwowym 537.94 mil. rubli, a zaległości do końca tegoż roku pozostawało 8.73 mil. rubli; w roku następnym 1874 wpłynęło 94.9 mil. rubli na ogólny dochód 557.73 mil. rubli, a zaległości było 8.61 mil. rubli. W sprawozdaniu służby skarbowéj za rok 1875 znajdujemy, iż „podatki" wraz z „opłatą gruntową" przyniosły więcéj o 1.221.555 rs. nad cyfrę preliminowaną (116.139.290); nie ma jednak wyszczególnienia ile z tego plusu na poduszne, a ile na inne źródła wypadło. Brak takich wyszczególnień również i w sprawozdaniach budżetowych z lat 1876 i 1877; w ostatniém z nich wykazany jest wpływ z rubryki dochodowéj w mowie będącéj mniejszy o 1.67 mil. rubli, od preliminowanego, z dodaniem objaśnienia, iż było to następstwem nieurodzajów w guberniach kazańskiéj i wiackiéj. Czy i w jakim stosunku zmniejszyły się zaległości od roku 1874, o tém w ogłaszanych w „Gońcu Urzędowym" sprawozdaniach za lata następne żadnych dat nie spotkaliśmy.

E. Opłata patentowa od handlujących pobiera się na mocy ukazu z d. 9 Lutego r. 1865. Wolne są od niéj następujące handlu gałęzie:

Handel zbożem i innemi surowemi ziemiopłodami; bydłem, drobiem, solą i artykułami pożywienia; wełną, włosiem, szczeciną, pierzem, skórami niewyprawnemi, wreszcie materyałami opałowemi i budowlanemi, jeżeli sprzedaż onych nie odbywa się w sklepach lub składach, lecz bezpośrednio przez producentów na targach lub w przystaniach. Właściciele też ziemscy więksi, zarówno jak włościanie, nie ulegają opłacie patentowéj od sprzedaży wszelkich własnéj uprawy i hodowli produktów.

Prócz powyższych wyjątków nie ściąga się opłata patentowa:

od wędrownych kramarzy sprzedających wiktuały, odzież i wyroby domowych sielskich rękodzieł;

od wekslarzy na rynkach i podczas jarmarków;

od wszelkiego handlu bez wyjątku na jarmarkach;

od budowy i naprawiania łodzi i statków nieparowych;

od poczthalteryi na drogach bocznych;

od wyrabiania machin i przyrządów dla fabryk i zakładów hutniczych, także narzędzi rolniczych, od wyrobów chemicznych i farbierskich, tudzież sprzedaży tych artykułów w samém miejscu ich wyrabiania;

od zakładów wychowawczych i leczniczych, od czytelni i księgarni. Wyjątek wszakże dla tych ostatnich nie służy księgarniom w obu Państwa stolicach (Moskwie i Petersburgu);

od zakładów przemysłowych, utrzymywanych przez właścicieli ziemi lub dzierżawców, jeżeli w nich nie działają machiny lub narządy parowe albo hydrauliczne, i nie pracuje więcéj nad szesnastu ludzi;

od wiatraków i młynów wodnych, tudzież lokomobilą poruszanych, po za miastami znajdujących się i więcéj nad szesnastu ludzi nie zatrudniających;

od zakładów podlegających akcyzie i innym podatkom (jak gorzelnie, browary, fabryki tytuniu, cukrownie, szynkownie i dystylarnie).

Wszystkie inne, nieobjęte powyższém wyszczególnieniem zakłady i przedsiewzięcia handlowe i przemysłowe ponoszą dwojaką opłatę: właściwą patentową i drugą pod tytułem poboru od zakładów handlowych i przemysłowych z podziałem na siedm kategoryj:

1. Kupcy tak zwani pierwszéj gildy, czyli handlujący na większą skalę. Mają oni prawo prowadzenia handlu hurtowego w całém Państwie; a także i handlu detalicznego w granicach okręgu, w którym patent opłacają. Mają również prawo podejmowania dostaw dla Rządu i zawierania kontraktów kupna i sprzedaży bez ograniczenia sumy. Stowarzyszenia handlowe, banki, towarzystwa ubezpieczeń,

przewozowe i parowcowe, należą do téj pierwszogildowéj kategoryi.

2. Kupcy gildy drugiéj mają prawo prowadzenia handlu detalicznego w okręgu gdzie patent opłacili, a kontrakty zawierać i dostawy dla Rządu podejmować na sumę nie większą nad 15 tysięcy rubli. Biura informacyjne, meklerzy, traktyernicy opłacający do 200 rubli podatku gminnego (czyli miejskiego), utrzymujący wozy frachtowe, powozy i konie do wynajęcia, a więcéj nad 16 ludzi nie utrzymujący, obowiązani są też do posiadania patentów drugiéj gildy.

Do téjże gildy zaliczają się właściciele zakładów hutniczych, fabryk i innych przemysłowych przedsiebierstw, posługujących się machinami, poruszanemi wodą lub parą, i więcéj niż 16 ludzi zatrudniający. Skoro jednak utrzymują przytém kantory lub agentury w celu sprzedawania swych produktów i wyrobów, zawierają kontrakty i podejmują się dostaw na sumę większą nad 15 tysięcy rubli, wtedy patent pierwszogildowy opłacać winni.

3. Mniejsze handle detaliczne, handle wiktuałów, traktyernie ponoszące mniéj niż 200 rubli miejskiego podatku i majstrowie rzemieślnicy, nie więcéj nad 16 ludzi zatrudniający.

4. Handlarze przedający swój towar z wozu, przez konia ciągnionego.

5. Kramarze wędrowni.

6. Rzemieślnicy bez czeladzi i uczniów pracujący.

7. Pomocnicy handlowi, na dwie klasy podzieleni: a) prokurentów, zarządzających fabrykami, hutami i magazynami, handlowych agentów zagranicznych i komisantów handlowych podróżnych; b) prostych subjektów handlowych.

Osoby zaliczone do pierwszéj, czwartéj, piątéj, szóstéj i siódméj z powyższych kategoryj ponoszą podatek patentowy jednostajny: kupcy pierwszorzędni 265 rubli rocznie, handlarze na wozach 15 rubli, kramarze piesi 6 rubli, rzemieślnicy bez czeladzi półtrzecia rubla, pomocnicy handlowi klasy pierwszéj 20 rubli, prości subjekci sklepowi 5 rubli.

Co zaś do handlujących kategoryi drugiéj i trzeciéj, opłaty od nich są pięciorakie, odpowiednio do pięciu klas, na które dzielą się w tym celu wszystkie w Państwie miejscowości. W któréj więc klasie miejscowości handlujący czy też procederzysta interes swój prowadzi, wyznaczony dla téj klasy patent wykupuje, a mianowicie:

	kategorya druga,	kategorya trzecia.
Klasa pierwsza	65 rubli	20 rubli
„ druga	55 „	18 „
„ trzecia	45 „	15 „

Klasa czwarta	35 rubli	10 rubli
„ piąta	25 „	8 „

Ta podstawa poboru patentowego rozciąga się nietylko do drugiéj i trzeciéj kategoryi, lecz i do pierwszéj w oznaczeniu drugiego podatku, któremu jak się wyżéj wspomniało, handel i przemysł ulega: t. j. opłaty od zakładów przemysłowych i handlowych; a więc hut, fabryk, składów, sklepów, piwnic, powoźni, restauracyj etc. Klasyfikacya téj opłaty jest następująca:

	kategorya pierwsza,	kategorya druga,	kategorya trzecia.
Klasa pierwsza	30 rubli	20 rubli	10 rubli
„ druga	25 „	17 „	8 „
„ trzecia	20 „	15 „	6 „
„ czwarta	15 „	10 „	4 „
„ piąta	10 „	5 „	2 „

Każdy handlujący dwóch pierwszych kategoryj obowiązany jest ponosić tę drugą opłatę przynajmniéj od jednego zakładu (choćby nawet żadnego własnego nie posiadał); a jeżeli ma więcéj niż jeden zakład, to od każdego z nich z osobna opłatę oznaczoną składać winien. Handlujący i procederzyści trzeciéj kategoryi nie mają prawa posiadania więcéj nad cztery zakłady; jeżeli chcą większą ich mieć liczbę, muszą przejść do kategoryi drugiéj i oznaczony dla niéj patent wykupić (a zarazem i wyższą opłatę drugiéj kategoryi odpowiadającą od tych zakładów ponosić).

Dodatkowo do patentów pierwszéj i drugiéj kategoryi pobierała się na rzecz powinności ziemskich czyli funduszów gubernialnych trzecia jeszcze opłata. Od handlujących pierwszéj kategoryi, jednostajna po 32 ruble na rok, a od drugiéj kategoryi pięcioraka zależnie od klasy miejscowości: po 14, 12, 9 i pół, 7 i pół i 5 i pół rubli. Od czasu zniesienia funduszu powinności ziemskich dodatek ten wprost na Skarb jest pobierany; zaś od roku 1875 patentowe podwyższone zostało o 10%, które to podwyższenie pobiera się pod tytułem dopełnienia na pokrycie kosztów reformy urządzenia kwaterunkowego.

Wpływy z patentowego (wraz z dodatkami) czyniły:

w roku 1871	—	13.29	milionów rubli
„ 1872	—	12.97	„ „
„ 1873	—	13.90	„ „
„ 1874	—	13.52	„ „
„ 1875	—	14.60	„ „
„ 1876	—	14.56	„ „

Przed wspomnianém na początku powyższego ustępu *E* prawem o podatku patentowym opłacali handlujący, przemysłowcy i procederczyści podatek tak zwany gildowy bez stopniowania podług klas miejscowości, i z podziałem na trzy tylko kategorye gildami zwane, który to wyraz jak widzimy utrzymał się i w nowém prawie, lubo bez właściwego fiskalnego znaczenia; raczéj jako tytuł, osobom do pierwszych dwóch kategoryj patentowego zakwalifikowanym służący i pewne osobiste nadający prerogatywy. Dawniejsza gilda trzecia obejmowała większą część tytułów podatkowych pięciu teraźniejszych niższych kategoryj; dziś i nazwa jéj po nowéj klasyfikacyi całkiem została uchyloną.

Co do wolności od opłaty patentowego służącéj księgarniom nie w stolicach znajdującym się, praktyka fiskalna jest w tym względzie taka, iż za handel księgarski uważa się jedynie i wyłącznie sprzedaż samych książek; skoro zaś połączona jest z nią sprzedaż nut, map, sztychów, litografii itp. już się zakład taki za właściwą księgarnię, do folgi podatkowéj prawo mającą nie poczytuje. Idzie za tém, iż w rzeczywistości małe tylko handle księgarskie, jakiemi są pospolicie antykwarnie, patentowego podatku nie ponoszą.

II. Podatki niestałe czyli pośrednie.

A. *Opłata trunkowa* (ustanowiona przez prawo z dnia 4 Lipca 1860, obowiązujące od dnia 1 Stycznia 1863 a uzupełnione następnie w prawach z dnia 25 Maja i 16 Czerwca 1873 i z dnia 6 Maja 1875).

Pobiéra się ona jako akcyza od wyrobu wódki i jako patentowe od gorzelni, browarów, tudzież sprzedaży spiritualiów tak hurtownéj jak i detalicznéj.

Akcyzie ulegają: 1 alkohol i wódka ze zboża, z kartofli i buraków; 2, alkohol i wódka z wina, owoców i syropów; 3, piwo i miód.

System poboru téj opłaty oparty jest na ścisłém dozorowaniu fabrykacyi. Akcyza od wódki wyrabianéj ze zboża, kartofli i buraków oblicza się podług ilości produktu i zawartości w nim alkoholu, wyprowadzonych z natury materyału i objętości kadzi fermentacyjnych. Od lat kilku robią się w Ministerium Skarbu próby innéj metody wyceniania, w któréj wyprodukowane ilości i alkoholowa ich zawartość oznaczają się z pomocą kontrolującego przyrządu autograficznego. Metoda ta została już nawet w niektórych guberniach wprowadzona, lecz tylko jako środek pomocniczy obok ogólnéj dawniejszéj.

Pierwotna z roku 1861 stopa opodatkowania wódki zbożowéj po 4 ruble od wiadra czystego alkoholu podwyższana była kilkakroć:

w roku 1864 do rubli pięciu, w roku 1869 do rubli sześciu i w roku 1873 do rubli siedmiu.

Akcyza od wódki z wina, owoców i syropów, tudzież od piwa i miodu pobiéra się podług objętości kadzi fermentacyjnych, kotłów i narządów dystylacyjnych; mianowicie zaś od wódek po 11 kopiejek od wiadra; od piwa po 12 kopiejek od wiadra każdorazowego waru; od miodu zaś po 50 kopiejek od wiadra dziennie przez cały czas fabrykacyi.

Ilości wyprodukowane po nad normę urzędowego oszacowania są od akcyzy wolne.

Patentowe opłacają gorzelnie w stosunku 10 rubli od 540 wiader objętości kadzi fermentacyjnych; dystylarnie syropowe w stosunku 3 rubli od 50 takich wiader; dystylarnie winne i owocowe w stosunku 3 rubli od 30 wiader objętości kadzi.

Patentowe nałożone na browary jest dwojakie: na browary w stolicach po 40 rubli od 50 wiader objętości kadzi fermentacyjnych, a na browary po prowincyach po czwartéj części téj kwoty (czyli po rubli 10). Warzelnie miodu ponoszą patentowe jednostajne po rubli 10 od kotła obejmującego nie więcéj nad 25 wiader; większa objętość przysparza opłaty po rublu na każdém wiadrze.

Zakłady wreszcie przerabiające tylko spiritualia już akcyzie uległe, opodatkowane są nie w stosunku objętości swoich naczyń, ale podług klasy miejscowości: w obu stolicach po 150 rubli rocznie, w ludniejszych miastach gubernialnych i powiatowych po 75 rubli, a wszędzie indziéj po 50.

Patentowa opłata od lokali, w których się sprzedaż napojów odbywa, była od roku 1863 nie raz i znacznie podwyższaną. Stopniuje się ona w dwóch kierunkach: podług samych lokali i podług klas miejscowości, których jest trzy. I tak:

	w miejscowościach klasy I	klasy II	klasy III
Składy win obcych sprzedawanych na butelki opłacają rubli	400	200	70
Składy win obcych z prawem wyszynku	950	480	160
Składy win krajowych	25	15	15
Piwiarnie	55	15	5
Szynkownie wódki	550	270	140
Restauracye	330	110	70
Hotele i zajazdy	550	140	90

Nie należą do powyższéj klasyfikacyi bufety w teatrach i resursach, tudzież na przechadzkach publicznych, na stacyach kolejowych i parowcach. Wymienione przedsiebierstwa ponoszą opłatę patentową od 40 do 170 rubli; rozmaite zaś tego rodzaju zakłady na

jarmarkach od 14 do 440 rubli. (Podług jakiéj klasyfikacyi, autor nie wyłuszcza; podstawę dla niéj znaléźć byłoby rzeczywiście trudno; i musi ona zapewne zależéć od uznania władz skarbowych miejscowych.)

Przed wprowadzeniem akcyzy i patentowego główny artykuł spożycia źródłem tych dochodów będący, tj. wódka, opodatkowywała się w drodze monopolu, wydzierżawianego przez Rząd przedsiebiercom prywatnym na pewną liczbę lat i częściowo, zwykle guberniami. Wydzierżawiała się tylko sprzedaż, a właściwie prawo szynkowania, gdyż produkt wyrabiany był w gorzelniach rządowych. Z tych gorzelni obowiązani byli dzierżawcy monopolu brać wódkę po oznaczonych w kontrakcie cenach i sprzedawać takową również po cenach oznaczonych; różnica między pierwszemi i drugiemi miała ich korzyść stanowić, a odstąpienie części téj korzyści Skarbowi czyli opłata dzierżawy monopolu stanowiło przedmiot licytacyi pomiędzy współubiegającymi się o nią. System ten nie rozciągał się do t. z. Guberni Zachodnich, gdzie rozpowszechniony przemysł gorzelniczy prywatny lekkiéj tylko do roku 1863 ulegał akcyzie, a sam wyszynk żadnych opłat na rzecz Skarbu nie ponosił.

W roku 1879 ustanowioną została dodatkowa opłata od wódek słodzonych i w jakibądź sposób zaprawnych, z któréj spodziewany w tymże roku dochód ma uczynić półczwarta miliona rubli.

Opłaty trunkowe jak się wspomniało są najobfitszém ze wszystkich dochodu państwowego źródeł. W ostatniém pięcioleciu, za które rachunki ogłoszono, przyniosły one:

w roku	1873	179.29	mil. rubli	w ogólnym	dochodzie	537.94	m. r.
„	1874	200.79	„	„	„	557.73	„
„	1875	197.36	„	„	„	576.49	„
„	1876	191.08	„	„	„	559.26	„
„	1877	189.67	„	„	„	548.83	„

A więc w pierwszém z tych lat 33,3% ogólnéj sumy dochodowéj, w drugiém 36%, w trzeciém 34,2, w czwartém 34,1, w piątém 34,5. W zamierzeniach na rok 1878 rubryka ta preliminowana była na 192.98 m. r.; w roku 1879 przynieść ma 212.48 m. r. (w ogólnym dochodzie 628.96 m.); w czém jednak mieści się i nowa opłata od wódek zaprawnych.

B. *Opłata od soli.* Podług prawa z roku 1818 dwojaki był system ciągnienia przez Skarb korzyści ze sprzedaży soli: akcyza i mo-

nopol. Handel solą był wolny i opłatą akcyzy obłożony, lecz Skarb jako właściciel większéj części solnych wyzysków sprzedawał ogromne ilości ich produktu po cenach przez Radę Państwa ustanawianych, w których naturalnie i równowartość akcyzy była objęta.

W roku 1862 nakazaną została sprzedaż lub wydzierżawienie solnych wyzysków rządowych, a wysokość akcyzy na 30 kopiejek od puda stale oznaczoną. Lecz ponieważ to przeobrażenie dokonać się jeszcze nie dało, sprzedaż soli skarbowéj do téj chwili się odbywa.

Sól krajowa przynosiła skarbowi rosyjskiemu w ostatnich latach mniéj więcéj około półdwunasta miliona rubli. W roku tylko 1877 dochód z niéj spadł wyjątkowo na 10 z górą milionów, z przyczyny, jak mówi urzędowe sprawozdanie, zmniejszonéj wydajności Permskich warzelni, spowodowanéj przez ogromny pożar, który zniszczył wielkie zapasy soli i drew. W preliminarzu na rok następny 1878 widzimy dochód ten podniesiony do 12 przeszło milionów: na jakiéj podstawie, objaśnienia nie znaleźliśmy. W preliminarzu na rok 1879 widzimy znów cyfrę dochodu z soli znacznie niższą od dawnéj przeciętnéj 11.26 milionów rubli.

Teraźniejszemu ministrowi Skarbu podczas pobytu jego na przeszłorocznym jarmarku w Niżnym Nowogrodzie usilne czynione były przedstawienia ze strony stanu kupieckiego o uchylenie opłaty od soli; w zamian czego ofiarowane było z téjże strony podwyższenie opłaty patentowéj, ubytek tamtego dochodu w zupełności nagrodzić mające. Sól jest opodatkowaną we wszystkich ucywilizowanych krajach i liczy się wszędy w rzędzie najniezawodniejszych źródeł dochodowych, a i najprawowitszych przyznać trzeba, o ile do bezpośredniego ludzkiego służy spożycia. Ciekawą więc byłoby rzeczą dowiedzieć się, jakie racye przytaczało przedstawicielstwo kupieckie na jarmarku niżnogrodzkim za uchyleniem opłaty od soli. Zrozumialszém byłoby dla nas żądanie zniżenia opłaty od soli zagranicznéj, która jest artykułem najwyżéj w taryfie rosyjskiéj oclonym: w stosunku bowiem 63% wartości, i po herbacie najdochodniejszą, a przynajmniéj jednę z najdochodniejszych téjże taryfy rubryk stanowi.

C. *Opłata od tytuniu.* Pobierana jest (podług prawa z dnia 4 Czerwca v. s. 1871 roku) dwoiście: raz w fabrykacyach, drugi raz w handlu.

Fabryki tytuniu, tabaki, cygar i papiérosów mogą istniéć tylko w miastach, za zezwoleniem Wydziału Dochodów Niestałych, który nad każdą taką fabryką celem dozorowania zakupu materyału, jakotéż czynności przerobu, osobnego od siebie ustanawia kontrolera.

Tytuń i tabaka, cygara i papiérosy nie mogą przechodzić z fabryk do handlów inaczéj, jak w zamkniętych pudełkach lub zapieczętowanych paczkach, banderolą opasanych, na któréj waga zawartego w nich tytuniu, albo liczba cygar czy papiérosów jest wypisana, tudzież ilość opłaconéj akcyzy. Ta ostatnia rozmaitą jest podług jakości tytuniu; w przecięciu równa się trzeciéj części wartości (?).

Fabryki tytuniu w Petersburgu, Moskwie, Rydze, Odesie i miastach Królestwa Polskiego istniejące, obowiązane są wykupywać corocznie przynajmniéj za 10 tysięcy rubli banderol; inne zaś za 6 tysięcy.

Prócz akcyzy ponoszą fabrykanci i sprzedawcy tytuniu następujące opłaty patentowe:

	w Petersburgu, Moskwie, Rydze, Warszawie i Odesie	w innych miast.
Fabryki tytuniu, cygar i papiérosów	300 rubli	150 rubli
Handle hurtowe tytuniu krajowego w liściach	100 „	50 „
Takież tytuniu krajowego i obcego przerobionego	150 „	50 „
Handle detaliczne, restauracye, bufety i inne zakłady sprzedające cygara i papiérosy na sztuki . .	od 25 do 5	od 15 do 3

Prawo z dnia 6 Czerwca 1877 roku wprowadziło znaczne w tym systemie zmiany. Doświadczenie okazało, iż zasada oznaczania akcyzy podług wartości tytuniu otwiérała pole nadużyciom; sprzedawanie wyższych gatunków tytuniu pod tańszemi banderolami dosyć powszechną stało się praktyką. Dla zatamowania onéj ustanowiło dopiéro wymienione prawo opłatę jednostajną od wszelkich gatunków tytuniu, bez względu na onych jakość, a mianowicie: od tytyniu i tabaki po 24 kopiejki od funta; od stu cygar po 60 kopiejek, a od stu papiérosów po $37\frac{1}{2}$ kopiejek.

Tytuń krajowy najpośledniejszego gatunku, w liściach sprzedawany i do żadnéj defraudacyi powodu nie nastręczający, ponosi opłatę czterech kopiejek od funta (ma się rozumiéć w handlach i składach, a nie z piérwszéj ręki przez producentów, sprzedawany. Szkoda, że autor nie wyłuszczył, jaka jest kontrola skarbowa takiéj

sprzedaży liściowego tytuniu, skoro tenże nie podlega opakowaniu ani banderolom. W rzeczywistości jest ona niemożliwą, i domyślamy się, że dochód z tego źródła musi być arcy mało znaczący, i że liściowy tytuń krajowy można uważać tak dobrze jak za wolny od opłat w detalicznéj sprzedaży).

W ostatnich pięciu latach 1873—77, za które Rząd rachunki ogłosił, opłaty od tytuniu przyniosły: 10,37—10,73—10,54—10,52—12,01 milionów rubli. Ta ostatnia cyfra tak znacznie od poprzedzających wyższa zdaje się być skutkiem nowego prawa, wprowadzającego jednostajną stopę akcyzy od wszelkich tytuniu gatunków. W preliminarzu na rok 1878 dochód z tego źródła oznaczony jest na 13,22, a w preliminarzu roku 1879 na 13,79 milionów rubli.

Cła od tytuniu zagranicznego przynosiły ostatniemi laty po milionie kilkaset tysięcy rubli.

D. *Opłata od cukru.* (Podług praw z dnia 26 Listopada 1863 i 10 Czerwca 1872 r.). Wyrób cukru dwoistemu też ulega opodatkowaniu: patentowemu i akcyzie.

Patentowe opłacają fabrykanci cukru nierafinowanego (z wyjątkiem wyrabianego z winogron jako też fabryk syropu). Ilość tego podatku oznacza się podług wydajności fabryk na stopę 10 rubli od tysiąca pudów cukru w przeciągu dni stu; wydajność zaś fabryki szacuje się na podstawie metody, do obliczenia akcyzy służącéj.

Ilość produktu akcyzę ponosić mającego ustanawia się 1-mo podług liczby i potęgi pras, 2-do podług liczby dni roboczych w fabryce, i 3-o podług wagi przerabiać się mających cukrodajnych materyałów.

Przyjętém jest, że z berkowca (czyli dziesięciu pudów) buraków powinno się otrzymać—zależnie od stopnia doskonałości przyrządów extrakcyjnych—22 do 30 funtów cukru surowego; oznacza się też ilość buraków, jaka w ciągu doby przerobioną być może; w czém ustrój przyrządów tudzież onych objętość na względzie są miane. Z pomocą takiego systemu obliczania daje się ilość cukru surowego w ciągu kampanii wyrabiającego się oznaczyć.

Opłata od tego wyrobu ustanowioną została w roku 1867 na 70 kopiejek od puda. Podług prawa z dnia 10 Czerwca 1872 mocen jest Minister Skarbu podwyższyć tę opłatę do kopiejek 90, jeżeli dochód z akcyzy razem z cłem od cukru zagranicznego pewnéj oznaczonéj sumy nie dosięgną (suma ta oznaczoną była w latach 1873 i 74 na 4

miliony rubli, w latach 1875 i 76 na 5, a w 1877 i 78 na 6 milionów rubli). Na zasadzie tego upoważnienia nastąpiło od roku 1875 podwyższenie akcyzy do kopiejek 80.

W razie wywiezienia cukru za granicę akcyza się zwraca.

Gdy czynność pras zastępują dziś w większéj już liczbie cukrowni tak zwane dyffuzory, tych więc objętość za jednę z podstaw obliczenia produkcyi zamiast tamtych jest braną.

W ostatnich pięciu latach, z których ogłoszone są rachunki (1873—77), przyniósł cukier krajowego wyrobu dochodu Skarbowi porządkiem wspomnianych lat: 3,87—3,86—3,18—4,99—6,77 milionów rubli; przewidywane zaś na lata 1878 i 79 cyfry dochodów były 5,82—5,63 m. r.

E. *Opłata od nafty.* Nafta w Rosyi produkowana ponosiła akcyzę, przez prawo z dnia 1 Lutego 1872 ustanowioną. Pobiérała się ta akcyza podług systemu opodatkowania spiritualiów i cukru. Dystylarnie naftowe płaciły po 4 kopiejki od wiadra zawartości retort dystylacyjnych i od dnia roboczego. Jeżeli zawartość wspomniana przechodziła 208 wiader, wtedy opłata ustanawiała się ryczałtowo po 10 rubli od dnia roboczego i od retorty.

Małoznaczący z téj opłaty dochód skarbowy (5.461 rubli w r. 1873 i 3.568 w roku następnym), uciążliwy jednak dla naftowego przemysłu, który pomimo wielkie w Rosyi bogactwo nafty słabo jest rozwinięty, spowodował zupełne onéj uchylenie.

F. *Opłaty stemplowe i aktowe.* Podług przepisów z dnia 17 Kwietnia 1874 i 1 Lipca 1875 r. są opłaty stemplowe dwojakiego rodzaju: zwyczajne i szacunkowe.

Zwyczajnéj opłacie stemplowéj kopiejek 40 ulegają:

Prośby, podania i deklaracye wszelkiego rodzaju, przez osoby prywatne i stowarzyszenia w prywatnych interesach do władz sądowych i administracyjnych wystosowywane;

odpisy wyroków i decyzyj władz osobom prywatnym udzielane;

dokumenty stanu i osoby dotyczące; świadectwa posiadania lub stanu majątkowego i konsensa na prowadzenie jakiegobądź procederu;

plenipotencye i listy kredytowe;

testamenta.

Opłata stemplowa od pism pomienionych liczy się po kopiejek 40 za każdy ich arkusz.

Pojedyńczą tylko opłatę czterdziestu kopiejkową, tj. bez względu na liczbę arkuszy, ponoszą zawiadomienia i oznajmienia władz rządowych do osób prywatnych w odpowiedzi na ich podania pisane.

Wyciągi i odpisy kontraktów opłacają stempel czterdziestokopiejkowy za każdy arkusz wtedy, gdy i oryginały ich w tym samym były opodatkowane stosunku; zaś po pięć tylko kopiejek za arkusz, gdy oryginały tańszym były obłożone stemplem.

Pięciokopiéjkowy stempel za każdy arkusz pobiéra się od poniższych dokumentów, jeżeli w nich idzie o wartość mniejszą niż 5o rubli.

Kontrakty kupna gruntów, na własność włościanom przyznanych, umowy o zamianę gruntów pomiędzy włościanami i właścicielami większymi; umowy o wywłaszczenie z gruntów; poręczenia jeżeli osobny stanowią dokument; kwity depozytowe.

Akcye i obligacye rosyjskich towarzystw handlowych, jako też listy towarzystw kredytowych ziemskich ponoszą stempel czterdziestokopiéjkowy, z wyjątkiem wystawionych na sumę mniejszą niż 5o rubli; które ostatnie pięciokopiéjkowéj tylko ulegają opłacie. Stosuje się to i do papiérów wartościowych obcych, które bez krajowego stempla obiegu w Rosyi mieć nie mogą.

Polisy ubezpieczeń obłożone są stemplem czterdziestokopiéjkowym za każdy arkusz z wyjątkiem na premie niżéj 15 rubli, które podlegają pięciokopiéjkowemu (także za każdy arkusz) stemplowi.

Takiż stempel ponoszą:

Pokwitowania wydawane osobom prywatnym od władz z odbioru podań, dokumentów i piéniędzy; karty-umowy w przedmiocie trat i weksli zagranicznych; dokumenty zwalniające w zupełności lub częściowo od zaciągniętych zobowiązań, jeżeli interes nie przechodzi pięciu rubli, i jeżeli pisma takie na osobnych się mieszczą arkuszach: np. pokwitowania z wypłat, rachunki świadczące o odebraniu piéniędzy, towarów lub innych wartości itp.; ceduły wodne i frachtowe, pewne kategorye paszportów i kart pobytu.

Stempel zaś szacunkowy pobiéra się podług dwóch różnych taryf.

Podług jednéj, w ilości przecięciowéj od 0,8 do 0,9 procentów sum dotyczących, stemplowane są weksle, obligi bez zastawu ruchomości zawarte, rachunki podpisane przez dłużników i w ogóle wszelkie dokumenta, ściągające się do zobowiązań osobistych żadnemi zastawami niezabezpieczonych.

Podług drugiéj taryfy opodatkowują się na stopę jednéj czwartéj jednego procentu w przecięciu dokumenta i dowody przejście

prawa własności zaświadczające, kontrakty najmu, obligi długowe z zastawem i obligi na papiéry procentowe; te ostatnie jednak podług zniżonéj taryfy (autor nie wyłuszcza jakiéj).

Opłaty aktowe (czyli wpisowe) pobiérają się przy zmianie tytułu własności mienia nieruchomego na stopę 4% wartości takowego. Wolne są od nich spadki nieruchomości beztestamentowe, jako też i testamentowe, jeżeli te ostatnie należały się spadkobiercom z tytułu prawa spadkowego, a zatém i bez testamentu na ich własność by przeszły.

Liczne zwolnienia od opłat stemplowych i aktowych służą zakładom dobroczynnym i edukacyjnym.

W ciągu pięciolecia 1873—77 wpłynęło do Skarbu z opłat stemplowych i aktowych porządkiem lat: 16,25—16,02—18,35—17,01—16,07 milionów rubli.

A. A. K.

Wojny trzydziestoletniéj początek.

WEDLE NAJNOWSZYCH OPRACOWAŃ.

(Geschichte des dreissigjährigen Krieges von Anton Gindely.—Der böhmische Aufstand.—I Band, Prag bei Tempsky 1869, II und III Band, Prag bei Tempsky 1878).

Co w dziejach ludzkości najcharakterystyczniéj uderza, to często bardzo pojawiająca się dysharmonia między rzeczywistą wagą i znaczeniem rostrzygających o losach i kolejach epok i społeczeństw czynników, a materyalnemi ich zasobami i pozorami. Czémże liczebnie i terytorialnie są Żydzi starożytności w porównaniu z królestwami i ludami Babylonu i Asyryi. Czémże są Grecy w obec tłumów i obszarów Xerxesowych; czémże w obec powodzi gminoruchów przybytki światła, cywilizacyi i wiary, nie mające przeciw zalewowi Gotów, Vandalów czy Hunnów innéj i lepszéj broni nad reprezentowaną przez się ideę? A przecież świecą, czy to Żydzi, czy Grecy starożytności, czy bronione natchnioném słowem swych kapłanów, bohatérów i dziewic metropolii świata średniowiekowego, zasługą posuwających naprzód ludzkość w dziejowym jéj pochodzie żywiołów, kiedy światło cieniowe ich przeciwieństwa sterczą tylko ujemną w tymże samym pochodzie cyfrą. Głębsze zastanowienie się nad treścią i duchem dziejów ludzkości przekonywa, że regularnie najważniejsze w olbrzymim ich dramacie role nie dostawały się największym i najpotężniejszym, materyalnie organizmom, ale raczéj społeczeństwom, żywiołom, narodom, zajmującym bądź to geograficznie ważne pod względem wojennym, politycznym i handlowym stanowiska, bądź, co ważniejsza, reprezentującym w pewnych epokach żywotne ich idee. Nietylko organizm ciała ludzkiego ma swe absolutnéj żywotności, często niepokaźne i mało dostrzegalne punkta; nietylko tenże sam organizm ma małe w stosunku do całości swéj

serce i *głowę*, od których przecież czyny i losy człowieka zależą. Ważność roli podobnych czynników nie potrzebuje być bynajmniéj przez to jeszcze synonimem ich materyalnego szczęścia i powodzenia, jak nie jest synonimem ich materyalnéj potęgi. Opatrzność dziejowa jakoby każąc im okupywać zaszczyt odgrywania roli wielkiego czynnika dziejowego ubytkiem i stratą w innéj dziedzinie, wskazuje je często na cierpienia i klęski, które przedstawiając w tém jaskrawszém świetle zasługi, usługi, znaczenie humanitarne i cywilizacyjne podobnie uprzywilejowanych społeczeństw czy organizmów, odbijają się przecież krwawo i boleśnie na doli i życiu składających je ludzkich jednostek.

Historyozoficzne te rozmyślania, spostrzeżenia, uwagi, dające się zastosować do tylu innych społeczeństw i organizmów dziejowych, dają się pośród narodów *słowiańskich* zastosować przedewszystkiém do *Czechów*. Liczebnie i terytorialnie nie reprezentował naród czeski nigdy wielkiéj potęgi. Nie mówiąc o Polsce, którą wyraźnie z tego zestawienia wyróżniamy i wyosobniamy, obejmują państwa morawskie, serbskie, bułgarskie plemię nawet, większe obszary, przedstawiają większe ludnościowe cyfry, zapisują nie mniejsze nawet wojenne zapasy a może i nie mniejsze nawet dla sprawy narodowéj na dziejowych swych kartach poświęcenia. Pozostanie przecież między Czechami a niemi *ta* kardynalna różnica, że kiedy inne owe narody czy narodowości słowiańskie żyją i istnieją *dla siebie*, Czesi charakterystycznym pośród nich wyjątkiem stają się wyobrazicielami i walecznikami idei, współcześnie organizm europejski elektryzującéj. W wieku XV podczas wojen hussyckich, w wieku XVII jako krater długo nurtującego wnętrze społeczności europejskiéj wulkanu namiętności i sporów religijnych, występują na pierwszy plan wielkiéj widowni dziejowéj, stają się jednym z głównych czynników rozgrywającego się na niéj dramatu. Pierwszy wybuch owego wulkanu w wieku XV nosi na sobie piętno przedewszystkiém *narodowe* i *ludowe* zarazem. Naród czeski występuje wprawdzie w obronie swych prawd religijnych, widać płonących na stosie reprezentantów ich Husa i Hieronima z Pragi. Równocześnie jednakże podnosi broń przeciw grożącemu zewsząd zalewowi germańskiemu w imię owéj prawdy i istoty *narodowéj*, zrozumianéj bardzo wyraźnie i dobrze pod tym względem przez inne bratnie żywioły słowiańskie, mianowicie przez Polskę. Zyszka w obozie Jagiełły pod Grunwaldem, Zygmunt Korybut wraz z zastępem polskim w obozie husyckim przeciw krucyatom niemieckim, starczą nam za dowód powyższéj prawdy. Co nadto w owéj wojnie XV wieku uderza, to, jak już powiedziano wyżéj, jéj gruntownie ludowy charakter. Zyszka, Prokop, otóż jéj

bohaterowie i legendowe postaci, innych nadaremnoby szukać. Zwycięztwo zostaje wskróś późniejszego panowania Jerzego z Podiebradu, wskróś bojów z Maciejem Korwinem, wskróś panowania Jagiellonów i Habsburgów XVI wieku, przy podjętéj przez naród sprawie narodowéj i religijnéj, by spotkawszy się z prądem reformacyjnym *ogólnego*, europejskiego znaczenia, doprowadzić do ponownéj erupcyi w XVII wieku, radykalnie odmiennego charakteru.

Dziejową wielkością, narodowém nieszczęściem Czech pozostanie naówczas fatalna ich, nierozerwalna spółka z tymże właśnie kosmopolitycznym ruchem *całéj* Europy. Z jednéj strony stawały się Czechy, dzięki owéj spółce, najdrażliwszym, dotykającym sympatycznie cały system nerwowy społeczności protestanckiéj punktem, punktem streszczającym około siebie wszelkie ich interesa i namiętności; z drugiéj przecież strony, wychodząc w ten sposób na podobnie *internacyonalnego* znaczenia czynnik i objaw, zatraciły w swém ruchu charakter narodowy, postradały korzyści, jakie każdemu wstrząśnieniu nadaje narodowy zapał, ściągnęły sobie nieprzyjaciół, których ruch zamykający się w granicach *narodowéj* tylko dążności nie byłby mógł nigdy wyprowadzić na scenę. Do zatargu narodowego między niezadowolnionymi Czechami a reprezentantem domu habsburgskiego nie byliby mieli zapewnie powodu mieszać się ani papież, ani król hiszpański Filip III, ani namiestnik katolickiéj Belgii arcyksiążę Albrecht, ani król francuzki Ludwik XIII, ani katolicka liga niemieckich książąt. Polska zaś, *choćby* nawet Polska Zygmunta III, nie byłaby im zapewnie pokazała nieprzyjaznego oblicza. Odkąd przecież Czechy występują na widownię ze sztandarem *religijnym* w ręku, stają na wysokości wielkiego interesu europejskiego, ale zwracają zarazem tém samém przeciw sobie żywioły, któreby o nich nigdy nie były pomyślały. Nieszczęściem ich zaś pozostanie, że rzucając się pierwsze w wir walki, legły w niéj, nim zdołały wywołać i stworzyć sobie odpowiednią odsiecz. Późniejsze interwencye trzydziestoletniéj wojny, duńska, saska, szwedzka, francuzka, choćby nawet wallensteinowska próba konspiracyjna, przychodzą wszystkie zapóźno, po czasie, po klęsce Białogórskiéj i pragskich mordach. Walka toczy się już około omdlałego aż do ostatecznéj niemocy habsburgskim krwotokiem ciała narodu czeskiego....

Fatalna ta na długie wieki w życiu jego chwila miała nibyto bardzo wielu historyków, nie wyjmując samegoż nawet Schillera; właściwie jednakże nie miała go dotąd ze stanowiska *narodowego czeskiego*. Wielki historyk Czech, zmarły przed kilku laty, uczczony wystawieniem publicznego pomnika, Franciszek Palacki, nie zdążył a może być, że i nie chciał dosięgnąć swém opowiadaniem fa-

talnéj mety roku 1620, daty ogromnéj klęski narodu czeskiego, faktu uroczystego przedarcia tak zwanego *listu majestatu* Cesarza Rudolfa, pogrzebu publicznego prawa królestwa czeskiego, by je zastąpić panowaniem pochodni, miecza i rusztowań. Wielki historyk Czech doprowadził opowiadanie swe dziejów narodu czeskiego opowiadanie, odznaczające się więcéj może powagą traktowania przedmiotu i zasobem nagromadzonego materyału historycznego, aniżeli artystycznym układem, aż do zgonu króla Ludwika pod Mohaczem w roku 1526, czyli aż do wygaśnienia dynastyi Jagiellonów na tronie czeskim. Po za tę datę oświadczył nie chcieć wychodzić w przedmowie do ostatniego tomu swych *dziejów narodu czeskiego*, wskazując na stargane pracą, znużone wiekiem siły, powołując równocześnie innych i młodszych do wyręczenia go w dalszym ciągu tego wielkiéj zasługi narodowéj trudu.

Pociechą wielkiego historyka czeskiego z pogodnéj i wzniosłéj wyżyny nadziemskiéj już dzisiaj sfery pozostaje, iż jego inwokacya nie pozostała bez odpowiedzi, że znalazła posłuszny odzew a on sam następcę godnego mu ze wszech miar sprostać, jeżeli go wręcz nie przewyższyć. *Antoni Gindely*, pierwszy dzisiaj w plejadzie historyków czeskich, pierwszorzędny w szeregu europejskich w ogóle,—profesor uniwersytetu Pragskiego wziął na siebie zaszczytne i trudne zadanie dokończenia dzieła podjętego przez swego znakomitego poprzednika. Czego może tylko żałować należy, to że nie zaczepiając dalszego ciągu swego opowiadania o chwilę, na któréj je skończył Palacki zapełnił raczéj historyografią narodową czeską monumentalnéj wartości monografiami, stanowiącemi jakoby niezupełny i świecący szczerbami pomost między wygaśnieniem rodu Jagiellonów na tronie czeskim a początkiem powstania z roku 1618. Do takich drogocennych monografij znakomitego historyka czeskiego należą dzieła, których proste tytuły poświadczają ich wagę i znaczenie naukowe. Wydana w roku 1868 historya braci czeskich w dziele *Böhmen und Mähren im Zeitalter der Reformation*, wydana w roku 1868. *Historya wystawienia czeskiego listu majestatu z roku 1609*, ogłoszona wreszcie równocześnie *Historya Rudolfa II i jego epoki od 1600 do 1612*.

Co w podobnie zabiegłéj, podziwu godnéj działalności dziejopisarskiéj mężów, jak Palackiego i Gindelego uderza, to szczery w niéj a czynny udział *samegoż narodu*, udział, który nas Polaków zmusza mimowolnie do rumieńca wstydu a niechajby, co lepsza i co daj Boże, zniewolił choć późno do naśladowania. W naszém społeczeństwie zdobywającém się sporadycznie i wysiłkowo, od czasu do czasu, na objawy w rodzaju jubileuszu Kraszewskiego, jakżeż trudno człowiekowi nauki, historykowi przedewszystkiém, o materyalną po-

moc niezbędną do gromadzenia dokumentów, nieuniknioną w dziedzinie przygotowawczego *historycznego tworzenia.* Jeżeli się nie zdarzy jaki Mecenas prywatny i to Mecenas ulegający najczęściéj porywom własnych gustów i fantazyi a nie kierujący się racyonalnemi względami nauki,—wskazany *u nas* pracownik dziedziny dziejowéj na prześcigającą środki i zasoby jego chudéj zwykle kieszeni konieczność zbierania archiwalnego materyału własnym zachodem i nakładem co z jednéj strony jest już samo przez się przeszkodą we właściwéj dziejopisarskiéj pracy, z drugiéj, z powodu przedstawiającego się regularnie niedostatku materyalnego, pozwala osiągać kulawe i połowiczne tylko rezultaty. Aby obraz całości dziejów narodowych ze stanowiska prawdy a na podstawie niewątpliwej wiarogodności dokumentów miał kiedykolwiek objawić się jako upragniony przedmiot zbiorowéj chęci naszego społeczeństwa, jako wyraz ogólnéj potrzeby i ogólnego interesu narodowego,—nie wskazuje kronika współczesnych dziejów naszych, a doznalibyśmy bardzo szczerego zadowolnienia, gdyby nas przekonano, że spostrzeżenie podobne jest z naszéj strony jedynie tylko pesymistyczném przywidzeniem.

Jakżeż pod tym względem inaczéj u pobratymców naszych czeskich, a jakież świetne dowody owego *inaczéj*, dostarczają nam właśnie imiona dwóch pierwszorzędnych historyków czeskich, Palackiego i Gindelego. Czesi i stany czeskie uważają skreślenie dziejów swych narodowych w organicznéj całości za rzecz obowiązku, zaszczytu i interesu narodowego; a Palacki i Gindely zostali zaopatrzeni przez nich w zasoby materyalne, potrzebne do skreślenia narodowéj historyi. Dzięki podobnie patryotycznéj interwencyi własnego społeczeństwa, zbiérał Palacki materyał do swych dziejów narodu czeskiego po archiwach czeskich, niemieckich i francuzkich. Gindely sięgnął dzięki téjże saméj pomocy w swéj *Historyi wojny trzydziestoletniéj* jeszcze daléj i głębiéj. Pominąwszy archiwa czeskie, publiczne i liczne prywatne, pominąwszy archiwa wiedeńskie, drezdeńskie i monachijskie, korzystał historyk czeski do swéj historyi wojny trzydziestoletniéj z archiwum hiszpańskiego w Simancas, z paryskiego, z holenderskiego w Hadze, z londyńskiego *Britisch Museum*, wreszcie z archiwum dawnych książąt Sabaudzkich w Turynie. Podjęcie studiów i poszukiwań archiwalnych na podobne rozmiary daje naturalnie możność wszechstronnego zrozumienia, pojęcia i przedstawienia właściwéj epoki, ale jest téż wykonalne tylko zbiorowemi siłami i przy pomocy materyalnéj, na jaką prywatna kieszeń rzadko kiedy starczy a rzadziéj jeszcze się zdobywa.

Po tym wstępie koniecznym do ocenienia wartości dzieła, które uwagę naszę niniejszém zatrudnia, przystąpmy do krótkiego zeń spra-

wozdania. Tragedya, jaka się w pierwszéj ćwierci XVII wieku na widowni czeskiéj rozwija, ma swe źródło w antagonizmie, jaki istniał i nurtował oddawna wewnętrznie, jaki prędzéj czy późniéj nie mógł nie wybuchnąć na zewnątrz między *autonomizmem* i *protestantyzmem* Czech wraz z należnemi do korony czeskiéj krainami, a *centralizmem* i *katolicyzmem* domu habsburgskiego. W antagonizmie owym zwarły się politycznie i religijnie dwa przeciwieństwa, rozdzielające nietylko wtedy społeczeństwa, państwa i narody ucywilizowanego świata na dwa wrogie sobie obozy. Stan Czech w przededniu owéj strasznéj burzy był pod względem materyalnym i oświaty kwitnącym, pod względem politycznym i religijnym swobodnym. Znany dziejowo, słynny *List majestatu* Cesarza Rudolfa II z roku 1609, istna *Magna Charta* królestwa i narodu czeskiego,—zabezpieczał konstytucyjnie i pargaminowo, jeżeli tak wolno powiedziéć, swobody czeskie. Pod jego ubezpieczającą egidą rządziły krajem stany czeskie, pozostając w luźnéj zależności od przebywającéj w Wiedniu królewsko-cesarskiéj władzy. Wszelkie antagonizmy, wszelkie zwaśnione z sobą zasadniczo idee, czekają tylko właściwéj chwili i odpowiednich *ludzi*, by się zewrzéć wrogo prędzéj czy późniéj na polu materyalnego zatargu. Ani koniec XVI, ani początek XVII wieku nie dostarczają antagonizmowi Czech i Habsburgów *chwili* i *ludzi*. Zbywa na sposobności, zbywa na fakcie mającym znaczenie doniosłość zapalnéj iskry, zbywa na ludziach energii i stanowczości, którzyby chcieli i byli zdolni doprowadzić rzecz do wybuchu. Po dobrotliwym i niedołężnym cesarzu—królu Rudolfie II, autorze *listu majestatu*, następuje chorowity, niemniéj dobrotliwy i niedołężny cesarz król Maciéj, który bezdzietny, zostający pod niewolniczym wpływem swego kanclerza Khlesla, nie radby przerywać wygody i spokoju, wywoływać krwawych zatargów i zawikłań. Hasłem ich i bezpośrednim powodem staje się perspektywa otwierającego się prędzéj czy późniéj po Macieju dziedzictwa. Jakże rozliczne a sprzeczne interesa spotykają się około owego spodziewanego dziedzictwa!

Zacznijmy ich lustracyą od samegoż domu cesarskiego. Cesarz Maciéj sam łudził się przez niejaki czas przerażającą wszystkich innych nadzieją, że dzięki połączeniu z młodą i piękną małżonką będzie miał jeszcze potomstwo i udaremni wszelkie spekulacye niecierpliwych sukcesorów. Kanclerz Khlesl, gdy nadzieja ta chybiła, przemyśliwał o własnéj regencyi i o urządzeniu sukcesyi według własnych widoków. Stryjeczni bracia cesarscy, arcyksiążęta Ferdynand Styryjski i Maksymilian, najbliżsi tronu przez fakt pokrewieństwa, podjęli plan uregulowania sukcesyi jeszcze za życia i za przyzwoleniem Macieja. Tu jednakże przez zamianowanie następcą Ferdy-

nanda wchodziły znów w rachubę najrozmaitsze względy, wewnętrzne i zewnętrzne czynniki, na które należało mieć oczy otwarte. Zaczynając od *zewnętrznych*, należało się obliczać przedewszystkiém z Hiszpanią i Francyą. *Hiszpania*, owa Hiszpania niedołężnego, zależnego od spowiedników i faworytów Filipa III, miała ze względu pokrewieństwa z austryackimi Habsburgami ważny głos w kwestyi otwierającéj się po Macieju sukcesyi. *Jéj* prawo do téjże sukcesyi nie było gorszém od prawa wspomnianych wyżéj arcyksiążąt austryackich, a jedynie tylko *kompromis* mógł między równo-uprawnionymi doprowadzić do uregulowania sporną kwestyą sukcesyi. Reprezentujący na dworze wiedeńskim Hiszpanią hrabia Onate pracował nad pretendentami sukcesyi, czyliby się prościéj i krócéj wyrazić, nad arcyksięciem Ferdynandem w interesie wykołatania jak największych, o ile możności, koncesyj terytorialnych, mianowicie Alzacyi i Lotaryngii dla sekundogeniturowych planów Hiszpańskiego dworu.

Na drugim planie stała Francya, jeszcze nie wyzyskująca kłopoty niemieckie, Francya Richelieugo i dogorywającego Ludwika XIII, lecz owa Francya małoletności Ludwika XIII, Francya reakcyi po Henryku IV, skłonniéjsza raczéj w Austryi i Niemczech interesowi Habsburgskiéj sukcesyi i sprawie katolicyzmu, aniżeli ich przeciwnikom; Francya, wyczekująca także przecież przy téjże sposobności polityczno-terytorialnéj spłaty. Nie najmniéj ważną w sprawie téj rolę odgrywają daléj książęta Niemieckiéj Rzeszy, czy to członkowie protestantckiéj unii, czy przeciwnie katolickiéj ligi. Niektórzy z pomiędzy pierwszych radziby położyć protest przeciw sukcesyi habsburgskiéj w Austryi, rozbić całość monarchii habsburgskiéj i wyłowić z niéj dla *siebie*, coby się dało. Tém samém pragnęliby równocześnie uniknąć sukcesyi habsburgskiéj w Cesarstwie, grożącéj im reakcyą katolicyzmu. Podobnie jednakże spekulują katoliccy książęta Rzeszy, podobnie neutralni protestanci jak elektorowie Saksonii i Brandenburgii w obec perspektywy sukcesyjnéj. Każdy pragnie przy téj sposobności wynieść na suchy i bezpieczny brzeg, co mu się schwycić i unieść uda. Pominąwszy zagraniczną spekulacyą prócz wspomnianych co dopiéro jeszcze i księcia Sabaudzkiego Karola Emanuela, spekulacyą na tron czeski, winniśmy w interesie naszego przedmiotu bliższą nieco uwagę stanowisku i intencyom w obec sprawy sukcesyjnéj krain składających monarchią habsburgską, Węgier, przedewszystkiém jednakże Czechów, Morawii, Szląska i Łuzacyi.

Dwa wspomniane już wyżéj czynniki wchodzą tu głównie w rachubę, *swoboda religijna* i *samorząd polityczny*. Oba te czynniki, oba żywioły czują się, mniejsza czy słusznie lub niesłusznie zagrożonemi

w razie utrzymania sukcesyi pomaciejowéj w rodzinie Habsburgów... Ztąd budzi się w Czechach przedewszystkiém opozycya przeciw sukcesyi habsburgskiéj wraz z myślą wydobycia kraju z wszelkiemi jego przynależnościami z konglomeratu habsburgskiéj monarchii. Racyi faktycznéj dostarczały owéj opozycyi rozmaite, choć szczerze powiedziawszy, niekoniecznie ważne pogwałcenia Rudolfowego *Listu Majestatu* w dziedzinie kościelnej i finansowéj. Do kategoryi pierwszych należy ów rozgłośny historycznie zakaz budowania kościołów protestantckich w katolickich posiadłościach, mianowicie w klasztorném miasteczku Braunau i w prywatnym majątku Klostergrab. Zatarg z tego powodu między Czechami a cesarską władzą, stanowczy już bardzo na sejmie budziejowickim z roku 1615, nabiéra siły i rozdrażnienia na następnym sejmie pragskim z roku 1617, gdzie opozycya z powodu budowy owych dwóch kościołów i odmowy podatku na wojnę turecką wzrasta do najwyższego stopnia rozdrażnienia Równolegle z ową opozycyą otwartą, sejmową, postępuje opozycya tajemna, konspiracyjna, mająca na celu wydobycie Czech z masy pozostałości, jeżeli tak wolno powiedziéć, zbliżającego się widocznie do końca żywota Cesarza Macieja. Rzeczą uderzającą, że choć *ówczesna* opozycya nie wyrzeka się jeszcze zupełnie charakteru narodowego, że choć sejm pragski mianowicie z r. 1617 uchwala, iż nikomu niewolno zyskać w Czechach *inkolatu* (prawa obywatelstwa), coby nie posiadał języka czeskiego, naczelnikami ruchu na zewnątrz, kierownikami na wewnątrz są dwaj magnaci niemieckiego rodu i języka, Maciéj hr. Thurn i von der Fels. Nie dość, że obaj przemawiają najgłośniéj w łonie sejmu, udają się potajemnie do Drezna i ofiarują koronę czeską Janowi Jerzemu elektorowi saskiemu. Prócz tego poszukują w imieniu stanów czeskich przymierza *polskiego*, ale tak tam, jak tu starania ich nadaremne. Elektor saski woli skarbić sobie zawczasu łaski Habsburgów, aniżeli wiązać się przymierzem ze współwyznawcami czeskimi, których późniéj, w stanowczéj chwili, wyraźnie opuszcza i poświęca. Co się zaś tyczy Polski, nie jest Polska Zygmunta III Polską Władysława Jagiełły, a zamiast bratniéj odsieczy jakiego nowego Zygmunta Korybuta, spadnie na czeskie i morawskie wioski, późniéj nieco, także mordująca i paląca szarańcza Lisowczyków...

Tak więc, mimo zaburzenia spowodowanego zajściami w Braunau i Klostergrab, mimo opozycyi sejmowéj i konspiracyjnéj, mimo odzywającéj się coraz głośniéj na sejmach szląskim i morawskim dążności autonomicznéj, przychodzi do skutku zamianowanie arcyksięcia Ferdynanda następcą po Macieju w krajach monarchii habsburgskiéj jeszcze za życia cesarza. Naturalnie zostawia fakt owéj nomi-

nacyi nietknięty ważną nie mniéj kwestyą następstwa w Cesarstwie niemieckim, o co się Ferdynandowi swoją drogą jeszcze starać przyjdzie. Sejm pragski z roku 1617 zatwierdza Maciejowe postanowienie, a późniejszy poskromca Czech zjeżdża tegoż samego roku wraz z cesarzem Maciejem do Pragi, by pokazywać Czechom przyjazne, rozpromienione wyjątkowo oblicze, by uczestniczyć w świetnéj, wyprawionéj przez stany czeskie uczcie homagialnéj, by trącać o kielichy przewódzców opozycyi, Thurna i Felsa. Istna to Baltazarowa uczta, wśród któréj złowroga ręka kreśli jakoby nieodgadnione znaki strasznéj przyszłości... Przewaga liczebna wyznawców protestantyzmu w Czechach ogromna naówczas. Protestanci zaniepokojeni zburzeniem kościołów swoich w Braunau i Klostergrab pragnęliby naturalnie jako gwarancyi swych praw i potrzeb zaprzysiężenia *listu Majestatu* przez znanego wroga protestantyzmu, jakim był Ferdynand. Tymczasem objawia się już wtedy zamiar jego usunienia zasadniczéj owéj podstawy publicznego prawa krajowego. Radzcy Cesarscy, rozgłośni tyle późniéj przez swój tragiczny w Pradze wypadek Martinic i Slawata, podmawiają wyraźnie Ferdynanda, aby zrzucił z siebie niewygodne więzy *listu Majestatu* i nie stwierdzał go przysięgą. Do podjęcia podobnego kroku nie dojrzały przecież jeszcze rzeczy według przekonania samego Ferdynanda i jego otoczenia. Wolał tedy Ferdynand Rudolfowy akt zaprzysiądz, chowając sobie dalsze kroki na późniéj. Nie przeszkadzało to jednakże, iż następca Maciejowy po krótkim wysiłku wesołości i dobrego humoru, popadł w obec Czechów w stan zwykłéj sobie ponurości i nieprzystępności, a mianowicie marszczył brwi na wielu protestanckiéj szlachty i mieszczaństwa czeskiego; że daléj wczorajszego niemal współbiesiadnika hr. Thurna wyraźnie prześladować i wraz z innymi protestantowi od dygnitarstw krajowych odsądzać i usuwać począł...

Słowem, żył jeszcze łagodny, niedołężny, pragnący zachować pokój Maciej, kiedy następca jego Ferdynand stanął jako złowroga postać, dostarczająca nurtującemu oddawna, ale nie wybuchującemu fermentowi *człowieka* i *sposobność* razem. Rozjemczym, powstrzymującym wybuch żywiołem jest jeszcze Maciej wraz z kanclerzem swym Khleslem, który nie szczędzi swemu panu rad, by wzrastający z Czechami zatarg na drodze pokojowéj załagodzić. Osoba *jego* przecież właśnie pozostanie najlepszym kamieniem probierczym nie mniéj stosunków panujących na dworze wiedeńskim i pośród rodziny habsburgskiéj, jak wartości charakteru tak biednego cesarza Macieja, jak jego następcy. Ferdynand i bracia jego Maksymilian i Albrecht biorą się bezceremonialnie do osoby pierwszego, najpoufniejszego doradzcy cesarskiego, przytrzymują go w przedpokoju cesarskim bez

woli i wiedzy jego pana a następnie każą odwozić na pokutę więzienną do warownego zamku w Tyrolu. Odtąd wzmaga się zaburzenie w kraju, postępują nie mniéj równoległym krokiem czyny reakcyi ze strony działającego w charakterze niezależnego pana jeszcze za życia Maciejowego Ferdynanda.

Zręczny i zabiegły mimo szorstkości i ponurości stara się na wszystkie strony przeprowadzić mimo protestanckiéj opozycyi w Niemczech i Austryi uznanie swego prawa sukcesyi, zatwierdzonego dotąd przez Macieja i przez sejm czeski dopiéro. W Węgrzech, mimo silnéj opozycyi, mimo nawet zamachu na życie jego w Presburgu, wieńczy jego usiłowania pożądany skutek. Zebrany tamże sejm węgierski zatwierdza Ferdynandowe prawo sukcesyi i w krajach korony św. Stefana, w Niemczech znajduje najsilniejszą, najskuteczniejszą podporę i pomoc w rozgłośnym tyle późniéj w annalach wojny trzydziestoletniéj księciu Bawarskim Maksymilianie, przyjacielu młodości, koledze uniwersyteckim z epoki studiów w Ingolsztadzie. Nie poprzestając na tém, udaje się Ferdynand i do książąt protestanckich, między innymi do elektora saskiego Jana Jerzego, którego zyskuje również dla swéj kandydatury cesarskiéj w Rzeszy. Zabiegi i usiłowania strony przeciwnéj na tychże samych dworach niemieckich, podejmowane głównie przez młodego księcia Palatynatu Reńskiego, Fryderyka, zięcia Jakóba I króla angielskiego, pozostają nadaremnemi w obec przewagi Ferdynandowego wpływu, jak w ogóle nie po raz ostatni w ciągu tragicznych a zmiennych kolei wojny trzydziestoletniéj wypada nam bez względu na kwestyą sympatyi i przekonań, podziwiać razem, czynność i energią dwóch, ponurych i przesladowczych postaci obozu katolickiego, Ferdynanda austryackiego i Maksymiliana bawarskiego.

Zyskawszy w ten sposób silną podstawę w krajach monarchii austryackiéj, zyskawszy ją nie mniéj w Niemczech, pewny przymierza Hiszpanii, Polski, pewny neutralności Francyi i Anglii, nie kłopocąc się o niedołężnego umysłowo, ciężko chorego cieleśnie Macieja, poczyna Ferdynand względem Czechów i żądań czeskich zajmować coraz groźniejszą postawę, coraz liczniejsze, coraz wyraźniejsze z jego strony kroki i czyny, wchodzące w wyraźną sprzeczność z zasadniczemi rękojmiami *listu Majestatu.* Protestanci Czech, stanowiący ogromną większość krajowéj ludności odsądzeni od prawa dzierżenia wysokich urzędów. Ku przerażeniu i oburzeniu Czech i całéj protestanckiéj Europy zadekretowane ostatecznie przez Ferdynanda zburzenie protestanckich kościołów „*Broumowskeho*“ i „*Hrobskeho*“, jak je Czesi nazywają. Prezesem dziesięciu namiestników czyli „*mistodrzicόw*“ cesarskich w Czechach został mianowany katolik De-

pold Lobkowic. Z jednéj strony wzbiérał pod ręką habsburgów nurt reakcyi katolicko-absolustycznéj, z drugiéj ogarniało kraj coraz więcéj ponure, jakoby wybuch burzy poprzedzające, usposobienie. Wiosna roku 1618 miała ją sprowadzić. Obradował właśnie podówczas sejm w Pradze. Opozycya w jego łonie przeciw represyjnéj polityce cesarskiéj była reprezentowana głównie przez Macieja hr. Thurna, Einharda z Felsu, Wacława z Rupowa, Szlika, Smirzyckiego, Kińskiego, Budowieckiego. Czterech naówczas było tylko namiestników w Pradze, Wilhelm Lobkowitz, Sternberg, Martinic, Slawata wraz z sekretarzem Fabrycyuszem...

Wśród narad sejmu nadeszło cesarskie pismo sejm rozwiązujące. Była to istna iskra, rzucona w pokłady prochu. W mieście Pradze zapanowało niesłychane wzburzenie. Z pośród sejmujących ułożyli przedewszystkiém Thurn, Szlik, Wacław z Ruppy, Smirzicki i Budowiecki plan, którego wykonanie wtrącało cały kraj i naród w stan wyraźnego buntu przeciw cesarsko-królewskiéj władzy, nie pozwalało myśléć ani o odwrocie, ani o zgodzie. Dzień 23 Maja 1618 był datą wybuchu, który nietylko, że pogrążył Czechy w dwuwiekową przeszło przepaść, ale nadto stał się hasłem do rozpoczęcia olbrzymiéj walki europejskiego interesu o trzydziestu latach trwania. Rano dnia tego wtargnęli wymienieni wyżéj reprezentanci opozycyi sejmowéj na zamek do komnaty obrad namiestniczych i zastali obecnych czterech namiestników wraz z sekretarzem Fabryciuszem. Historyk czeski opisuje tę dziejowo tragiczną scenę w sposób wielce malowniczy... Przedewszystkiém wyprowadzili rozpoczynający akcyą malkontenci z komnaty obrad Sternberga i Lobkowitza, zaręczając, że się *im* nic złego nie stanie. Natomiast zaczęli wśród wzmagających się wyrzutów zdrady i coraz to obelżywszych wyrazów gromadzić się i kupić około osób Martinica, Slawaty i Fabrycyusza. Zagrożeni namiestnicy zaczęli się bronić i uniewinniać swoje postępowanie. Dialog zamienił się w kłótnią, wśród któréj malkontenci, roznamiętniając się własnemi słowami, usłyszeli zachęcające wezwanie Wacława z Rupowa „ž e n e j l é p e, a b y t i d w a z r á d c o w é p o s t a r o č e s k u z o k e n w y b o z e n i b y l i.“ Wezwaniu temu stało się natychmiast zadość: Martinic, Slawata, sekretarz Fabrycyusz wylecieli oknem z wysokości 28 łokci od ziemi. „*Jezus Marya*“ wołał Martinic spadając. Zrzucający go między innymi Kiński odezwał się drwiąco. „Zobaczmy téż, czy mu jego Marya pomoże!“ a wyjrzawszy oknem, zawołał z podziwieniem: „Na Boga, jego Marya pomogła mu doprawdy!“ Szczególném zrządzeniem uszli wszyscy trzéj wyrzuceni szczęśliwie śmierci, a że sam czyn owego zamachu miał być raczéj hasłem zerwania Czech z cesarską władzą,

aniżeli jakiémś nieubłaganém zawzięciem się na życie cesarskich komisarzy, najlepszym dowodem pobłażliwość, z jaką Martinicowi i Fabrycyuszowi pozwolono umknąć do Wiednia i Monachium, rannemu Slawacie leczyć się w Pradze i Teplicach. Cokolwiekbądź, stało się przecież dzięki owemu gwałtowi to, o co zelotom opozycyi chodziło. Było dane hasło walki protestantyzmu z katolicyzmem, związek legalny Czech z cesarsko-królewską władzą był zerwany...

Dziwną fatalnością owego wybuchu i rozwijającego się zeń daléj ruchu pozostanie, że podobnie, jak tyle innych, a na innéj widowni, nie rozumiał sam siebie i swego charakteru. Ruch czeski udzielał się sympatycznie i wstrząsająco, jak już powiedzieliśmy wyżéj, całemu systemowi nerwowemu protestantyzmu europejskiego. Prawdę tę można i trzeba było pojmować, ale zarazem pamiętać o konieczności jak najjaśniejszéj i jak najbardziéj stanowczéj akcyi czysto-*narodowéj*, ponieważ potém co zaszło, o zgodzie z cesarską władzą mowy być nie mogło. Tymczasem ogarnia akcyą czeską, jak to p. Gindely bardzo dobrze rozumié i bardzo przekonywająco przedstawia, dziwna połowiczność i niepewność. Zamiast myśléć o przygotowaniu środków obronnych i utworzeniu siły zbrojnéj, co tém łatwiéj uskutecznić się by było dało, że Austrya znajdowała się w stanie zupełnéj prawie niemocy i bezbronności, ogarnia Czechy nagle chęć dyplomatyzowania i negocyowania z Wiedniem wśród fikcyi uszanowania i uznawania nibyto cesarskiéj władzy. Maciej czyli lepiéj powiedziawszy Ferdynand zgodzili się na podobną fikcyą, udając w nią wiarę a nadewszystko nie tracąc nic na niéj, ponieważ gotowéj armii na poskromienie ruchu nie mieli a negocyacye prowadzone, nawiasowo powiedziawszy bezowocnie przez wysłańca cesarskiego Kuhna, dawały im czas do rozpatrzenia się w kłopotliwém położeniu rzeczy i obmyśleniu środków represyi. Kto natomiast na zwłoce owéj i negocyowaniu tracił, to Czesi. Nie mieli niestety ludzi jakich wydał wiek XV wśród podobych okoliczności, nie było ani Żyszków, ani Prokopów, ani Podiebradów. Zamiast niemożliwéj w niedostatku odpowiednich osobistości dyktatury, dostał się rząd powstańczych Czech ciężko i niedołężnie funkcyonującéj instytucyi, na wpół władzy wykonawczéj, na w pół sejmowi, złożonemu z trzydziestu osób dyrektoryatowi, na którego czele stał Wacław Wilhelm z Roupowa czyli, jak się sam pisał, *Waclaw Wilem Ruppa.* Na naczelnika siły zbrojnéj nastręczał się znany nam już z powyższego opowiadania Maciej hrabia Thurn i niemiecki hrabia Hohenlohe, obaj przy osobistéj waleczności, najniedołężniejsi, nie umiejący nigdy korzystać z nadarzających się okoliczności, wodzowie, nieudolni nadewszystko organizatorowie.

Głównym kłopotem nowego rządu czeskiego staje się niedostatek pióniężny. Zagarnienie dochodu z dóbr koronnych, kościelnych i klasztornych, nadzwyczajne podatki pozwalają wreszcie dyrektoryatowi czeskiemu stworzyć szesnastotysięczną siłę zbrojną, która przecież w ręku Thurna i Hohenlohego niezdolna nawet przeszkodzić pustoszeniu kraju przez wkraczającą od południa pod rozkazami generałów Buquoy i Dampierr'a armią austryacką. Miesiące Sierpień, Wrzesień i Październik roku 1618 są epoką wojennéj akcyi, która pozostawiając nietkniętemi i bezpiecznemi armie obu wojujących stron daje się tém dotkliwiéj we znaki nieszczęsnéj ludności kraju. Pozyskanie dla swéj sprawy znanego z annalów wojny trzydziestoletniéj, gotowego służyć z kolei wszystkim i zdradzać wszystkich Mansfelda, który się znajdował dotąd w usługach księcia Sabaudzkiego Karola Emanuela, nie zmienia w niczém położenia rzeczy. Mansfeld przybywa w 2.000 koni na teatr wojny czeskiéj, by się podobnie jak Thurn i Hohenlohe przypatrywać zdaleka pustoszeniu czeskiego kraju.

Ciekawsze z obu stron widowisko przedstawia widownia dyplomatyczno-polityczna. Poseł hiszpański hr. Onate nie omieszkuje Maciejowi i Ferdynandowi doradzać przeciw Czechom jak najenergiczniejszych środków, obiecując prędzéj czy późniéj niezawodną pomoc swego monarchy. Takież same zaręczenia przyszły dworowi wiedeńskiemu ze strony naszego Zygmunta III. Z drugiéj strony kołatają Czesi o pomoc na wszystkie strony, licząc mianowicie na Anglią. Tu ztąd doznają jednakże gorzkiego zawodu, podobnie jak ze strony Francyi. W takiém położeniu rzeczy pozostawały jedyne widoki choć bardzo kulawéj i utrudnionéj pomocy ze strony Hollandyi, księcia Sabaudzkiego i księcia Fryderyka Palatynatu, spekulującego już wtenczas ambitnie na odegranie wielkiéj w Rzeszy Niemieckiéj roli za pomocą i na podstawie czeskiego ruchu.

Ważniejsze jeszcze i charakterystyczniejsze widowisko przedstawia w ówczesnéj fazie powstanie czeskie ze względu na stosunek swój do różnych krajów monarchii habsburgskiéj. Widowisko to nazywamy dla tego ciekawém i charakterystyczném, że odsłania w uderzający i jaskrawy sposób wewnętrzną naturę czeskiego ruchu, jego raczéj internacyonalną i kosmopolityczną, aniżeli narodową istotę. Zbiegają się do Czech, ofiarując mniéj lub więcéj bezinteresowną pomoc niemieccy wojownicy, jak Thurn, Mansfeld, Hohenlohe, Anhalt, trudno, w pierwszych zwłaszcza miesiącach powstania natomiast spotkać się w szeregach czeskich z nazwiskiem polskiém, a choćby tylko morawskiém lub słowackiém. Od samego początku

przemaga w powstaniu czeskiém charakter religijny, w obec którego narodowy i współplemienny schodzi najzupełniéj na drugi plan. Najlepszym tego dowodem i miarą skutek bardzo rozmaitéj natury, jaki odnoszą usiłowania dyrektoryatu czeskiego około pozyskania sprzymierzeńców w obrębie saméjże habsburgskiéj monarchii. Pomijając Węgry, które w pierwszym owym akcie powstania czeskiego pokazują mu się jeżeli nie wręcz nieprzychylnymi, to przynajmniéj obojętnymi,—objawiają niemieckie lub podniemczone kraje Austryi, jak Szląsk, jak Łużyce, jak Górna i Dolna Austrya nie równie żywsze dla sprawy czeskiéj współczucia, aniżeli bratnia i współplemienna Morawia. Morawia pozostająca w tych samych politycznych, narodowych i religijnych warunkach, co Czechy, nie podaje bynajmniéj chętnego ucha natarczywym naleganiom dyrektoryatu czeskiego o jak najprędszy akces do wspólnéj sprawy. Morawia, stany jéj a nadewszystko moralny jéj i polityczny dyktator, na jakim *Czechom* zbywa, Karol z Żerotina, przeczuwają jasnowidząco, że rozpoczęty ruch skończy się straszną dla kraju katastrofą a starając się doprowadzić do niepodobnéj już teraz na prawdę między Wiedniem a Pragą zgody usuwają się sami od udziału w powstaniu czeskiém. Czesi rozżaleni podobną postawą Morawian do najwyższego stopnia a stany czeskie zwołane na miesiąc Wrzesień r. 1618 do Pragi nie szczędzą przybyłemu tamże Karolowi z Żerotina najostrzejszych wyrzutów. W czasie tegoż sejmu odzywają się rozmaite prądy. Karol z Żerotina, postać jakby stworzona wśród ówczesnych okoliczności do pośredniczenia, do roli rozjemczéj między cesarzem a Czechami, doradza im wprost i bez ogródki akt submisyi, ponieważ sił na zwalczenie władzy cesarskiéj nie ma. Myśl tę poparli z pomiędzy Czechów Diepold Lobkowitz, Sternberg i Waldstein; opozycya jednakże zakrzyczała ich, mianowicie wśród wyrzutów zdrady i obelg przeciw współplemiennym Morawianom a malkontenci odnieśli w łonie sejmu stanowcze zwycięztwo. Mimo to pozostawała sytuacya polityczna niepewną i dwuznaczną, ponieważ dyrektoryat zawiadował krajem w imieniu cesarskiém a Maciej nie przestał, jak dotąd, być legalnym królem Czech i wojować przeciw samemuż sobie jako cesarzowi niemieckiemu.

Tymczasem postępowały wśród udziału i pomocy niemieckich Szlązaków i Austryaków uzbrojenia czeskie, a wojna nie tyle krwawa, ile niszcząca i pustosząca kraj, wlokła się przez jesień pamiętnego roku 1618 dotychczasowym trybem. Przy niedostatecznéj sile, uzbrojeniu i żywności cesarskiego wojska pod dowództwem Buquoy i Dampierrea, było dotychczasowe powodzenie właściwie po stronie czeskiéj, i jedynie tylko nieudolności dowódzców czeskich przypisać

należy, jeżeli w pierwszym owym akcie wojny, kiedy dom habsburgski był zmuszonym ograniczać się na własne jedynie tylko zasoby, armia jego nie została zupełnie zniesioną i zniszczoną. Mansfeld obległ i zdobył zajęte dotąd przez cesarskich Pilzno; Thurn i Hohenlohe odnoszą nie mniejsze korzyści przeciw dziesiątkowanéj głodem, chorobami i niedostatkiem żywności armii Buquoy i Dampierre'a. Na czém jeszcze w stanowczéj owéj chwili, w owéj jesieni roku 1618 zależy, by zapewnić na polu wojennéj akcyi zwycięztwo Czechom? Otóż na połączeniu wszystkich, liczących do 18.000 ludzi, sił czeskich ku obróceniu ich przeciw ogłodzonéj i choréj armii cesarskiéj. *Polityczne* względy przemagają, jak zawsze niefortunnie, w dziedzinie wojennéj akcyi. Zamiast znieść i zniszczyć cesarską armią na południu Czech, pozostawia naczelnie dowodzący hr. Thurn 8.000 ludzi pod dowództwem hrabiego Hohenlohego na posterunku obserwacyjnym przeciw niéj, sam zaś z główną siłą ciągnie do Austryi w zamiarze pozyskania jéj protestantckich stanów dla sprawy czeskiéj. Plan ten powiódł się, do pewnego przynajmniéj stopnia. Stany austryackie oświadczyły się za Czechami i poczęły czynić cesarzowi przedstawienia na rzecz koncesyi dla nich. Przykład ten pociągnął Szląsk, a mianowicie z pośród książąt szląskich margrabiego na Jägerndorfie, który sam wyprosił im pomoc, a niedość na tém wraz ze stanami szląskiemi wysłał korpus obserwacyjny, mający zadanie nieprzepuszczania ochotniczych posiłków z Polski do armii cesarskiéj. Wszystkie te korzyści razem nie równoważyły jednakże szkody, jaką w rezultacie wyrządziło sprawie czeskiéj zaniedbanie zupełnego zniesienia armii cesarskiéj, przedsięwzięcia łatwo wykonalnego w jesieni roku 1618.

Mimo tych wszystkich błędów, mimo kłopotów finansowych niedających się uleczyć i zaspokoić, ani konfiskatami majętności przeciwników powstania, ani kontrybucyami, ani prześladowaniami katolików, przedstawiała przecież i sprawa cesarska rozpaczliwy istnie widok. Armia w rozprzężeniu, wystawiona na łaskę zamachów silniejszéj armii powstańczéj, finanse w nieładzie; ze strony Hiszpanii dotychczas tylko obietnice posła Onate, ze strony Polski sporadyczni ochotnicy bez regularnéj pomocy. Przedmiotem licytacyjnego naówczas obu stron targu jest Jakób I król angielski; wyznaniem, opinią publiczną własnego kraju i narodu popychany do podjęcia sprawy czeskiéj mającéj się stać niezadługo sprawą jego czci własnéj i rodziny; głaskany i usypiany równocześnie przez króla hiszpańskiego Filipa III przedstawieniami i pochlebstwami, „by monarcha tyle prawy i mądry nie podawał ręki buntowi poddanych przeciw prawowitemu ich panu.“ Przedstawienia te i pochlebstwa nie pozostały bez-

skutecznemi; Jakób okazywał systematyczną niechęć Czechom, a pod tym względem i z téj strony mogła sprawa habsburgska być bezpieczną i spokojną...

Cokolwiekbądź, nie zmieniało to bierne powodzenie dworu wiedeńskiego na tyle odległéj widowni rozpaczliwości jego miejscowéj i najbliższéj sytuacyi a w świadomości podobnego położenia rzeczy ofiarował dwór wiedeński Czechom ustępstwa, które nie były zaiste do odrzucenia. Jako pierwszy przecież warunek rozpoczęcia układów figurowało rozbrojenie i rozpuszczenie powstańczego wojska. O ten skopuł rozbiła się próba pokoju. Czesi nie ufali domowi habsburgskiemu, nie chcieli wypuszczać dobrowolnie z rąk środka, jaki dla każdéj sprawy przedstawia siła zbrojna. Wiedeń, chcąc traktować, nie mógł przez pozostawienie Czechom siły zbrojnéj, uznawać ich tém samém jako osóbnéj, równouprawnionéj potęgi. Wśród tych okoliczności, obustronnych kłopotów i negocyacyj, zakończył nareszcie życie dnia 20 Marca 1619 cesarz Maciej ku prawdziwemu szczęściu sprawy habsburgskiéj. Od téj chwili był sam Ferdynand II nieograniczonym panem sytuacyi i rozjemcą sporu między sobą a Czechami. Autor uważał za rzecz stósowną schować sobie na tę chwilę właśnie bliższą charakterystykę Ferdynanda, zapoznanie czytelników z jego osobą. Charakterystykę tę uważamy za jeden z najlepszych ustępów dzieła profesora Gindelego, historycznie zaś i politycznie za tém niezbędniejszą, że nam odsłania pod wielu względami tajniki przebiegu i kolei opowiadanych wypadków.

Osoba Ferdynada II zarysowuje się niezatartemi rysami na tle dziejów wojny trzydziestoletniéj, zwłaszcza jéj początków. Z natury nibyto dobrotliwy, mało samodzielny, podlegający wpływom swego otoczenia, staje się Ferdynad dla tego może właśnie mściwym i prześladowczym. Sam, jak co dopiéro powiedziano, mało samodzielny, umié się przecież w razach krytycznych zdobyć na pewien zasób rezygnacyjnéj wytrwałości, która zastępuje prawdziwą energią i pozwala mu z pewnym spokojem doczekiwać się szczęśliwszéj odmiany losu. Historyk czeski przypisuje mu pewną dobroduszność. Mimo to milczy ona najzupełniéj pod wyziębiającym wpływem ponuréj bigoteryi. Prawdziwy wychowaniec Jezuitów, w którym *serce* nigdy po ludzku i wspaniałomyślnie odezwać się nie umié. A przecież, spoglądając na jego rezygnacyjne zapasy z otaczającą burzą, niepodobna mu odmówić niektórych przymiotów i warunków prawdziwego męża stanu. Syn Karola, najmłodszego brata cesarza Ferdynanda I i Maryi księżniczki bawarskiéj, odebrał pod wpływem matki mianowicie wychowanie, które go namaszczało od dzieciństwa nieledwie na walecznika katolicyzmu przeciw sprawie protestantyzmu. Wycho-

wany i wykształcony troskliwiéj aniżeli inni książęta jego czasów, poszedł w 18-tym roku życia na studia uniwersyteckie do Ingolstadtu, gdzie się poznał i nierozerwalnie zaprzyjaźnił z Maksymilianem, późniejszym księciem bawarskim. Przyjaźń ta miała w historyi Niemiec a może i Europy odegrać bardzo ważną rolę... Za cel i zadanie całego życia obrał sobie walkę przeciw protestantyzmowi. Pod pewnym względem wywołał sam dla tego walkę z Czechami; wywoławszy, uważał ją za środek i sposobność urzeczywistnienia tego, co zadaniem swego życia uczynił. Profesor Gindely streszcza charakterystykę owę Ferdynanda w następnym obrazie.

„Jeżelibyśmy skreśloną tutaj charakterystykę Ferdynanda w krótkie słowa ująć chcieli, streszczałaby się w następny rezultat: że był mężem bogobojnym, który przekonania i czynności kierował według zasad kościelnych, nie starczących niestety do rozwiązania trudnych zadań państwowych, ponieważ nie odsłaniały mu ich istoty, a że przy pedanckiéj troskliwości, z jaką każdego grzechu unikał, sumienie swe badał i modlitwie się oddawał, działalność jego marniała. Jego mały stopień zaufania we własne siły i jego pobożność robiły go powoli narzędziem w ręku faworytów i duchownych doradzców, którzy jego łaski nadużywali do własnego zbogacenia i ustalenia władzy. To, co tu twierdzimy, nie jest może tylko naszém własném zdaniem, powtarzamy tylko słowa kardynała Harracha, współczesnego Ferdynandowi, który w zażaleniu podaném do papiéża obwinia Jezuitów, iż przychylny sobie sposób myślenia cesarza, wyzyskali do ustanowienia własnych absolutnych rządów nad Austryą. Nie można więc Ferdynanda ani za dobre, ani za złe, które się pod rządami jego działo, bezpośrednio czynić odpowiedzialnym, ponieważ jego działalność nosi wszędzie cechę wywieranego nań wpływu. Jakkolwiek on i Filip II w celach swych dosyć się zgadzali, nie było może dwóch różniejszych charakterów. Filip osamotniony i nieprzystępny a równie dla ogółu swych przeciwników, jak dla pojedyńczych z pomiędzy nich, twardy i okrutny. Ferdynand rozmowny, dobrotliwy i uprzedzający względem licznych przyjaciół i faworytów, objawiający nadto dobrotliwość niejednokrotnie w obec tego i owego z religijnych i politycznych przeciwników. Opis zewnętrznéj postaci Ferdynanda, jaki z lat 1621 i 1630 posiadamy, skreśla go jako człowieka średniego wzrostu, krępéj i silnéj postawy, czerwonojasnych włosów, ócz niebieskich. Mając krótki wzrok, zapobiegł ułomności téj posługując się szkłem, które naprzemian w ręku nosił, lub miewał przy rękojeści miecza. Ubiór i sposób noszenia włosów, przypominały Hiszpana, cała jednakże jego postawa, jego przyjacielskość i uprzejmość dla wszystkich, co się doń zbliżali, dowodzi-

ła według zapewnień posłów weneckich, że cała istota jego nie jest wcale hiszpańską. Lubił jeść obficie i winem nie gardził. Pierwszą jego, o cztery lata starszą żoną była siostra Maksymiliana Bawarskiego, a więc własna cioteczna siostra; drugiéj swéj żonie, mantuańskiéj księżniczce Eleonorze, która się odznaczała niezwykłą pięknością a którą licząc 43 lat pojął, kiedy sama miała 23, objawiał wielkie przywiązanie i przepędzał w jéj towarzystwie cały czas wolny od spraw państwa. Wciągu lat, których dotyczy nasze opowiadanie, nie był jeszcze po drugi raz żonatym i spędzał wolne godziny w towarzystwie rodzin Eggenbergów, Harrachów lub Lobkowitzów. Również z posłem hiszpańskim, hrabią Onâte, utrzymywał częste stósunki; w ogóle jednakże pozostawało mu do życia towarzyskiego mało czasu, pominąwszy nawet, że nie objawiał doń szczególnego pociągu. Wiedeński „*Burg*,“ polowanie, kościół i klasztór, otóż miejsca, w których Ferdynand wyłącznie prawie życie swe spędzał.“

Mimo owéj *dobrotliwości* Ferdynanda, o któréj historyk czeski mówi, pozostanie rzeczą niewątpliwą, że względem zbuntowanych religijnie i politycznie Czechów pałał gorącą nienawiścią, prawdziwą namiętnością zemsty i zniszczenia. Niechaj więc tylko miarą rozpaczliwości jego położenia będzie, jeżeli go w zimie z roku 1618 na 19, widzimy zniżającego się pokornie do bezowocnych układów z Czechami, o których wyżéj już była mowa. Kłopotliwość owa wzrastała w epoce właśnie śmierci Maciejowéj z każdym dniem wyżéj. Morawianie, rzucając nareszcie wahanie, oświadczyli się w Kwietniu r. 1619 za sprawą czeską i uczynili do niéj bezogródkowy akces. Wypadek ten ważny bez wątpienia i korzystny dla sprawy czeskiéj posłużył przecież naczelnikowi siły zbrojnéj czeskiéj do demonstracyi politycznéj, która w ostatecznych rezultatach wpłynęła znowu paraliżująco na akcyą wojenną. Buquoy, którego niejeden raz można było zniszczyć, stał ciągle w południowo-zachodnim kącie Czech pod obserwacyą hr. Hohenlohego ze strony czeskiéj. Zamiast połączonemi siłami wykonać nareszcie stanowczy i ostateczny cios przeciw topniejącéj armii cesarskiéj, wyruszył Thurn na tryumfalny objazd do Morawii. W Bernie i Ołomuńcu spotkało go świetne, uroczyste przyjęcie. Reprezentanci jeżeli nie interesu, to przynajmniéj kompromisu czesko-cesarskiego, Karol z Żerotina i Dietrichstein znaleźli się pod przyzwoitą klauzurą. Wojsko cesarskie składające się po większéj części z krajowców przeszło do Czechów; jeden Albrecht von Waldstein, wsławiony tyle późniéj pod nazwiskiem Wallensteina, zdołał umknąć szczęśliwie z częścią swego pułku i z kasą do Wiednia. Panowanie habsburgskie w krajach austrya-

ckich można było uważać za skończone. Sejm morawski, za przykładem czeskiego, przystąpił do narad nad prawem dziedzictwa Ferdynanda, co było prostym wstępem do orzeczenia jego detronizacyi. Pod koniec Kwietnia 1619, wreszcie wtargnął Thurn z 18.000 blisko ludzi do samychże krajów austryackich i spowodował stany austryackie do oświadczenia się przeciw Ferdynandowi. W pierwwszych dniach Czerwca zajął przedmieścia Wiednia; bezpieczeństwo saméjże osoby Ferdynanda znalazło się zagrożoném do najwyższego stopnia. Reprezentanci protestanckich stanów Austryi wymogli sobie posłuchanie, wśród którego posunęli się nietylko do głośnych gróźb, ale nawet zabierali się do saméjże osoby cesarskiéj, aż przecież przytętnił przed zamek, jakoby na odsiecz, pułk Kirysyerów Dampierre'a i wyswobodził szczęśliwie zagrożonego monarchę.

W téj też oto, najkrytyczniejszéj może w ciągu całéj historyi dla panowania Habsburgów chwili, dały się uczuć zgubne następstwa błędów akcyi wojennéj Thurna, owego pozostawienia armii Buquoy w Czechach, owego niepotrzebnego marszu do Morawii, owego pochodu pod Wiedeń, mogącego mieć dopiéro sens po zniesieniu korpusu inwazyjnego. Buquoy przyszedł z wiosną do siebie, przeparł korpus obserwacyjny Hohenlohego bez wielkiego trudu i zadał Mansfeldowi stanowczą klęskę pod Zablatem. Bezpośredniém następstwem pogromu Czechów było uwolnienie od oblężenia miasta Budziejowic (Budweis) i rozlanie się zagonów cesarskich, mianowicie dokazującéj straszliwie po kraju kawaleryi węgierskiéj na całym południowym pasie czeskiego Królestwa. W obec strasznych spustoszeń, w obec rozpaczliwych skarg i biadań mieszkańców zbiegających się tłumnie do stolicy, w obec wzrastających z każdym dniem kłopotów finansowych, którym dyrektoryat czeski nadaremnie starał się zaradzić, upadał duch kraju, rodziła się rozpacz, stawało mimowolnie przed oczy przeczucie tego, co później następić rzeczywiście miało. Ucisk katolickiego duchowieństwa, prześladowanie katolików przez nakładanie uciążliwych kantrybucyj, wszystko to nie naprawiało rozpaczliwego położenia nowego rządu. Armia czeska pod dowództwem Thurna i Hohenlohego liczyła razem około 30.000 ludzi, ale niezapłacona, niedyscyplinowana, pod naczelnictwem w dodatku niedołężném i nieudolném, nie przedstawiała żywiołu zdolnego podjąć energiczną akcyą wojenną.

W lecie roku 1619 powierzono dowództwo przybyłemu na teatr wojny czeskiéj, młodemu, dzielnemu osobiście księciu Anhalt; w obec dezorganizacyi wojska, pośród którego jedynie tylko porządny, regularnie opłacany kontyngens szlązki wyjątek stanowił, nie można było myśléć o wykonaniu skutecznego zamachu przeciw ar-

mii cesarskiéj. Z tego to położenia rzeczy skorzystali obaj wodzowie Ferdynandowi, Buquoy i Dampierre, pierwszy, by wtargnąć od południa do Czech, drugi do Morawii. Wyobraźnia ludzka i dziejopisarska za uboga, aby w całéj zgrozie strasznéj prawdy przedstawić okrucieństwa, jakich się inwazyjna armia cesarska w obu krajach dopuszczała. Nie czyniono tu różnicy między katolikami i protestantami kraju. Jedni nie cierpieli mniéj od drugich; skargi nieszczęsnéj ludności dochodziły uszu samegoż Ferdynanda, który do dowódzców swojéj armii wyprawiał niesłuchane przykazy, by powstrzymali podwładnego żołnierza od gwałtów i okrucieństw. Morawianom udało się pobić Dampierrea, jakkolwiek nie stanowczo, pod Wysternicami i powstrzymać jego dalszy pochód. Buquoy natomiast posuwał się w Czechach bez przeszkody naprzód, wziął szturmem miasto Pisek, szerzył się barbarzyńsko po kraju...

Nadeszła wśród podobnych okoliczności jesień roku 1619. Ferdynand postanowił wtedy właśnie udać się do Niemiec, by przeprodzić prawo owego dziedzictwa cesarskiego w Niemczech podobnie, jak przeprowadził uznanie królewskości swéj w Czechach, Węgrzech i Austryi. Od zyskania korony cesarskiéj w Niemczech zależało w przeważnéj części odniesienie zwycięztwa w zbuntowanych krajach monarchii habsburgskiéj. Miał wszelkie prawo liczyć na pomoc Bawaryi i jéj księcia; mógł niemniéj liczyć na Brandenburgią i Hanower. Saksonią pozyskały mu przeszłoroczne odwiedziny i złe osobiście usposobienie elektora Jana Jerzego dla Czechów. Jedynego właściwie energicznego i stanowczego przeciwnika, znajdowała cesarskość Ferdynanda, tylko w młodym Fryderyku, księciu Palatynatu i reprezentującym go we Frankfurcie pośle Solmsie, aleź i jego akcyą paraliżował znów własny teść, król angielski Jakób I, zapowiadając przez swego agenta Doncastra zięciowi, iż sprawy jego przeciw cesarzowi nigdy własną nie uczyni, wzywając samegoż cesarza do zakończenia sporu z Czechami na polubownéj drodze. Cóż naturalniejszego, jak, że podobna gwarancya neutralności ze strony Anglii obracała się w rezultacie wyłącznie tylko na korzyść Ferdynanda, a że on sam nie spotkał się, mimo początkowo złego nibyto przyjęcia w samémże mieście Frankfurcie, z poważnemi trudnościami w wyborze swoim na cesarza niemieckiego. Wszystkie głosy elektorów, nie wyjmując protestanckich, połączyły się n korzyść jego osoby wśród bardzo miękiego protestu reprezentant. nteresu palatynackiego. Dziwna rzecz przecież, że w téj saméj niemal chwili, kiedy Ferdynand w Niemczech zyskiwał koronę cesarską, w krajach monarchii habsburgskiéj zabierał się tracić królewską.

Połączone w Pradze sejmy Czech, Morawii, Szląska i obu Łużyc przystąpiły do obrad nad prawem królewskości Ferdynanda w tych krajach i orzekły uroczyście jego detronizacyą. Nie dość na tém, wzięły sobie zgromadzone w miasteczku Horn, stany Dolnéj i Górnéj Austryi tęż samę kwestyą za przedmiot narady, a najwybitniejsi członkowie ich, pośród których charakterystycznie odsłania się znamienita postać anachronicznego wieku XVII radykalisty, hr. Erazma Tschernambla, sterują widocznie ku temu samemu, co Czesi, celowi. Trzech przedstawiało się do następstwa po Ferdynandzie kandydatów. Jan Jerzy elektor saski, Karol Emanuel, książę sabaudzki i Fryderyk, książę Palatynatu. Patronem kandydatury pierwszego był hr. Schlick, nie bez widoków dla kandydata swego powodzenia. Główną przeszkodą jednakże był sam elektor saski, sławny z kłótliwości i pijaństwa, ulegający wpływowi wszechwładnego swego, nieprzychylnego z gruntu Czechom nadwornego kaznodziei Hoëgo, obchodzący się sam z nimi i ich propozycyami zimno i odpychająco. Karola Emanuela polecały pomoc, jaką dał Czechom przez odstąpienie im Mansfelda wraz z jego kondotierskim zastępem, traktat wreszcie zawarty z Czechami w Rivoli, mocą którego zobowiązywał się wspierać nadal ich sprawę. Przeszkadzała mu jednakże odległość dziedzicznego kraju, przeszkadzało niebezpieczeństwo grożące ze strony hiszpańskich posiadłości we Włoszech. Pozostawał tak więc na placu jako jedynie możliwy kandydat do korony czeskiéj Fryderyk książę Palatynatu, reprezentowany w Pradze przez radcę swego Achacego Dohnę, wypróbowany patron sprawy czeskiéj w Rzeszy, mający wpływowych rzeczników w osobach prezesa dyrektoriatu Wilhelma Ruppy i większości jego kolegów. Prócz tego przyświecała Czechom w obec kandydatury Fryderykowéj ciągle jeszcze, ułudna, jak się pokazało, nadzieja, że w krytycznéj chwili król angielski Jakób nie będzie przecież chciał porzucić sprawy zagrożonego zięcia. W ten to sposób zapadła na dniu 26 Sierpnia 1619 uroczysta uchwała sejmu czeskiego, oddająca koronę Fryderykowi księciu Palatynatu. Nie zbywało na głosach odradzających neo-elektowi przyjęcia ofiarowanéj korony. W pierwszym ich rzędzie zapiszemy wspomnianego co dopiéro króla angielskiego, który przez Doncastra przesyła zięciowi bardzo surowe przestrogi. Takież same upomnienia ślą Fryderykowi, Maksymilian książę bawarski, Jan Fryderyk elektor saski, wreszcie sam cesarz Ferdynand ze stanowiska swéj zwierzchniczéj władzy. Wszystko to jednakże nie odstręczą młodego, liczącego zaledwie 23 lat, lekkomyślnego równie i płytkiego, jak ambitnego Fryderyka od przyjęcia ofiarowanego tronu.

Tuż po odebraniu wiadomości o wyborze swoim, wybiera się wskróś wątpliwych Niemiec do Czech i przybywa do Pragi dnia 31 Października 1619. Przyjęcie było uroczyste, wrażenie osoby młodego króla, młodéj jego małżonki Elżbiety angielskiéj, maleńkiego synka kłaniającego się na wszystkie strony zgromadzonemu ludowi, jak najkorzystniejsze. W kilka dni po przybyciu, nastąpiła uroczysta koronacya królewskiéj pary; powstanie czeskie postarało się jakoby o akt legalnéj sankcyi. Czyż warto wspomniéć, że tuż po koronacyi nadeszło pismo naszego Zygmunta III do Pragi, odradzające Fryderykowi przyjęcia korony? Młody król był naturalnie tém mniéj skłonny słuchać podobnéj rady, że właśnie jakoby w miodowych miesiącach jego królewskości, zaczęły mu się niespodzianie uśmiechać nowe nadzieje. Mowa tu o ciekawéj postawie i postaci razem słynnego dziejowo Bethlem-Gabora, księcia Siedmiogrodu.

Bethlem-Gabor jest osobistością ambicyi i przyrodzonych przy zbywającym polorze zdolności, z jakiemi się w ciągu dziejów siedmiogrodzko-węgierskich nie rzadko spotykamy. Emeryk Tekely, obaj Rakoczowie są istnymi jego braćmi z ducha. Widok powstających przeciw Ferdynandowi Czechów, chwiejącego się habsburgskiego tronu, uderzył jego wyobraźnią, przedstawił mu się jako pożądana sposobność zbudowania własnéj potęgi. Wynieść siebie samego na niezależnego władzcę Siedmiogrodu i Węgier za pobłażliwą neutralnością Porty Ottomańskiéj i oderwać, jeżeli się uda, kraje austryackie od panowania habsburgskiego, i pozostawić temuż, co najwięcéj Tyrol, Styryą i Karyntyą. Otóż rozległych, daleko sięgających rozmiarów plan Bethlem-Gabora, w którego urzeczywistnienie jako najważniejszy, pomocniczy czynnik wchodziło powstanie czeskie. Ofiary przymierza, zawiezione do Pragi w jego imieniu przez hr. Thurzo, trafiły właśnie w najkrytyczniejszy moment położenia sprawy czeskiéj. Armia niezapłacona, zdezorganizowana, znajdowała się w stanie rozprzężenia; wodzowie cesarscy, Buquoy i Dampierre, napierali ją groźnie. W takiéj to krytycznéj chwili, jakby na zawołanie, posuwa się Bethlem-Gabor doliną Dunaju ku Wiedniowi w 18.000 ludzi. Dampierre i Buquoy wyprzątają w skutek tego czémprędzéj Czechy. Przy jakiéj takiéj energii i zdolności czeskich dowódzców, nadarzała się ponowna sposobność zniesienia do szczętu armii cesarskiéj, zakończenia zwycięzko wojny. Bethlem-Gabor zajmuje Presburg, Thurn, posuwa się ku Wiedniowi, zkąd kto może chroni się do Bawaryi lub Tyrolu. W tym to krytycznym momencie ocala Habsburgów, *interwencya Polski*.

Radzca cesarski Althahn, arcyksiążę Karol biskup wrocławski, udają się z ramienia cesarskiego do Warszawy i zyskują od Zy-

gmuta III, bez zasięgnięcia decyzyi sejmowéj pozwolenie na zaciąg Lisowczyków. Oddany sprawie cesarskiéj magnat węgierski Jerzy Drugeth z Hammony zbiera ich 7.000, wkracza do północnych Węgier i zadaje (w Listopadzie 1619) namiestnikowi Bethlem-Gabora Rakoczemu straszną klęskę. Bethlem-Gabor znajduje się w skutek tego w konieczności odwrotu do Węgier; na teatrze wojny w Czechach i Morawii wraca znów wszystko do dawnego, kłopotliwego dla Czechów stanu.

Polityczna akcya nowego króla czeskiego nie odznacza się lepszą skutecznością. Dnia 21 Listopada 1619 odbywa się za jego inicyatywą zjazd protestanckich książąt Rzeszy w Norymberdze, na który przybywa z groźnemi somacyami reprezentant sprawy Ferdynandowéj hr. Zollern. W obec jego dumnéj postawy, pokornieją protestantcy książęta Niemiec, ograniczają się na zawiązaniu aktu *unii protestanckiéj*, przeciw któréj ma stanąć nieco późniéj *katolicka liga* i rozjeżdżają się, nic nie zdziaławszy. Była to chybiona próba w dziedzinie polityki *zagranicznéj* Fryderyka, któréj nie cechują większe powodzenia w *wewnętrznéj*. Młody książę Palatynatu jest wprawdzie dobrotliwym, uprzejmym dla każdego; żyje dworno, świetnie i rozrzutnie, co zwykle podoba się opłacającéj koszta podobnéj świetności gawiedzi. Zarazem jednakże, co się mniéj podoba i co wywołuje szemrania, zaprowadza pośród słowiańskiéj ludności Czech kościelne zmiany według obyczaju kalwińskiego, zmiany obrażające jéj uczucia i nawykłości. Jakkolwiek ogromna większość Czech przyjęła protestantyzm, jakkolwiek przyjąwszy go, trwała przy nim z niezwykłą naturze słowiańskiéj zawziętością, nie mogła się przecież równocześnie wyprzéć téjże saméj natury słowiańskiéj w pewném upodobaniu i pociągu do usunionych przez kalwinizm zewnętrznych oznak i przyborów religijnego kultu. Posąg św. Jana z Nepumoku stał ciągle jeszcze na moście pragskim; katedra posiadała obrazy znakomitego pędzla, ozdobne ołtarze, rzeźby. Fryderyk zkądinąd wcale nie purytanin, ani fanatyk, rozpoczął w porozumieniu z małą garstką miejscowych zelantów istną kampanią przeciw wszystkim tym zewnętrznościom nabożeństwa. Wyrzucano z kościołów pragskich obrazy, obalano posągi, ołtarze, ku wielkiemu zgorszeniu prostego ludu, który zawrzał istném oburzeniem, gdy się zabrano usunąć z mostu posąg św. Jana Nepomucena. Postawa ludu była tak groźną, iż król widział się zmuszonym odstąpić od swego obrazoburczego zamiaru.

Pierwszy ten błąd wewnętrznéj polityki Fryderykowéj nie był ostatnim. Chroniczną klęską jego krótkiego panowania w Czechach była niesłychana rozrzutność na zewnętrzny blask dworu.

W zimie z roku 1619 na 20 podejmuje Fryderyk w chwili, kiedy każdy grosz nieledwie należało zaoszczędzać na niezapłaconą i szemrającą z tego powodu armią, tryumfalno-homagialny objazd po wszystkich krajach swojéj nowéj korony. Jedzie do Berna morawskiego, do Wrocławia, doznaje wszędzie świetnego przyjęcia, rozrzuca w zamian i przez wdzięczność znaczne sumy pieniędzy. Wyprawa tém mniéj dająca się usprawiedliwić, tém mniéj potrzebna, że Czechy stają się równocześnie widownią buntów chłopskich, domagających się ziemi i swobody, że możne rodziny czeskie, jak Śmirzyccy w Wallensteinowym późniéj Giczynie staczają z sobą krwawe boje, że równocześnie niemal 4.000 kozaków polskich wpada do Morawii, by wszystko palić i mordować, zamieniać kraj w pustynię.

Co mianowicie w owych pierwszych miesiącach roku 1620 było istną piętą Achillesową sprawy czeskiéj, to dwuznaczna postawa Bethlem-Gabora. Podstępny na przemian i przedsiębierczy Madziar waha się ciągle w swych postanowieniach, na kimby właściwie, czy na Czechach, czy téż na cesarzu zahipotekować swe pretensye wielkości i potęgi. W Styczniu r. 1620 obierają go pogniewane z Ferdynandem stany węgierskie „*księciem*, *administratorem Węgier*;“ nie przeszkadza to jednakże, iż Bethlem-Gabor oziębiony dla Czechów, którzy mu nie mogą dotrzymać bardzo wygórowanych przyrzeczeń pieniężnych, zawiera z cesarzem zawieszenie broni, wzamian ustępstw finansowych i terytorialnych na Węgrzech. Chwilowa potrzeba dlań Czechów tém mniejsza, że udaje mu się odnieść zwycięztwo nad swym przeciwnikiem Jerzym Drugethem i przepędzić go wraz z kozakami po za granicę węgierską. Po téj oscylacyi na rzecz cesarza, zwraca się przecież w miesiącu Lutym roku 1620 Gabor znów do Czech i grozi Ferdynandowi wypowiedzeniem zawieszenia broni. Zagrożony ponownie aliansem czesko-węgierskim, cesarz podejmuje teraz na szeroką skalę dzieło szukania sobie przymierzy i sprzymierzeńców na drodze dyplomatycznéj.

Na pierwszym planie i w pierwszym rzędzie przedstawia mu się Hiszpania. Filip III król hiszpański był wprawdzie człowiekiem wielkiéj niedołężności i niesłychanego lenistwa umysłowego, mianowicie wcale niepochopnym do rzucania się na hazardy za dobro i powodzenie habsburgskiego domu. Nie inaczéj usposobionymi byli wszechwładni jego faworyci: spowiednik Aliaga i książę Uzeda. Akcya cesarskiego posła hr. Khevenhüllera była jednakże niezmiernie energiczną i szczerą zarazem. Umiał zespolić sprawę austryackich Habsburgów ze sprawą katolicyzmu, przedstawić na dworze madryckim upadek pierwszéj jako hasło ruiny drugiego na całym kontynencie

europejskim, przerazić Filipa i jego faworytów perspektywą strasznéj za to odpowiedzialności w obec ziemi i nieba.

Filip ustąpił, zgodził się na cesarskie przymierze, poczynił świetne a co lepsza, dotrzymane święcie przyrzeczenia. Z Flandryi i Włoch równocześnie miała nadejść Ferdynandowi hiszpańska pomoc; pierwsza mianowicie zwrócić się przeciw dziedzicznym krajom neo-elekta czeskiego. Zobowiązał się nadto Filip wypłacić cesarzowi 1.600.000 dukatów, prócz tego wziąć na swój żołd 3.000 kozaków *polskich*. Łatwo pojąć tryumf w Wiedniu z podobnego zwycięztwa, które zrównoważało obficie niebezpieczeństwo, grożące ze strony Bethlem-Gabora. Nie ograniczając się na pomocy hiszpańskiéj, zwrócił się Ferdynand do Niemiec, gdzie Maksymilian książę bawarski zaczął naprawdę i zabiegle krzątać się około stworzenia katolickiéj ligi i odpowiedniéj siły zbrojnéj. Podobnież przyrzekł pieniężną pomoc papież Paweł V nie bez pewnych poprzednich targów, podobnież zobowiązał się do wystawienia pomocy kozackiéj, ku wstydowi i upokorzeniu Polski, *za pieniądze hiszpańskie*, nasz Zygmunt III.

Jest to, by pozostać przy materyi *Polski*, jeden z najważniejszych a dotąd nader mało znanych momentów dziejów polskich. Puszczając na chwilę mimo kwestyą, czy było rzeczą Polski, czy było rzeczą króla polskiego podawać Habsburgom rękę przeciw bratniemu, tylu węzłami złączonemu z polskim narodowi czeskiemu, przedstawiały z ową wiosną roku 1620 kłopoty austryackie dla *prawdziwego* męża stanu Polski szeroką i wdzięczną widownię działalności politycznéj. W obec odległości Hiszpanii, w obec niepewności i bezbronności Niemiec, w obec groźnéj postawy Bethlem-Gabora, pragnął Ferdynad *przymierza* polskiego, zamiast ukradkowéj tylko pomocy Lisowczyków polskich. W celu dojścia do pożądanego rezultatu, ofiarował Ferdynad Zygmuntowi III lennictwa wszystkich książąt szlązkich, odpadłych od sprawy cesarskiéj. Nie można powiedzieć, aby propozycya ta była znalazła króla polskiego zupełnie głuchym i obojętnym. Przeciwnie, podwoił nawet ofiarę Ferdynandową, żądając, by mu w zamian przymierza polskiego, cesarz oddał własność nietylko książąt, ale i całéj szlachty szlązkiéj odpadłéj od jego chorągwi. Do zawarcia formalnego traktatu, trzeba było przecież zatwierdzenia sejmowego a tymczasem, jak zobaczymy niżéj, nastąpiły wypadki, które całą tę negocyacyą udaremniły.

Nadto jest to moment, w którym się Ferdynandowi z dziwném szczęściem znajdują coraz to nowi sprzymierzeńcy. W rzędzie ich pojawia się, rzecz dziwna, nasamprzód książę Sabaudzki Karol Emanuel. Istny ten akrobata polityczny ofiaruje Ferdynandowi pomoc

wraz z ręką swéj córki, co mu nieprzeszkadza równocześnie prawie ofiarować pomoc Czechom, jeżeli się tylko za nimi król angielski Jakób oświadczy. Wahania te między dwoma wojującemi stronami skończyły się korzystném dla Ferdynandowéj sprawy postanowieniem pozwolenia przemarszu wojskom hiszpańskim przez kraje domu Sabaudzkiego przeciw zbuntowanym Czechom. Niemniéj niespodzianym sprzymierzeńcem sprawy habsburgskiéj stał się elektor saski Jan Jerzy, który ulegając wpływowi wspomnianego już przez nas wyżéj, pozyskanego przez wysłańców cesarskich nadwornego kaznodziei Hoëgo i mając sobie przyrzeczone lennictwo Górnych i Dolnych Łużyc wraz z jakiém wakującém po destytuowanym władzcy księstwie, n. p. Anhalt, oświadczył się zawczasu za cesarzem. Trzecim wreszcie po Sabaudyi i Saksonii sprzymierzeńcem Ferdynanda stał się książę Maksymilian bawarski, zwołujący zjazd książąt niemieckich katolickiéj ligi i elektora saskiego na walną naradę do Mühlhausen, organizujący dla Austryi zbrojną Niemiec interwencyą, radzący wreszcie bardzo zdrowo Ferdynandowi, by nie orzekał aktu bannicyi (Reichsacht) przeciw neo-elektowi czeskiemu przed odniesieniem nad nim zupełnego zwycięztwa.

Trudno w szeregu mocarstw europejskich będących przedmiotem natarczywych zabiegów obu stron, tak katolickiéj ligi, jak protestantckiéj unii, pominąc *Francyą*. Francya tak niepodobna Francyi pod koniec wojny trzydziestoletniéj, sprzyja stanowczo więcéj cesarzowi i sprawie katolickiéj, aniżeli Czechom, ale ostatecznie zachowuje neutralność, by w kilka miesięcy późniéj zdobyć się na podjęcie rozjemczéj roli. Za interwencyą dyplomatyczną Francyi przychodzą do skutku w mieście Ulm negocyacye między wojującemi stronami. Zjeżdżają tamże w imieniu króla francuskiego hr. d' Angoulème i hr. de Béthune, rozbrajają swemi wpływami książąt protestanckiéj unii, mianowicie wirtembergskiego i margrabiego badeńskiego, następnie ansbachskiego, ale z cesarzem nie udają im się układy a Czechów nie próbują nawet nawracać.

Najsmutniejszą przecież, by nie powiedziéć najniedorzeczniejszą w téj lustracyi dyplomatycznego przedwstępu mającéj z podwójną gwałtownością wybuchnąć burzy wojennéj, jest rola Jakóba króla angielskiego. Stosunek rodzinny, religijna wspólność, opinia publiczna własnego narodu wskazują go na wystąpienie w charakterze sprzymierzeńca sprawy czeskiéj i protestanckiéj. Wszystko to nie jest przecież zdolném wyrwać go ze stanu niechętnéj i opryskliwéj dla sprawy swego zięcia neutralności. Schlebianie króla hiszpańskiego i Ferdynanda waży mu więcéj, a niedość na tém jeszcze i posuwając się jeszcze daléj, bada Jakób sytuacyą, czyby mu za przy-

zwoleniem hiszpańskiém nie udało się może zagarnąć *Holandyi!* Na podobną postawę Jakóba niezdolna wywrzéć wpływu szemrająca coraz głośniéj opinia narodu angielskiego, niezdolna wywrzéć wpływu okoliczność, iż wysłani na ląd stały posłowie angielscy Doncaster i Aston działają wręcz przeciwie doręczonym sobie instrukcyom, na korzyść Fryderyka. Dużo późniéj dopiéro zgodził się pod grozą opinii narodowéj na zezwolenie werbowania żołnierzy w Anglii i Szkocyi na rzecz sprawy czeskiéj. Otóż to krótko streszczony obraz obustronych negocyacyj i zabiegów dyplomatycznych, jak je historyk czeski na podstawie rozległych studiów archiwalnych czytelnikowi przedstawia.

Tymczasem budzi się z wiosną roku 1620 z uśpienia akcya wojenna. Po całych Niemczech odzywa się werbowniczy bęben; często spotykając się i krzyżując z sobą, spieszą tłumy ochotników, bądź to do obozu katolickiéj ligi, bądź to pod sztandary protestanckiéj unii. Rozpoczyna się dla Niemiec zgroza wojny trzydziestoletniéj, mieszkaniec kraju zaczyna padać ofiarą kondottierów jednéj i drugiéj strony. Książę Maksymilian bawarski występuje nareszcie jako widoma głowa *ligi*. Wojska jéj w liczbie 24.000 przeprawiają się w Alzacyi przez Ren, zagrażają Fryderykowemu Palatynatowi, straszą Badeńskie.

Co się tyczy Czech, toczy się naówczas wojna ze strony wyczekujących posiłków wodzów cesarskich Boquoy i Dampierra leniwo i bez energii; Kozacy polscy do[illegible]zują tylko straszliwie po k[illegible] bez możności odwetu, ponieważ wszystkie usiłowania w tym kierunku najlepszego z wszystkich czeskich wodzów, młodego księcia Anhalt, rozbijają się o nieposłuszeństwo niezapłaconego i targującego się wciąż z rządem żołnierza, o kłopoty finansowe, o niedostatek wszelkiego materyału wojennego. Niedość na tem, odzywa się na nowo przycichłe nieco po pierwszym wybuchu powstanie chłopskie, domagające się własności ziemi, własności, któréj szlachta dać naturalnie nie chce.

Jaskrawy światłocień z ponurą perspektywą przyszłości krajowéj, z nędzą i bezbronnością narodu, przedstawia nie zadający sobie ani na chwilę kłamu blask dworu nowego króla. Właśnie wówczas przychodzi neo-elektowi na świat drugi syn, wsławiony tyle później jako rycerz sprawy Sztuartów za rewolucyi angielskiéj, książę Ruprecht. Akt chrzcin małego księcia odbywa się z niesłychanym przepychem. Na ojca chrzestnego uproszono Bethlem-Gabora, który z przeznaczonego sobie zaszczytu wywiązuje się w zastępstwie przez hrabiego Thurzo. Podobna uprzejmość dla księcia Siedmiogrodu była chwilowo tém potrzebniejszą ze stanowiska czeskiego, że Bethlem

został nareszcie obrany *królem węgierskim* i zgodził się na przymierze czeskie za przyrzeczeniem ogromnych, jak na owe czasy i środki kraju, subsydiów piénięźnych.

I wtenczas jednakże jeszcze, i w owym przededniu mającéj się pod wodzą księcia Maksymiliana rozpocząć akcyi wojennéj, zbiéra się raz jeszcze w miesiącu Czerwcu r. 1620 pokojowy kongres w austryackiém mieście Neuwohl. Na zjeździe tym stają reprezentanci stanów obu Austryj, dolnéj i górnéj, cesarza, Czech, Węgier i Polski. Jest to, podobnie jak podjęta późniéj przez posłów króla francuskiego Angoulême'a i St. Catherine, ponowna próba doprowadzenia wojujących stron do polubownéj ugody, naturalnie przecież bezowocnie, ponieważ zatargi *tego* rodzaju kończą się, mogą się jedynie tylko kończyć doszczętną ruiną jednéj lub drugiéj strony.

Wraz z autorem wypadnie nam jeszcze przed przystąpieniem do skreślenia przebiegu ostatecznéj katastrofy pochłaniającéj powstanie czeskie wraz z narodem samym, zwrócić uwagę na *dwa* poprzedzające ją epizody, na akcyą stanów obu Austryj, na ważne i dla *naszych* mianowicie dziejów stanowisko Porty Ottomańskiéj wśród zawichrzeń habsburgskich. Od Kwietnia już roku 1620 toczyły się między cesarzem a stanami austryackiemi negocyacye o złożenie mu hołdu i uznanie cesarskiéj godności. Związane chęcią autonomicznéj swobody i wspólnością religii z Czechami stany austryackie zajęły tymczasem względem Ferdynanda postawę przypominającą nieźle postawę wiedeńczyków w r. 1848 przeciw jego tegoż samego imienia potomkowi. Naczelnikiem, głową i duszą tego ruchu jest wspomniany wyżéj już Erazm hr. Tschernambl, mąż wyprzedzający pojęciami swój wiek, przemawiający w Austryi i Czechach za usamowolnieniem włościan jako za najskuteczniejszą dźwignią poruszenia ich przeciw cesarzowi, przenoszący osobę swą i działalność w ostatecznéj chwili do obozu czeskiego, gdy jego własny, austryacki, skapitulował. Zgromadzone w miasteczku Retz stany austryackie wyprawiły w Czerwcu 1620 do Ferdynanda w deputacyi hrabiego Kufsteina, który po przebyciu ciężkich zatargów z cesarzem doprowadził nareszcie rzecz do kompromisu. *Część* stanów austryackich zgodziła się na podstawie tegoż układu złożyć Ferdynandowi hołd i złożyła go też wraz z homagialną przysięgą na dniu 13 Lipca, w kościele św. Szczepana w Wiedniu. Stany *Górnéj* Austryi nie poszły jednakże za tym przykładem; przeciwnie orzekły za inicyatywą Tschernambla detronizacyą Ferdynanda wraz z nierozerwalném przymierzem z Czechami i Węgrami. W niedostatku przecież odpowiedniéj siły zbrojnéj skończył się opór stanów Górnéj Austryi za wkroczeniem w kilka tygodni późniéj wojsk katolickiéj ligi pod do-

wództwem księcia Maksymiliana bawarskiego. Górna Austrya poddała się a jedyny Tschernambl znów tylko zaprotestował i poszedł do Pragi bronić nadal podjętéj przez się sprawy.

Wspomnieliśmy wyżéj o postawie Porty Ottomańskiéj. Obie wojujące strony obawiały się jéj i pochlebiały na przemian. Cesarz, Czesi, Bethlem-Gabor odbywają pod tym względem równéj wartości i równéj zabiegłości wyścigi. Rzeczą naturalną i widoczną przecież, że szala wpływu żywiołów *przeciwnych* interesowi habsburgskiemu nie mogła nic przeważyć w Konstantynopolu. Porta sprzymierzona z Bethlem-Gaborem, będącym jakoby jéj lennikiem, spoglądająca nie bez zadowolnienia na kłopoty habsburgskie, wyprawiła w Lipcu r. 1620 do Pragi Czause'a, który został przyjęty tamże z niesłychaną radością, wywołał swą obecnością spóźnione niestety dla sprawy czeskiéj poselstwo do Konstantynopola, co najważniejsza wreszcie, przywiózł przyrzeczenie, że interwencya turecka oswobodzi Czechy od napadów polskich Kozaków. Ciekawym i charakterystycznym pod tym względem jest przytoczony przez autora list Ludwika hr. Stahrenberga do księcia Anhalt z dnia 7 Lipca 1620. „Ze strony Polaków nie będziemy, jak się spodziewać należy, mieli kłopotu, bo Turek i Tatarzy dadzą im tyle do roboty, że o innych rzeczach przy téj sposobności zapomną, a załączam W. K. Mości odpis przejętego w tym interesie listu.“ Cecora, Chocim, klęska Żółkiewskiego, tryumf umierającego Chodkiewicza przedstawiają się tak jako odległe, ale nierozłączne następstwa wielkiego wstrząśnienia, do którego hasło dali swém powstaniem Czesi. Najlepszy w tém dowód jego wszechstronnie sięgającego, europejskiego znaczenia.

Nie dość na téj przyrzeczonéj Czechom i Węgrom ze strony Turków dywersyi, usiłowali tak Czesi, jak Bethlem-Gabor wejść w stosunki z dyssydentami polskimi, mianowicie z Radziwiłłami i wywołać ruch przeciw habsburgskiéj polityce Zygmunta III. Nie wiadomo, coby się było stało, gdyby szybko odtąd na główném widowni rozwijające się wypadki wojenne nie były tych usiłowań przedawniły i udaremniły zarazem.

W miesiącu Sierpniu r. 1620 zdołał nareszcie książę Maksymilian bawarski zorganizować trzydziestotysięczną, katolicką armią, w któréj szeregach widzimy wiele znakomitych nazwisk zagranicznych, między innemi n. p. Francuza księcia de Vaudemont. Maksymilian usiłujący utrzymać w swém wojsku surową dyscyplinę, powściągać wybryki przeciw miejscowym ludnościom, rozpoczyna akcyą wojenną od wkroczenia do Austryi i zhołdowania opornych ciągle jeszcze austryackich stanów. Połączywszy się z wojskiem cesarskiém, zostającém pod dowództwem Buquoy i Dampierre'a, posuwa się daléj,

kłopocząc się niewiele o mediacyjne usiłowania posłów francuskich Angoulème'a i St. Cathirine, angielskich—Westona i Cotwaya. Pewném roztrzygnieniem w dalszéj jego akcyi wojennéj staje się ponowne wystąpienie na widowni wojny Bethlem-Gabora. Wysłany przeciw niemu Dampierre legnie w boju pod Pressburgiem, powstrzymuje jednak ruch Węgier i daje tém samém możność Maksymilianowi zwrócenia się całym ciężarem swéj siły przeciw Czechom. Miesiąc Wrzesień jest datą inwazyi armii ligi w granice czeskiego kraju. Przewaga liczby, organizacyi, zasobu materyalnego znajduje się po stronie cesarsko-ligowéj armii. Jeden zamek, jedno miasto po drugiém, między innemi ważny politycznie i strategicznie punkt Pisek, dostają się w ręce zwycięzców, kraj, mimo wszelkich usiłowań Maksymiliana zamienia się w istną pustynię, w dodatku zaś jeszcze przychodzi cesarskiéj sprawie w pomoc zdrada w obozie czeskim. Ohydną rolę zdrajcy bierze na siebie w owéj stanowczo niebezpiecznéj dla kraju chwili Kondottier Mansfeld. Danaidowy podarunek księcia Sabaudzkiego dla sprawy czeskiéj. Widząc zbliżający się upadek owéj sprawy, która mu była obojętną; pragnąc z powodzi wynieść własną fortunę na suchy brzeg; zyskany przez Maksymiliana obietnicą 100.000 złotych, zapewnił go z zajmowanego przez się Pilzna, że nie będzie mu przeszkodą w pochodzie na Pragę.

Znajdujemy się naszém sprawozdaniem w miesiącu Wrześniu r. 1620. Burza zagrażała zewsząd sprawie czesko-protestanckiéj równie, jak nowemu królowi czeskiemu. Z Flandryi wkroczył w 8.000 ludzi hiszpański wódz Spinola w dziedziczne kraje Fryderyka, paląc i pustosząc, zmuszając ludność do tłumnéj ucieczki w sąsiednie kraje niemieckie. Nikczemny król angielski Jakób, który swą postawą nie zdołał choćby tylko *neutralności* na Hiszpanii wytargować dla zięcia, wyprawił teraz po niewczasie dwóch posłów Westona i Cotwaya, nasamprzód do Bruksełli, następnie do Drezna, do obozu Maksymilianowego z propozycyami mediacyi. Wszędzie, mianowicie na protestanckim dworze saskim, spotykali się jedynie tylko z lekceważeniem, jeśli nie wręcz ze wzgardą; w ostatecznéj chwili znaleźli się w obozie Fryderykowym w Pradze, by odczekać, co wypadki przyniosą.

Równocześnie stawała się coraz wyraźniej wrogą dla Czech postawa Saksonii. Elektor Jan Fryderyk odwołał swego reprezentanta z Pragi, nie dał posłuchania posłom czeskim, przygotowywał się przeciwnie do powierzonéj sobie przez cesarza egzekucyi w przynależnościach korony czeskiéj, Łużycach i Szlązku. Od południa nadciągała połączona armia Maksymiliana i Buquoy, pustosząc i niszcząc kraj w niesłychany sposób. Jedyny wódz, stawiający im w owéj chwili jakikolwiek opór, jest młody książę Anhalt. Stacza z różnem

szczęściem boje z najezdniczą armią; pod Rakonicami odnosi nawet pewne korzyści a Buquoy ciężko ranny. Bez zdrady Mansfelda, którego Thurn aż do ostatniéj chwili zasłania swym protekcyjnym wpływem, nie byłaby może sprawa czeska zgubioną jeszcze, tém bardziéj, że Bethlem-Gabor przyrzeka pomoc, która w przeciągu kilku tygodni ma niezawodnie stanąć na teatrze wojny.

Odległe to przecież, jak na kłopoty obecnéj chwili widoki, a w obozie czeskim panują rozpacz i rozstrój w obec nadciągającéj coraz bliżéj pod Maksymilianem i Tillym nawałnicy. Armia czeska liczy zaledwie 20.000 ludzi zdezorganizowanych i zdemoralizowanych przez niedochodzenie żołdu; piéniędzy nie ma, lud się burzy; król Fryderyk nie ma jakoby i wiadomości groźnego położenia rzeczy, bawi się i rozrzuca piéniądze, wreszcie wyjeżdża do armii, by przy niéj w stanowczym momencie *nie* wytrwać. W podobnie krytycznéj chwili ustanawia dyrektoryat czeski radę wojenną, powołuje pospolite ruszenie, okopuje Pragę; Erazm Tschernambl przewódzca opozycyi austryackiéj, znajdujący się teraz w obozie czeskim, występuje po ostatni raz jeszcze z projektem, usamowolnienia ludu jako środkiem obrony kraju, wszystko to jednakże pozostaje niewykonanym pomysłem, przyczynia się raczéj tylko do powiększenia chaosu i zamieszania.

Pod koniec Października, w początku Listopada zbliżają się obie armie ku sobie. Czeska pod dowództwem Thurna i księcia Anhalt liczy wszystkiego razem 21.000, cesarsko-ligistyczna 27.000 pod dowództwem księcia Maksymiliana bawarskiego i słynnego tyle późniéj w annalach trzydziestoletniéj wojny Tillego, kiedy Buquoy ranny i chory towarzyszy raczéj tylko pochodowi cesarskiego wodza w charakterze bezczynnego spektatora. Różnica sił, jak ztąd widzimy, nie była tedy tak bardzo znaczną. Przewagę armii cesarskiéj stanowiły jednakże dyscyplina, regularna płaca żołnierza, jednolitość i zdolność dowództwa. Mimo podobnych warunków, jeżli nie rękojmi sukcesu, wahał się chory, znękany Buquoy, czy przystąpić do stanowczéj przeciw nieprzyjacielowi akcyi. Maksymilian był również niepewnym. Rzecz dziwna, zdecydowali owe wahania naczelnych wodzów na rzecz bezzwłocznego rozpoczęcia bitwy, ludzie podrzędne jeszcze wówczas w armii zajmujący stanowiska a do tego niekoniecznie wojskowi: generał Czerklas de Tilly, hiszpański pułkownik Verduga i kapelan wojskowy, Karmelita Dominicus. Rano dnia 8 Listopada 1620, zajmowała armia czeska wzgórza na południu Pragi, noszące nazwę *Białéj Góry*; armia cesarska rozwinęła się przeciw niéj równolegle, liczni pośród armii téjże księża, mianowicie Jezuici słuchali żołnierzy spowiedzi, udzielali sakramentów, upominali

do walecznego przeciw heretykom wytrwania. Kozacy polscy znajdowali się na lewém skrzydle armii ligistycznéj. Około godziny 9-téj zrana rozpoczęła się bitwa ze strony cesarskiéj szarżą kawaleryi na piechotę czeską. Odpowiedział na nią atakiem własnéj kawaleryi waleczny książę Anhalt i spędził cesarskich z pola. Był to jednakże jedyny moment powodzenia czeskiego w ciągu téj bardzo krótko-trwającéj bitwy. Powtórny atak jazdy cesarskiéj wprawił Węgrów czeskiego wojska w nieład. Poczęli się mieszać i uciekać; za nimi poszli Czesi sami; przed południem jeszcze był tryumf cesarski zupełny, klęska Czechów doszczętna. Odsiecz 8.000 Węgrów, nadesłana przez Bethlem-Gabora, była już tylko zaledwie o kilka mil od placu spotkania; spóźniwszy się, a odebrawszy wciągu marszu wiadomość o klęsce czeskiéj, zawróciła napowrót do Węgier. Rzecz dziwna, że po odniesieniu nawet tego zwycięztwa roztrzygającego nietylko losy wojny, ale co ważniejsza, losy całego narodu i kraju na długie wieki, nastąpiło w obozie zwycięzców pewne wahanie, które w razie energii i otuchy w obozie zwyciężonych mogło jeszcze powstrzymać ruinę. Po wygranéj bitwie zatrzymał się Maksymilian dzień cały na polu bitwy, zostawiając tém samém czas pobitemu nieprzyjacielowi do namysłu, do powzięcia dojrzałego dalszych postanowień.

Na nieszczęście były w Pradze dwie tylko osobistości, pragnące bronić się do upadłego, i jeżeli nie zwyciężyć, to przynajmniéj ze czcią skończyć: młoda królowa, Angielka Elżbieta, małżonka Fryderyka i wspominany przez nas tylekrotnie Austryak Erazm hr. Tschernambl. Król sam, nie mając świadomości nasamprzód, o ile poniesiona klęska jest doniosłą, oddawał się bezmyślnéj obojętności; powiadomiony nareszcie lepiéj, kazał czémprędzéj zaprzęgać i pakować powozy dworskie. Na ten widok przyłączyli się do wędrownéj jego karawany w powozach, pieszo, konno, wszyscy dowódzcy czescy, wszyscy dyrektorowie byłego rządu, wszyscy, co się czuli skompromitowanymi w wypadkach. Opuszczony od dowódzców żołnierz burzył się i klął, przebiegał ulice miasta wśród gróźb i rabunków. Istnie sądna noc, wśród któréj cały majestat pokonanych Czech uciekał sromotnie do Wrocławia, by następnie przenieść swe penaty do Kistrzyna, a późniéj jeszcze do Wolfenbüttel.

Przerażeni, zagrożeni równie od swoich jak od zwycięzkiego nieprzyjaciela mieszkańcy Pragi oddali się mediacyjnéj opiece bawiących w ich murach posłów angielskich Westona i Cotwaya. Obaj Anglicy posłuchali tego wezwania i udali się do obozu Maksymiliana, aby wytargować dla mieszkańców stolicy czeskiéj jakąkolwiek zasłaniającą ich mienia i osoby kapitulacyą, dla stanów czeskich, jakiebądź polityczne koncesye, dla młodéj, królewskiéj pary wolny i nie-

zakłócony żadnym pościgiem odjazd. Książę bawarski przyjął ich wprawdzie grzecznie i uprzejmie, ale oświadczył zarazem stanowczo, że w żadne dla nikogo ustępstwa wdawać się nie może i że ze swego zwycięztwa w całéj pełni korzystać zamierza. Angielscy posłowie odjechali w skutek tego za Fryderykiem na Szlązk. Nazajutrz po bitwie nastąpiło wkroczenie wojsk cesarskich do Pragi. U bram miasta czekali Maksymiliana deputaci miejscy i nieliczni członkowie stanów czeskich. Oddając klucze miasta, oświadczali zarazem polityczną submisyą Ferdynandowi i prosili Maksymiliana ze łzami w oczach o wstawienie się za nimi. Maksymiliana odpowiedź nie była bynajmniéj pocieszającą. Rzekł surowo, że stany czeskie bez wyjątku osób zasłużyly na śmierć, tegoż samego dnia zaś jeszcze napisał do cesarza własnoręczny list z radą, by czasem nie ulegał jakimbądź porywom serca, ale postąpił sobie z buntownikami czeskimi według ogromu ich winy, według praw i doniosłości odniesionego zwycięztwa. Pierwsze dni restauracyi panowania habsburgskiego w odzyskanéj stolicy Czech pozostają w dziwnéj harmonii ze złowrogiemi oświadczeniami Maksymiliana. Miasto uległo rozpasanemu rabunkowi ligistycznego żołnierstwa; sam Maksymilian wywiózł do Monachium skrzynie naładowane złotem i kosztownościami. W Wiedniu panowała ogromna radość; Tilly, Verduga, przedewszystkiém jednakże Karmelita Dominicus byli bohatérami dnia, przedmiotami czci i tryumfów. Nie najmniéj drogocenna zdobyczą zwycięztwa Białogórskiego dla Ferdynanda była nadesłana mu przez Maksymiliana po zajęciu Pragi skrzynia, zawiérająca wszelkie dokumenta i przywileje politycznéj treści kraju czeskiego, między innemi słynny list majestatu cesarza Rudolfa z roku 1609, daléj akta dotyczące wszelkich politycznych czynności i dyplomatycznych stosunków stanów czeskich i dyrektoryatu z epoki powstania. Był to ku radości Ferdynanda niezrównany materyał do późniejszego procesu, jaki reekcya habsburgska przewódzcom czeskiego ruchu wytoczyła. Niepojętym sposobem oddawali się Czesi sami, mimo tak niedwuznacznie zapowiadającego się charakteru nowego panowania rakuskiego jakimś optymistycznym złudzeniom i dziwnemu uczuciu bezpieczeństwa. Wielu członków dyrektoryatu, między innymi Thurn i Schlick popowracali do kraju, zdając się na łaskę i niełaskę; książę Lichtenstein objął rządy Czech, jako namiestnik z ramienia cesarskiego. Wśród klęski i upadku ducha, jakże często zapominano o godności politycznéj i osobistéj! Najzagorzalsi stronnicy ruchu i rządów Fryderykowych spieszyli się ich wypierać, oświadczać wiernopoddańcze uczucia i usposobienia dla cesarza i zwycięzkiéj sprawy. Zwykłe niestety, nie świadczące zaszczytnie o naturze ludzkiéj wi-

dowisko, towarzyszące każdéj klęsce i każdemu pogromowi objawy.

Kilka słów jeszcze teraz tylko wypada dopowiedziéć o wrażeniu białogórskiéj katastrofy na sprzymierzeńców Czech, o usiłowaniach i próbach obrony w obozie zwyciężonych, o zemście zwycięzców nad zwyciężonymi. Bethlem-Gabor był zrozpaczony bitwą białogórską, więcéj może jeszcze oburzony na Fryderyka i Czechów, gdy w skutek pierwszéj przegranéj uważali rzecz za straconą, gdy rzucali broń pod nogi Ferdynanda. Pod wpływem swego oburzenia, bardziéj może jeszcze pod wpływem potrzeby przymierza czeskiego przeciw cesarzowi, nasyłał bawiącego we Wrocławiu przez niejaki czas, nie wiedzącego co robić Fryderyka, radami obrony swych praw i prowadzenia dalszéj walki przeciw domowi habsburgskiemu. Takież same rady dawali Fryderykowi bezpowrotnie skompromitowani w obec cesarza, margrabia na Jägerndorfie i książę Lignicki. By podobnych rad słuchać, trzeba było przecież innego człowieka, aniżeli nim był, aniżeli nim być umiał Fryderyk. Nędzny neo-elekt czeski szukał ocalenia w sromotnéj ucieczce do Niemiec, kiedy nad krajami słowiańskiemi, które mu losy swe powierzyły, zawisł straszny odwet habsburgskiéj restauracyi. W Czechach przygotowywał zwolna akt zemsty cesarski namiestnik książę Lichtenstein; w Morawii, po obelżywéj odprawie deputacyi morawskiéj przez Cesarza, zajął dosłownie podobne stanowisko z ramienia Ferdynandowego kardynał Dietrichstein i Wacław Lobkowitz. Wielka banicya, *Reichsacht*, została z wszelkiemi, zwykłemi przy tego rodzaju aktach prawnemi ceremoniami, rzucona w Wiedniu pod dniem 22 Stycznia 1621 na Fryderyka palatyna Renu, na księcia Anhaltskiego, margrabiego Jägerndorfa, na margrabiego Jana Jerzego brandenburskiego. Stany Łużyckie i Szlązkie uznały Ferdynanda panem i złożyły mu akt hołdu. Kraje ich, oddane w sekwestr protestanckiego elektora saskiego Jana Jerzego, wyszły przynajmniéj obronną ręką. Elektor, choć politycznie sprzymierzeniec cesarski, nie uważał przecież za rzecz godną siebie prześladować do zbytku współwierców religijnych.

Na podobnym obrazie ponurego *jutra* bitwy białogórskiéj, kończy autor trzeci tom swego dzieła o wojnie trzydziestoletniéj. Jéj dalszy ciąg, mianowicie owe krwawe egzekucye w Pradze z r. 1621, owo systematyczne tępienie i niszczenie narodu czeskiego, jego inteligencyi i duchowych jego objawów, będzie dopiéro przedmiotem dalszego opowiadania. Pod koniec naszego sprawozdania z tego pierwszorzędnego w historyografii europejskiéj dzieła, zapiszemy jeszcze kilka nasuwających się mimowolnie spostrzeżeń *ogólnéj* treści.

Na pierwszy rzut oka uderza ogromne, europejskie znaczenie czeskiego ruchu. Czechom dostało się zadanie być zapalną iskrą, sprowadzającą wybuch oddawna gotującego się wewnętrznie wulkanu. Wybuch ten wstrząsa elektrycznie całą Europą, pokrywa ją ruinami, tworzy nowy, długo-trwały system porządku europejskiego. Czesi giną w tym wybuchu, jak artylerzysta podpalający magazyn prochu, ale pogrzeb ich wspaniały, choćby samym tylko ogromem ruiny, ruiny, z pod której zmartwychwstać było im dano dopiéro za dni naszych. Świetny, pocieszający dowód dziejowéj prawdy o niespożytości i nieśmiertelności narodów, które wtrącone wrogiemi losami choćby nawet w paszczę lwów Danielowych, nie zwątpiły o sobie a wiarą w przyszłość, pracą w teraźniejszości umieją się wydobyć na jasne światło dzienne. Upadek narodu czeskiego w roku 1618 jest jeszcze stwierdzeniem *innéj* prawdy. Znakomity historyk, którego dzieło było przedmiotem niniejszego rozbioru, wskazuje na fakt, iż jak ruch czeski XV wieku był czysto narodowym, tak powstanie czeskie z roku 1618 miało cechę najzupełniéj kosmopolityczną. Niechaj nam w *téj* okoliczności będzie wolno upatrywać główną przyczynę klęski czeskiego powstania a zarazem stwierdzić prawdę, że bez wątpienia jest przeznaczeniem i zaszczytem narodów cywilizowanego świata stawać się w rozmaitych chwilach swego dziejowego istnienia reprezentantami pewnych humanitarnych idei, ale że pod karą zagłady i rozczynu nie wolno im stawać się kosmopolitycznymi rycerzami owych idei z przepomnieniem swéj narodowéj indywidualności. Zapominając o téj elementarnéj prawdzie, nie umiejąc zdefiniować natury swego ruchu, nie zamykając go w swych narodowych granicach, nie chcąc pojąć i rozumiéć, że jedyną, najbezpieczniejszą rękojmią wprowadzenia jakiéjbądź idei w życie jest skrystalizowanie jéj i ujęcie w dotykalny kształt *narodowego* organizmu, robiąc się zbyt skromnie i zbyt pretensyonalnie rązem ogniwem całego protestantyzmu *europejskiego*, legli Czesi w zapasach z również kosmopolitycznym obozem przeciwnym.

Bliski daléj i naturalny w owym poglądzie na powstanie czeskie zwrot do stosunku jego z *Polską*. *Nieobecność* Polski wśród olbrzymiéj tragedyi rozgrywającéj się na widowni tyle bliskiéj pobratymczego narodu jest bolesną i przykrą; przykrzejszą przecież i boleśniejszą niemal jeszcze *obecność* jéj taka, na jaką nam spoglądać przychodzi. Już wyżéj powiedzieliśmy, że dla prawdziwie wielkiego i umiejącego patrzéć w przyszłość męża stanu polskiego otwiérało powstanie czeskie szerokie widoki i nowe horyzonty. Czesi czując, że w Polsce znajdą sprzymierzeńca, doszukając go się nawet w Warszawie już w chwili niemal bitwy Białogórskiéj przez osobne poselstwo, byliby naturalnie

woleli oprzéć się na Polsce, wybierać sobie tutaj króla, aniżeli gonić za Niemcem Fryderykiem lub Sabaudczykiem Emanuelem. Sprzymierzyć się z ruchem czeskim, owładnąć nim, pokierować według własnego interesu, z którym czeski nie był sprzecznym, znaczyło to samo, co odzyskać utracony Szlązk, co zająć w sercu Europy pierwszorzędne stanowisko, co stworzyć w jéj wnętrzu wielkie państwo słowiańskie, zabezpieczone swą potęgą i położeniem od wszelkich przemian i kaprysów losu. *Chcieć* przeszkadzać wykonaniu podobnego pomysłu mogła w ówczesnéj Europie jedyna tylko Hiszpania; *módz* przeszkodzić, nikt. Dziwna rzecz, że nie mówiąc już o królu Zygmuncie III, który ulegał wpływom i prądom nie dopuszczającym podobnéj myśli, w społeczeństwie tyle pochopném wówczas do awanturniczych w dziedzinie politycznéj przedsięwzięć, czego dowodem wyprawy moskiewskie i wołoskie, nie znalazło się wówczas dość fantazyi i jasnowidzącego zmysłu, by prąd piérwszéj, by działalność drugiego obrócić na *Czechy*, pociągnąć może króla i Rzeczpospolitą w podobne przedsięwzięcie, jak ich poprzednio pociągnęli na Moskwę. Niestety była to epoka reakcyi religijnéj w Polsce, nie pozwalającéj kłaść sprawy wielkości i potęgi narodowéj przed interesem kościoła; była to daléj epoka, w któréj spowinowacony *prócz* tego z domem habsburgskim król polski nie byłby podał nigdy ręki heretykom, zdzierającym w dodatku koronę z głowy jego powinowatego. I wśród *takich* warunków przecież nawet przedstawiały się jeszcze umiejącéj korzystać z okoliczności Polsce mniéj szerokie, ale cokolwiekbądź z pewnością nie lekceważenia godne widoki. Wspominaliśmy o ofiarze Szlązka, jaką Ferdynand Zygmuntowi III w chwili najcięższych swych opałów uczynił. Odzyskać Szlązk było naturalnie mniéj, aniżeli stać się, czém można było, panem Czech, Morawii, Szlązka i Łużyc *razem*; stać się przecież panem, choćby tylko jednego Szlązka, znaczyło odrywać odeń na wieczne czasy dom brandenburgski, sprowadzać jego pretensye wraz z terytoryalnym obszarem do bardzo skromnych rozmiarów, sprostować tyle niewygodną zachodnią granicę, ocalić od zniemczenia tyle ważny odłam lechickiego plemienia. Otwierająca się ówczesnéj Polsce tyle świetna perspektywa pozostała niestety niedostrzegalną krótkowidzeniu jéj króla, jéj mężów stanu, jéj społeczeństwa. Nie umiano wyzyskać i zrozumiéć nawet wielkiéj, nadarzającéj się dla Polski *sposobności* politycznéj, za to niestety starczyła ciasnota ówczesnéj reakcyi religijnéj, starczyła kondotierska fantazya, by za pieniądze króla hiszpańskiego Filipa III wyprawiać Kozaków, którzy waleczni bez wątpienia w boju, którzy okryci smutnemi wawrzynami w bitwie przeciw bratniemu narodowi, upamiętnili się trwaléj w jego annalach strasznemi przeciw nie-

mu gwałtami i okrucieństwami. Smutna i bolesna rola Polski, kiedy mogła być tyle świetną, a powstanie czeskie z roku 1618, niezrozumiane i niewyzyskane przez nią, stanowi niestety jeden z najcięższych, najstraszliwiéj się w przyszłości mszczących a przecież pomijanych dotąd mimochodem przez historyków naszych błędów polityki polskiéj. Współcześnie już skarał się ów błąd Cecorą i wojną turecką; późniéj osamotnieniem i opuszczeniem Polski pośród reszty Słowiańszczyzny zachodniéj; wreszcie bezpowrotną utratą Szlązka, po który sobie w stokilkanaście lat późniéj poszedł Fryderyk II, skoro lepsze odeń mająca prawa Polska pójść po niego zaniedbała. Otóż to zysk dla *naszych* dziejów, otóż spostrzeżenia i uwagi, do których nam prostą treścią opowiedzianych wypadków dostarcza materyału znakomite dzieło uczonego, niezrównanego w swéj dziejowéj pracy kontynuatora Palackiego.

Kazimierz Jarochowski.

WYSTAWA

SZTUK PIĘKNYCH W PARYŻU

w roku 1879.

(*Dokończenie*).

I.

Ze wszystkich poddziałów sztuki, malowanie portretów jest najlepszą wskazówką, czy malarstwo w danéj epoce stoi na wyższym lub niższym stopniu swojéj doskonałości. Od czasu zakwitnięcia sztuki we Włoszech, portretowanie na chwilę nawet nie ustało. Każdy rok wiódł za sobą całe rzesze artystów, którzy oddani wyłącznie robieniu portretów, zasypywali salony, gabinety i sypialnie twarzami naszych praojców. Cóż to jednak za dziwny widok téj galeryi portetów od Antonio z Messyny aż do obecnych czasów! Ileż to razy w ciągu czterech ostatnich wieków horyzont sztuki wznosił się i opadał, a nić jéj życia rwała się na przekór wiecznemu upodobaniu społeczeńswa w artyzmie! Po olbrzymach wyrastali pajace artystyczni, a po geniuszach imponujących zdumionéj ludzkości rodzili się lokaje schlebiający modzie. Zdawałoby się na pozór, że jeden portret Holbeina, Rembrandta, Vander Halsa lub Van Dycka powinienby raz na zawsze nauczyć artystów, jak malować powinni, aby ich dzieła nie pobudzały potomności do uśmiechu szyderstwa lub politowania. Nie prawda! Każde pokolenie, począwszy od wieku XVII, przynosiło sztuce nową manierę widzenia natury i przekręcania jéj realnéj piękności. Kiedy wielcy artyści odrodzenia starali się wydobyć z płótna wrażenia prawdy, nowsi dawali jéj zawsze piętno czegoś wyszukanego, czegoś, co zadawalniało na chwilę masy, ale co nie mogło przeżyć jednego pokolenia. O dzisiejszych portretach nie można powiedzieć, aby były na równi z tém, co dawniejsi artyści nam zostawili w spuściźnie: jest jednak w nich coś, co daje wskazówkę, że portreciści nam współcześni wchodzą na drogę, któréj nie

należało nigdy opuszczać, to jest na drogę widzenia prawdy w naturze. Rok obecny, więcéj może niż każdy inny, zasługuje na wyróżnienie pod tym względem i na obszerniejszą wzmiankę, gdyż *Salon* nietylko był przepełniony portretami, ale miał ich kilka nawet bardzo znakomitych. Blizko dwadzieścia lat temu, *Salon* ofiarował po raz pierwszy honorowy medal naszemu ziomkowi Rodakowskiemu. Była to wielka rewolucya w łonie sędziów, którzy najwyższą nagrodę woleliby raczéj dać za najnędzniejszy obraz historyczny lub religijny, niż za portret niegodny według nich tak wielkiego odznaczenia. Po dwudziestu latach honorowy medal dostał się znowu portreciście, Karoluzowi Duran. Bez zaprzeczenia portret Durana był ozdobą Salonu. Kobiéta wielkości naturalnéj wychodziła poważnie z brunatnego tła obrazu i imponowała publiczności dumną postawą hrabiny, która w swojém przekonaniu czuje się wyższą nad oglądający ją tłum. Świetny kolor błyszczał z równą siłą na jéj ciemnych włosach jak i na białéj jedwabnéj sukni, która mieniła się niezliczoną ilością barwnych odcieni w pięknie ułożonych fałdach. Rysunek nie odznaczał się tą holbeinowską dokładnością w szczegółach, któremi kiedyś Rodakowski tak zadziwił świat artystyczny w portrecie swojéj matki, ale zawsze posiadał energią i charakter zgodny z szerokiém, prawie dekoracyjném malowaniem Durana. W obrazie czuć było artystę, który widzi piękno w całości, w harmonii barw, bez wyszukiwania efektów utartych i bez poddawania się formułkom konwencyonalnego malowania. W każdém pociągnięciu pędzla widać było rękę artysty, prowadzoną szczerym zachwytem natury i śmiało wykonywającą to, co jéj kazało oko. Portret jednak Durana miał jednę wielką wadę, która nie pozwoli mu być arcydziełem na zawsze. Świetny bowiem kolor białéj jedwabnéj sukni tak dalece przerażał w obrazie, że oko widza z niezmiernie małém zajęciem zatrzymywało się na twarzy hrabiny... Bardzo być może, że twarz hrabiny w naturze nawet nie przedstawiała tyle wdzięku i wyrazu, aby artysta mógł pokazać więcéj charakteru w rysunku; w każdym jednak razie Duran powinien był naznaczyć ją z większą dokładnością i siłą niż ją zrobił, bądź przez pośpiech, bądź téż przez zbyteczne olśnienie się widokiem wspaniałéj i pięknie zfałdowanéj sukni.

Jako studium głowy, nieskończenie wyżéj stoi portret młodego amerykanina, Johna Sargent. Ze wszystkich portretów, jakie kiedykolwiek widziałem, ten najbardziéj przypomniał mi Van Dycka. Bezpretensyonalność w postawie, dokładność bez drobiazgowości, charakter bez przesady, oto zalety rysunku młodego artysty, który po raz pierwszy stanął do konkursu z artystami całego świata i ze swo-

im nauczycielem K. Duranem. Jako kolorysta Sargent nie ma ani téj pewności, ani téj siły co Duran. Widocznie jego oko nie przesuwa się z rozkoszą po barwnéj powierzchni ciała, ale stara się przeniknąć głębiéj pod skórę człowieka i wydostać na wierzch jego charakter nie dla wszystkich wyraźny. Praca Durana jest malowniczym obrazem, a praca Sargenta jest głęboko widzianym portretem, który żyje i mówi. Pomiędzy talentami nauczyciela i ucznia jest przepaść charakterów, która nie pozwoli im nigdy upodobnić się do siebie. Jeden zostanie na zawsze świetnym malarzem pozorów życia, a drugi głębokim psychologiem natury człowieka, wyrażającéj się tysiącami drobnych rysów, które są tylko widoczne dla oka bystrego spostrzegacza. Może na chwilę, portrety Sargenta nie będą olśniewać tłumów i zwracać na siebie powszechnéj uwagi z powodu braku barwności i błyskotliwych efektów, raz jednak przeniesione do galeryi sztuki, pozostaną w niéj na zawsze jako dzieła oparte na trwałych podstawach wiernego spostrzegania i szczerego oddawania wrażeń odebranych od natury. Sargent otrzymał od *Salonu* „wzmiankę honorową.“ Taka nagroda dla artysty jest tém samém, czém dla człowieka szukającego milionów, laurka z powinszowaniem imienin na papiérze z pozłacanemi brzegami. *Jury* nie mogło nie dać młodemu artyście nagrody za jego dzieło przewyższające wszystkie inne talentem i wykończeniem; zbyło go więc lekceważącą „honorową wzmianką,“ która nawet ciemnych tłumów w błąd wprowadzić nie może. Dla czego jednak sędziowie, którzy przez nagradzanie portrecików pokazują się ludźmi o pojęciach postępowych i liberalnych, nie chcieli odznaczyć Sargenta za jego arcydzieło, jest to tajemnica życia zakulisowego. John Sargent zasłużył sobie bez zaprzeczenia na medal; nie dostał go jednak, dla tego że jest uczniem jeszcze, młodym a nieznanym, i dla tego, że jego portret był niezmiernie małych rozmiarów. Dla publiczności są to powody śmieszne: dla sędziów jednak dostatecznie ważne, aby takiemu talentowi jak Sargent dać uczuć jego niższość w pórównaniu ze staremi, uznanemi firmami. Daléj, John Sargent nie jest Francuzem; droga więc jaką przejść mu trzeba, aby został sławnym w Paryżu, musi być dłuższą i twardszą niż dla Francuza. Jeżeli go nie poprą dzienniki, może lata całe szukać uznania w przychylnym wyroku sędziów i nie znaléść go nigdy. Doprawdy, przyglądając się portretowi Sargenta i porównywając go z innemi, pomimowoli przychodzi na myśl pytanie, co sędziowie nagradzają w sztukach: talent, wykonanie, czy téż wiek artysty? Gdyby bowiem nagradzano istotnie wiek, to słusznie młodemu Amerykaninowi nagroda się nie dostała: jeżeli jednak talent lub wykonanie, to Sargent

powinien był otrzymać palmę pierwszeństwa nad panami Bounat, Cabanel, lub Cot.

Stanowisko Cabanela w sztuce, jako artysty o pretensyonalnym stylu i suchém malowaniu, tak dawno już jest znaném, że nie potrzebujemy tutaj bliżéj się nad niém zastanawiać. Co jednak jest godném szerszéj uwagi, to rozgłos, jakim się cieszy Bounat i Cot. Jeden i drugi są malarzami cieszącymi się największą wziętością w Paryżu. Wszystkie znakomitości płci męzkiéj przechodzą przez pracownię pana Bounat, tak jak wszystkie piękności płci żeńskiéj są ofiarami pędzla pana Cot.

Bounat, jako malarz portretów, jest typem mieszczanina. Żaden ruch jego pędzla nie może obrazić estetycznego gustu tych amatorów sztuki, którzy za hasło swojego moralnego życia mają *porządną mierność*. Kto widział raz salon paryzkiego mieszczanina, kto spostrzegł tę cudowną zgodę pomiędzy charakterem człowieka a jego mieszkaniem, ten dziwić się nie będzie, dla czego żaden malarz z taką łatwością nie wejdzie do mieszczańskiego salonu jak Bounat. W obec tych foteli symetrycznie poustawianych na środku i po pod ścianami salonu, wobec téj rozmowy zawsze gładko choć beztreściowo prowadzonéj, w obec téj wesołości nigdy nie przekraczającéj granic konwencyonalizmu, obraz namalowany z ogniem i siłą, niezwykłością swoją i zbyt wydatnemi znamionami żywego temperamentu przerażałby tych ludzi zakopanych w formach życia. Oni w obrazie potrzebują widzieć to, co właśnie Bounat bezwiednie im daje. Począwszy od Thiersa a skończywszy na Wiktorze Hugo, mieszczański artysta nie odstąpił ani na włos od swoich sposobów widzenia natury i pokazywania jéj ze strony zupełnie nieartystycznéj. Podobieństwo rysów dla niego jest wszystkiém, fantazya zaś i *ja* artysty—niczém. Bounat tak widzi twarz człowieka jak aparat fotograficzny. Najdrobniejsza zmarszczka na czole lub koło ust nie może ujść jego bacznéj uwagi i dać miejsca swobodnemu ruchowi pędzla. W każdéj twarzy Bounat widzi symetryczne linie, których uśmiechowi lub gniewowi zaprzéć się nie godzi, a w każdym szczególe znajduje dość ważności, aby z niego zrobić studium przygotowawcze. Naturalnie taka masa szczegółów przeszkadza mu widzieć całość. Jego portrety, pomimo niesłychanego podobieństwa nie żyją i nie mówią, a jego portretowani klienci nudzą się i męczą w ciasnych ramach wyszukanego obrazu. Kiedyś, za młodszych lat, Bounat w obrazie religijnym „Św. Wincenty“ był silnym rysownikiem i gorącym kolorystą. Dziś jego kolor i rysunek zginęły w pracowitém szukaniu drobiazgów, które nadają niezmierne podobieństwo portretowi, ale zabijają artyzm. Nie można bynajmniéj powiedzieć, aby portret Wiktora Hugo

był sztywną i niesmaczną robotą malarza, który nie ma wprawnéj ręki. Z każdego pociągnięcia pędzla widać jak wielki romantyk, który sam kilkoma słowami umiał malować epoki całe, nudził się tą robotą drobną, pracowitą i zmudną. Nikt w głowie tego starca nie umiałby dopatrzéć się rysów wielkiego poety. Ani pod tém szerokiém czołem myśli się nie palą, ani w oczach nie błyszczy ogień natchnienia. Pretensyonalne oparcie ręki na staréj edycyi Homera jeszcze więcéj nadaje poecie pozorów bogatego kapitalisty, który odpoczywa po mozolnéj pracy nad zapewnieniem sobie wygodnéj starości. Samo zrobienie téj ręki mogłoby zabić najlepszy portret. Ta skóra pomarszczona i niedobrze przylegająca do ciała, te żyły wydęte i sine, te palce sztucznie ułożone i powyginane, najlepiéj pokazują, jak Bounat wielką wagę przywiązuje do materyalnéj strony obrazu, zapominając o charakterze portretowanych osób, który maluje się w kilku rysach ogólnych a nie w drobiazgach nagromadzonych z mozołem i trudem.

Jeżeli jednak Bounat jest realistą, który kopiuje szczegół po szczególe, aby stworzyć martwą całość, to Cot jest idealistą, który zamyka oczy na wszystkie szczegóły, aby portretowi dać charakter nie istniejącego piękna. Edmund About taki sposób malowania nazwał kiedyś „rodzajem sztuki, która się podoba kobiétom.“ Każdy obraz Cota jest ładny. Wszystko się tam uśmiecha mile i słodko. Drzewa, kwiaty, morze, ludzie, zwierzęta, słowem cała natura żywa i martwa wdzięczy się do palety malarza, który z pieszczotliwą afektacyą kładzie farby na płótno. Jego sławna na świat caly „*Wiosna*“ najlepiéj charakteryzuje się zastosowaniem jéj do ozdoby bonbonierek. Cot nie jest ani rysownikiem, ani kolorystą; na jego obrazy jednak i portrety można chwilę patrzéć z pewną przyjemnością i, uśmiechnąwszy się dwuznacznie, odejść. Jako uczeń Cabanela i Bouguereau Cot obydwóch swoich mistrzów przeszedł w cackaniu natury. Kiedy jednak u tamtych czuć pewną powagę i gruntowność pod ich wypoliturowanemi farbami, u tego wszystko jest błyskotliwym pozorem, zdradzającym płytkość i chęć olśniewania łatwo zdobytą elegancyą. Kobiéty przepadają za portretami Cota. Nic dziwnego. Wprawdzie wszystkie są do siebie podobne, ale za to wszystkie są ładne jednakowo regularnym owalem głowy, słodko uśmiechniętemi ustami i niewyraźnie błądzącemi w górze oczyma. Gdyby Cot nie istniał sam przez się, potrzebaby sztucznie wytworzyć artystów do niego podobnych, którzyby odpowiednio do buduarowych zapotrzebowań uprawiali ten rodzaj wymuskanéj sztuki. Co innego jest widziéć naturę z jéj pięknéj strony, a co innego podstawiać na jéj miejsce obrazy sztucznéj piękności. Van Dyk wszystkie

twarze widział pięknie, nie przeszkadzało mu jednak widziéć ich prawdziwie. Każda twarz oprócz Vandykowskiego charakteru naznaczona jest swoim własnym i to tak wyraźnym, że nikt o jego naturalności wątpić nie może. Artyzm Van Dycka polegał na wyszukaniu pięknych stron w twarzy i postawie portretowanego człowieka i na pokazaniu ich w pięknéj formie. Kiedy Rubens poddawał się zachwytom bujnie narosłego ciała, kiedy Rembrandt przez sztuczne oświetlenie widział wszędzie grube i wydatne rysy,—Vandyck przy całéj swobodzie malowania starał się zawsze wydostać na płótno szlachetność i wdzięk arystokratycznie ułożonéj do życia szlachty. Dla tego też jeżeli mówimy o energicznym i charakterystycznym rysunku, o szerokiém i silném malowaniu, nigdy nam na pamięć Van Dyck nie przychodzi. Jego portrety w porównaniu z innemi są tém, czém eleganckie pojedynki szlachty Ludwika XIII w porównaniu z napadami wandejskich chłopów na wojska rzeczypospolitéj. Nie mają one ani téj namiętności, ani tego życia, ani téj fantazyi co portrety Rubensa, Rembrandta lub Van der Helsta, ale za to królują nad niemi spokojem, wyszukaną elegancyą i mistrzostwem w skromnéj, choć zawsze pewnéj robocie. Jakkolwiek mniéj malowniczy i mniéj dosadny od innych, Van Dyck musi pozostać wzorem dla portrecistów, którzy oprócz zadowolnienia swoich artystycznych popędów chcą zadowolnić także wykwintny gust ludzi, tylko kształceniem tego gustu zajętych. Te uwagi przyszły mi na pamięć przy oglądaniu portretów naszego rodaka P. Szyndlera. Jego pędzel nie jest podobny do żadnego z dotąd mi znanych. Jako uczeń Cabanela i rzymskiéj akademii młody artysta nie zatrzymał na sobie piętna sztucznéj i wymuszonéj maniery swoich wychowawców. Przeciwnie. Rysunek jego jest zawsze energiczny a nakładanie farb śmiałe i żywe. Jakkolwiek Szyndler jest barwnym kolorystą, portrety jego nie należą do rzędu krzykliwych. Wieje z nich raczéj harmonijna, pogodna jasność tonów, które przyjemnie nęcą ku sobie oko widza i każą mu sympatyzować z portretowaném indywiduum. Gdyby nie uderzające podobieństwo rysów, portrety Szyndlera możnaby z łatwością wziąć za marzycielskie fantazye, które artysta pod czarem pięknych ócz poetycznym pędzlem rzucił na płótno. Tak jednak nie jest. Szyndler, podobnie jak Van Dyck, tylko na swój sposób umié wyszukać w portretowanych przez siebie kobiétach te piękne strony chwilowych, przelotnych wdzięków, które z twarzy brzydkich nawet rysami robią miłe a częstokroć zachwycające oblicza. W tych warunkach, naturalnie, Szyndler nie będzie nigdy malarzem epoki jak Courbet, Millet, lub Chełmoński, którzy do obrazów swoich wkładają każdą cechę wydatnie charakteryzującą współczesne im fizyognomie,

w każdym jednak razie będzie należał do rzędu portrecistów umiejących bez wykroczenia przeciwko prawdzie z każdéj twarzy zrobić piękny obraz.

Co jest większą zasługą, czy nakreślać twarz ogólnemi pięknemi liniami jak Rafael, czy charakteryzować ją z całą jéj brzydotą jak Van Ostade, czy wyszlachetniać jéj rysy jak Van Dyck, nie będziemy się tu zastanawiać, ponieważby to nie doprowadziło do żadnych rezultatów.

Nadmienić jednak trzeba, że jeżeli malarze uogólniający rysy natury mają swój czas poezyi dla wszystkich wieków, to znowu wierni realiści, jak holenderscy malarze, dla wszystkich czasów pozostają artystycznymi kronikarzami swojéj epoki. Hipolit Tadne w swojéj filozofii sztuk pięknych w Niderlandach prawdziwém malarstwem historyczném nazwał twórczość Van Ostadych, Teniersów, Dowów, Metsuów i im podobnych. Uwaga to słuszna i dająca się wybornie zastosować do współczesnéj nam sztuki, z powodu niezadowolnienia pewnych krytyków, którzy nie przestają obrzucać sarkazmem naszych artystów za to, że uprawiają dział sztuki zwany powszechnie *malarstwem rodzajowém*. Malarstwo rodzajowe, malarstwo codziennego życia, malarstwo scen charakteryzujących nasze obyczaje, nasze cnoty i wady, nasze piękne i śmieszne strony, jest jedynéem malarstwem, które godziłoby się nazwać *wielkiém*, na przekór estetykom zajętym pokłonami dla przeszłości. Być może, że do utworzenia obrazu z rzymskiém żołdactwem, lub greckiemi heterami potrzeba wielkiéj fantazyi, która imponuje nam, ludziom zajętym codzienną walką o byt. Rozumiem, że bogaty bankier z większą przyjemnością kupi obraz przedstawiający tyranią Nerona, niż nędzę „robotników tłukących kamienie na szosie.“ W obec nas współczesnych ten zachwyt dla scen nie mających nic wspólnego z naszém twardém życiem da się łatwo wytłómaczyć potrzebą oderwania myśli od tego co nas wciąż męczy, boli lub przeraża. Czém jednak będą nasi malarze, pretensyonalnie nazywający się historycznymi, w obec następnych pokoleń? Co nasze dzieci powiedzą o tém malarstwie, w którém my z taką łatwością czytamy wielkie ideje po za płótnem? Czy będą chciały tak chętnie przebaczać konwencyonalny rysunek lub fałszywą barwność obrazów dla myśli, które tylko wybrany dostrzedz potrafi?... Z pewnością, nie. Przedewszystkiém, oceniwszy zewnętrzną formę malarstwa zapytają się, co obraz przedstawia, tak samo jak my się pytamy, z tą tylko różnicą, że zadadzą sobie pytanie, czy artysta nie będąc świadkiem naocznym epoki mógł ją wiernie oddać pędzlem w ruchach, w typach, w kostiumach i w charakterze zachowywania się jéj ludzi. Naturalnie odpowiedź

musi być przecząca, i o tyle niekorzystna, o ile talent artysty umiał się jeszcze przebić przez to umyślne narzucenie sobie konwencyonalnych typów i ruchów zapożyczonych od artystów przeszłości. Sztuka nasza o tyle dla nich będzie miała wartość, o ile artyści nasi będą w obrazach samymi sobą i o ile będą szczerze i wiernie wyrażać swoje niekłamane zachwyty lub prawdziwe oburzenia. „Jakim prawem"—mawiał Courbet—„ci panowie chcą wmówić we mnie, że właściwie portretują Neronów, Tytusów lub Cezarów, kiedy nie umieją zrobić dobrego portretu, swoich ojców lub dzieci!" Uwaga Courbeta jest istotnie zabijającą w zastosowaniu do całego malarstwa historycznego, opartego na konwencyonalizmie i szkolarstwie. Dla nas może ono nosić jeszcze tę nazwę, dla przyszłych jednak pokoleń prawdziwie historycznem malarstwem będzie to, które nasi krytycy ubrani w togi klasycyzmu nazywają z lekceważeniem *malarstwem rodzajowém*, a które jest prawem dzieckiem sztuki flamandzkiéj i holenderskiéj.

Najgenialniejszy i zarazem właściwy twórca malarstwa historycznego Delaroche nie umiał w swoich obrazach stworzyć nic więcéj nad piąty akt opery. Jego naśladowcy, uczniowie i naiwni następcy pomimowoli robią to samo z innemi dekoracyami, z innym typem lub innemi ubiorami. Jan Paweł Laurens, zakochany w średniowiecznych kronikach, co rok wyciąga nowe trupy na scenę i ustroiwszy je w barwne kostiumy czasów barbarzyńskich, co rok urządza ten sam teatr na płótnie. Naturalnie, przeczytawszy epizod dramatyczny z kroniki w katalogowym wyjątku, widzom włosy stają na głowie z przerażenia. Gdyby to bolesne uczucie, jakiego doznajemy na myśl o okrucieństwach Ś-éj Inkwizycyi, wywołane było bezpośredniém wrażeniem odebranem z obrazu, nie mielibyśmy prawa robić zarzutów panu Laurens przynajmniéj pod względem jasności myśli. Ponieważ jednak, obraz nic nie wyraża bez katalogu, ponieważ ani z wyrazów twarzy, ani z ich ugrupowania dowiedzieć się nie można, co artysta przez swój obraz chciał powiedzieć; przeto całą zasługę otrzymanych wrażeń widz musi przyznać zacytowanemu przez artystę kronikarzowi, nic zaś artyście samemu. Laurens bez zaprzeczenia jest człowiekiem wielkiego talentu, który z silnym realizmem umié wydobyć z płótna to co chce.

Szkoda jednak, że zawsze chce za wiele. Dopóki prace jego były malowniczemi dramatami psychologicznych walk jak w „Rzuceniu klątwy na króla," prostemi obrazami zniszczenia, jak w kościele zamkniętym dla parafian z powodu klątwy papieskiéj ciążącéj nad nimi, lub też arcydziełami rysunku w wyrazach smutku na twarzach austryackich oficerów; dopóty jego talent imponował siłą, indywidu-

alnym charakterem i umiejętnością w komponowaniu scen dramatycznych. Odkąd jednak Laurens jest tylko komentatorem średniowiecznych kronik, odkąd kostium zrobiony z archeologiczną dokładnością jest jedyną treścią jego obrazów, odkąd w ustawieniu figur nie ma ani fantazyi ani siły; odtąd prace jego pomimo charakterystycznego rysunku i kolorystycznych zalet są tylko poprawnemi, ale suchemi szopkami teatralnemi. Kiedyś, Laurens kilkoma szeroko położonemi plamami koloru umiał na widzach wywołać głębokie wrażenie ponurego dramatu. Jego siła leżała wtedy w prostocie środków. Dziś autor „Ekskomunikacyi“, pomimo nagromadzenia figur i barw na płótnie, nie jest w stanie zainteresować widzów ani umiejętnością wprowadzenia na scenę tłumów, ani przedstawieniem typów, ani też charakteryzowaniem wyrazów. To co robi obecnie jest zbyt sztuczne, zbyt wyszukane i naciągnięte, aby mogło wywołać wrażenie na tych, którzy się nie poddają urokowi nazwiska lub tytułu pretensyonalnie wyrytego na ramie obrazu.

Nie ulega wątpliwości, że postać Henryka de la Rochejacquelain należy do niezmiernie sympatycznych w historyi wojny wandejskiéj nie udziałem wprawdzie w oporze przeciwko postępowi, ale bohaterskim, nieustraszonym zapałem żołnierza. Jego słowa wypowiedziane w chwili rozpoczęcia walki, w chwili spojrzenia śmierci w oczy, mogły istotnie zapalić wówczas tłum wandejskich chłopów, tak jak dziś zapalają artystów charakterystycznością i gradacyą siły. „Jeżeli idę naprzód, pójdźcie za mną; jeżeli się cofnę,—zabijcie, a jeżeli zginę pomścijcie mnie na nieprzyjacielu!“ Na tych słowach można osnuć wspaniały dramat, psychologiczną powieść, rozrzewniający poemat rozpacznéj walki, ale nigdy obraz. Literat umiałby, trzymając się nawet ściśle opisu fizyognomii bohatéra, zrobić z niego postać odpowiednią do chwili. Malarz, aby dać mu bohaterską postawę i wyraz, potrzebowałby skomponować całego człowieka fizycznego i zmusić widzów do wierzenia w jego siłę moralną przez zewnętrzne zalety. H de la Rochejacquelain, jak go przedstawił Le Blant, nie jest bynajmniéj bohatérem w obronie, jakkolwiek narysowany według ówczesnych portretów. Cienki, blady, lekko biegnący na czele tłumów z podniesioną teatralnie szpadą, bohatérski Wandejczyk z życia jest figurą nikłą w obrazie, pomimo energicznie narysowanéj twarzy. Całą zaletą historycznego obrazu pana Le Blant są wandejscy chłopi. Czuć tu artystę, który obserwował dziką naturę chłopa, kiedy w jego żyłach gra chęć zemsty. Każda twarz jest typem, każdy ruch wyraża tę samę siłę, a każde skrzywienie twarzy to samo u wszystkich pragnienie krwi. Od pierwszego rzutu oka widać, że te piersi grube ściskają się konwulsyjnie do krzy-

ku, a ręce drżą gniotąc namiętnie drzewce od stalowych kos. Cała siła artysty jest w rysunku, którym pewno naznacza charakterystyczne typy i nadaje ludziom ruch: a jedynym niedostatkiem monotonności koloru. Obraz w pejzażu i chłopach grzeszy jednostajną szarością, na tle której wyrywa się czarno-granatowa plama Henryka de la Rochejacquelain i razi nieprzyjemnie oko widza. Można nie być kolorystą jak Rubens lub Delacroix, których płótna palą się barwnym ogniem ciał i kolorowych strojów, ale znowu z drugiéj strony nie można w naturze widziéć jednostajności koloru, raz że ona nie istnieje, a powtóre że, chociażby istniała, to w obrazie będzie zawsze nudną i osłabi wrażenie wywołane przez rysunek. Le Blant nie jest kolorystą i widocznie nie stara się udawać kolorystycznych zdolności. Jego oko wytężone na chwytanie typów i wyrazów zdaje się nie spostrzegać barwnych cudów słońca, które przez chmury nawet i szare obłoki umié dać naturze rozmaitość kolorowi ich delikatnych odcieni.

Jeżeli jednak Le Blant ich nie widzi i nie umie zająć widza barwnością obrazu, to przynajmniéj nie stara się zapełnić braku lekkomyślną pstrocizną, jak to zrobił Flammeng w swoim, nagrodzonym przez Jury obrazie: *L'Appel des Girondins*. Widać, że młody artysta jest starannym rysownikiem, ale bez siły, i zręcznym nakładaczem kolorów, ale bez barwności i harmonii. *L'Appel des Girondins* jest obrazem pracowicie wykończonym, któremu brak oryginalności. Kompozycya, jeżeli dziś można mówić o kompozycyi po tém, co zrobili naturaliści i impresyoniści, jest zupełnie nie interesującém powtórzeniem Müllera i całéj plejady malarzy, którzy usadzają figury w obrazie z taką samą symetrycznością, z jaką reżyser teatru ustawia chóry i wypełnia niemi puste kulisy.

Do szeregu mających wymrzéć malarzy historycznych stanął w tym roku pan Morot. Gdyby Rzymianie zobaczyli żony Ambronów w rzeczywistości tak brzydkiemi, niezawodnie cofnęliby się bez walki o to pole, na którém przed chwilą zwycięzko pobili ich mężów. Że żony Ambronów mszczące się za mężów nie miały łagodnych wyrazów twarzy, wątpić nawet nie można. Dla czego jednak artysta taki nacisk położył na wyszczerzanie zębów, wytrząsanie pięściami i zabarwianie się zrozpaczonych kobiét na fioletowo ze złości, tego wytłómaczyć nie można ani potrzebą estetyczną, ani koniecznością trzymania się wiernie kroniki, która na tym punkcie najzupełniéj milczy. Wprawdzie w rzeczywistości gniew lub złość objawia się częstokroć na zewnątrz grymasami bardzo wyraźnemi, choć nie estetycznemi; w każdym jednak razie malarz więcéj może z nich korzy-

stać dla rozśmieszenia niż przerażenia widzów mających smak wyrobiony.

Wspomnieć tu jeszcze potrzeba o młodym artyście, uczniu prawie, Emilu Boutigny, który jakkolwiek wystawił rodzajowo-historyczny obraz z czasów wandejskich wojen i jakkolwiek niewiele potrafił na siebie zwrócić uwagi *quasi*-historyczną treścią, jest malarzem poważnego talentu w obserwowaniu charakterystycznych typów i w nadawaniu krajobrazom piętna indywidualnéj poezyi.

Ze śmiercią wielkich twórców krajobrazu, którzy w kawałku szaréj ziemi, w kępce drzew, w kilku promieniach słońca lub w plamie tajemniczego cieniu nietylko widzieli poetyczny materyał do obrazów, ale umieli go jeszcze odziać w szatę indywidualnego uroku,—ze śmiercią Constable'a, Rouseau'a, Corota, Courbeta, i Daubigny'ego skończyła się we Francyi epoka charakterystycznych krajobrazów, które malarstwu francuzkiemu pozwoliły się mierzyć z Włochami i Flamandami przeszłości. Dziś malowanie krajobrazów stoi jeszcze bez zaprzeczenia wyżéj we Francyi niż w każdym innym kraju. Tradycye po wielkich mistrzach i prawdziwe ukochanie natury robią z każdego Francuza o artystycznych popędach pejzażystę z urodzenia. Każdy z nich umié wybrać piękny kawałek kraju i namalować go ze smakiem; każdy stara się wprowadzić do obrazu coś nowego i niezwykłego, aby wydostać się na wierzch tego artystycznego tłumu, który zalewa świat tworami niewydatnego piękna; każdy stara się być, albo realnym jak Rousseau, albo impresyonistycznym jak marzycielski Corot, szerokim kolorystą jak rubaszny Courbet, lub naturalistycznym jak poeta prawdy i niewyszukanego krajobrazu, Paweł Daubigny; ale żaden już dzisiaj nie umié nadać swoim pracom tego piętna indywidualności, po któréj od jednego rzutu oka poznać było można dawniejszych mistrzów wieku XIX. Kilku zaledwie i to niestety starszych wiekiem pejzażystów umié odróżnić się od innych odrębnym charakterem malowania, który nie pozwala prac takiego np. Pelouse'a wziąć za obrazy Juliana Dupré lub Kamila Bernier. Każdy z nich ma jeszcze w sobie coś takiego, co wykazuje indywidualność, nie mogącą się wprawdzie równać z indywidualnością niedawno zmarłych mistrzów, w każdym jednak razie dostateczną, aby się wyróżnić z pomiędzy współczesnych pejzażystów. Do tych wyjątkowych malarzy najłatwiejszego przedmiotu aby być dobrym i najtrudniejszego aby zostać sławnym, należy pan Artur de Gąssowski. Jego moczary w departamencie Girondy, jakkolwiek malowane jeszcze z wyszukaną drobiazgowością i nieco przesadzonym wdziękiem gładkości, są obrazem nietylko pięknéj prawdy w naturze, ale téż i pewnéj charakterystycznéj poezyi samego artysty.

Już ze skomponowania, albo raczéj, materyalnie mówiąc, z wybrania fizycznéj strony krajobrazu czuć, że p. Artur de Gąssowski czuje ten urok poezyi unoszącéj się nad malowanym przez niego kawałkiem ziemi, i że ta poezya leży w artyście nie zaś w malarzu kopiującym wiernie naturę. Dziś tak dalekośmy już zaszli w estetycznych poglądach, że nie umiemy chwalić artystów za łudzące wypukłości przedmiotów lub perspektywiczne oddalenia. Że więc w krajobrazie pana de Gąssowskiego narysowanie zagłębiającéj się w obraz ziemi jest bez zarzutu, że położenie kolorów na pojedyńczych przedmiotach przypomina kolor natury, tego nie będziemy uważać mu za żadną zasługę, gdyż inaczéj o nim jako o artyście nie mówilibyśmy wcale. Co jednak godném bez zaprzeczenia jest uwagi to ta okoliczność, że w jego obrazie wszystkie szczegóły są doskonale z sobą zharmonizowane i wszystkie tak przedstawione, iż wyrażają z charakterystycznym wdziękiem czas téj zadumanéj rozkoszy, jaką artysta odebrał od natury, w chwili kiedy poblask zaszłego słońca odbił się żółtawo czerwonym tonem w szeroko rozlanych wodach, kiedy rozpalony na polu ogień bije w górę gorącym, choć jeszcze nie dość jasnym płomieniem i kiedy nad gwarem dnia zapanowywa tajemniczy spokój wieczoru. Dla nas jako Polaków, pan de Gąssowski, oprócz wady w technice zbyt kokieteryjnie drobnéj, ma jeszcze jednę, że jest na wskróś Francuzem zarówno duszą jak i ciałem swego obrazu. Naturalnie tego patryotycznego zarzutu nie godziłoby się nigdy postawić artyście, gdyby wynaradawianie się sztuki nie było pewną wadą, i gdyby Francuzi nie stawili również artystom zarzutów, że są za mało Francuzami. Zresztą prawdziwie silne indywidualności artystyczne, pomimo wychodztwa i kształcenia się za granicą, zawsze zachowują to wielkie piętno poezyi, jakie w nich wyrobił charakter kraju rodzinnego. Jakikolwiek kawałek morza, z jakiemikolwiek bądź ludźmi Hagborg namaluje swój morski krajobraz, zawsze to będzie dzieło jeżeli nie Szweda, to przynajmniéj człowieka północy, który smutnie marzy, śmieje się przez łzy i maluje przez szarą mgłę, zawsze ponuro zabarwiającą drogi mu kraj ojczysty. „Wielki odpływ la Manche'y", na tle którego rysują się wydłużone postaci rybaków, chociaż rysowany dla Francuzów jest morskim krajobrazem poczętym pod wrażeniem smutnéj ojczyzny Hagborga, i nie pozwoli się nigdy wciągnąć do katalogu sztuki francuzkiéj.

Dopóki narody już nie świata, ale nawet Europy saméj prowadzić będą z sobą krwawe wojny o bezpieczeństwo swojego życia, dopóty o kosmopolitycznéj sztuce mówić się nie godzi. Nienawiści plemienne i rodowe, pomimo wspaniałych teoryi o kochaniu się ludzi, i sprzeczne z sobą interesa polityczne narodów tak jeszcze dziś bar-

barzyńską noszą sukienkę, że o zacieraniu się różnic i o panowaniu jednych uczuć we wszystkich krajach marzyć zaledwie można.

Artysta nie stawiający swojego *ja* na pierwszym planie, nie zachowujący swojéj i swojego kraju indywidualności, na dziś przynajmniéj, nie może być artystą, to jest człowiekiem czującym i działającym samoistnie nie zaś przez szkołę. Ludzkość może sobie przyswoić arcydzieła geniuszów całego świata i rozkoszować się niemi z równą u wszystkich narodów głębokością uczuć, ale ludzkość nie może wydać geniuszów, nie noszących na sobie cechy pojedyńczego narodu. Szekspir nie mógł się urodzić w wesołéj Francyi, tak jak Michał Anioł nie mógłby się wyrobić w Polsce nie kochającéj się w pięknościach nagiego ciała, a Rembrandt w otoczeniu klasycznych Włochów nie byłby został charakterystycznym spostrzegaczem typów. Alma-Tadema, Belgijczyk z urodzenia Francuz z wychowania, Anglik z obywatelstwa, a Grek z rodzaju swéj sztuki, jest zawsze Francuzem, bo go do tego zmusza temperament, język i obyczajowość Belgii spokrewnionéj z Francyą. Pomiędzy artystami Belgii i Francyi o tyle tylko istnieją różnice, o ile malarze tych krajów malują krajobrazy i typy ludu: w obrazach fantazyi i salonu są artystami jakby jednego kraju. Jeżeli weźmiemy Claysa, jedynego może dziś malarza, który położywszy na płótnie kolory nieba i morza umié zachwycić widza, jeżeli weźmiem Wantersa, który w swych dramatycznych fantazyach zachowuje typy belgijskich chłopów, wtedy poznamy różnice tych dwóch krajów podobnych do siebie pod tyloma względami fizycznemi i zarazem moralnemi. Jeżeli jednak przed oczyma naszemi wisi płótno Stevensa, wtedy te dwa kraje niczém już prawie dla nas się nie różnią, gdyż ich salony, których Stevens jest malarzem, są do siebie najzupełniéj podobne. Stevensa wielkość, oprócz rysowania z wprawą i szykiem japońskich artystów, leży w głębokiém odczuciu salonowego życia i salonowych typów. Krzyczymy na wszystkie strony, że nasz strój nie nadaje się do obrazów stylowych i do fantastycznych kompozycyj. Stevens jest żyjącym protestem téj banalnéj śpiewki, wymierzonéj przeciwko *zmodernizowaniu* się sztuki. Prawda, że kobiéty nasze w całém ich dzisiejszém ustrojeniu, a więcéj jeszcze mężczyźni dzisiejszego kraju, rozśmieszają nas w obrazach. Kto jednak temu winien? Artyści sami. Gdyby ci malarze, którzy, jak Stevens, wprowadzają do obrazów postaci salonowe, nie patrzyli na swoje społeczeństwo przez okulary pseudo-klasycznéj akademii, obrazy ich nie rozśmieszałyby widzów i nie ściągałyby na siebie zarzutu bezstylowości. Stevens nie śmieszy, ale zajmuje artystyczną zręcznością malowania i głęboką znajomością salonu. Obrazy jego nie są konwencyonalnemi utworami stylu apro-

bowanego przez akademią, ale za to zachwycają świeżością pomysłu wypowiedzianego w formie odpowiedniéj do treści, to jest w *stylu salonowym*, w stylu, który dotąd tylko Stevensowi jest właściwy.

Do rzędu obrazów najwięcéj zwracających na siebie uwagę w tegorocznym Salonie, bez zaprzeczenia przedewszystkiemi należała *Jesienna pora* przez pana Bastien-Lepage. Dzięki Milletowi, który pierwszy ośmielił się malować z epicznym spokojem chłopów pracujących na prawdę i dzięki Bretonowi, który tę prawdę przedstawił z sielankową rzewnością, obrazy chłopskiego życia stanęły na porządku dziennym. *Jesienna pora*, czarująca pogodnym kolorem krajobrazu, może zająć widza na chwilę, ale nie zostaje dłużéj w jego pamięci. Obrazy pana Bastien-Lepage'a grzeszą zbytniém podobieństwem w pejzażach do Milleta a w typach kobiét do Bretona. Daleki jestem od robienia młodemu artyście zarzutów umyślnego naśladownictwa. Podobieństwo jego do tych dwóch mistrzów pędzla może wypływać zarówno z podobieństwa ich natur jak i malowanego przedmiotu. Dopóki jednak Bastien-Lepage nie znajdzie sobie innych form wyrażania swojego zachwytu nad naturą i życiem chłopskiém; dopóty obok jego nazwiska, krytyka nie przestanie zapisywać głębokich wrażeń odebranych od Milleta i Bretona. W każdym razie Bastien-Lepage jest malarzem niezwykłego talentu i najpoważniejszym z pomiędzy młodych artystów uprawiających tak zwaną sztukę rodzajową. Lat temu dwa to nazwisko nieznane było jeszcze szerszemu kołu publiczności, przypuszczać więc należy, że w niedługim czasie stanie się chlubą sztuki francuzkiéj.

Z polskich malarzy w tym roku mniejsza niż zwykle liczba stanęła do konkursu w turnieju paryskim. Naturalnie największą ze wszystkich uwagę zwracał na siebie Chełmoński zarówno wierném poczuciem natury jak i energią w rysunku. Henryk Piątkowski, którego indywidualność dotąd jeszcze nie umiała wyraźniéj się zarysować, tym razem przedstawił się jako wyborny kolorysta w obrazie „la citoyenne Taltieu“ i jako poetyczny kompozytor w „karze za cudzołóztwo.“ Wprawdzie w ostatnim obrazie poczerpniętym z życia i obyczajów ukrainy, p. Piątkowski nie jest dość charakterystycznym rysownikiem, a co ważniejsza nie dość pilną zwrócił uwagę na proporcye ciał, to w każdym razie umiał pędzlem wydostać z płótna efekt smutnéj natury w oświetleniu i ponurego nastroju w wyrazach twarzy tak saméj kobiéty przywiązanéj do kościelnéj dzwonnicy, jak też i w przyglądających się jéj z trwogą dzieciach wiejskich.

W ogóle biorąc, salon tegoroczny nie zdumiewał niezwykłemi obrazami: ogólny jednak poziom w porównaniu z dawniejszemi wy-

stawami podniósł się tak dalece, że na sprawozdanie o samych tylko dobrych dziełach potrzebaby wielkotomowéj pracy.

Rzeźba, która pod względem jakości stanowczo przewyższa malarstwo francuzkie, obecnie znalazła sobie nowy talent w osobie młodego artysty Saint-Marceaux. Jego „geniusz strzegący tajemnic grobu“ zaćmił wszystko, co Salon w tym roku posiadał. Niepodobna było oderwać oczu od téj figury smukłéj a pełnéj, silnéj a spokojnéj, namiętnie narysowanéj a jednak poważnie siedzącéj na grobie. Saint-Marceaux, pomimo młodego wieku i pomimo nie przebycia gradacyi w otrzymywaniu orderów, nagrodzony został honorowym medalem Salonu. Sąd ten zaszczyt przynosi członkom Jury, którzy jakkolwiek wahali się dać najwyższą nagrodę artyście z powodów wyżéj wymienionych, odstąpili jednak od zwyczajów dla niezwykłości talentu pana Saint-Marceaux. Rzeźba francuzka zawsze odznaczała się mistrzowskiém wykonaniem ciała, które żyje w kamieniu. Od czasu jednak Pigalla publiczność paryzka nie spotykała się często ani z tą siłą, ani z tym ruchem energicznym tak niezwykłym w rzeźbie, ani też z takim oryginalnym wyrazem twarzy, jakie Saint-Marceaux zakuł w kamień przeznaczony do przerażania tych, którzyby chcieli znieważyć prochy człowieka spoczywającego na wieki pod głazem grobowym.

A. Sygietyński.

GLORIA.

ROMANS B. PEREZA GALDOSA,

przetłómaczony z oryginału hiszpańskiego.

(Ciąg dalszy).

XVI.

Tajemnica.

Pewnego wieczora Serafina wyszła z Glorią do ogrodu na przechadzkę. Szanowna ciotka rozpoczęła gawędkę od rzeczy powszednich, lecz widząc, że synowica milczy uparcie, zapytała z łagodnością.

— O czém myślisz?

— O niczém—odparła Gloria.

— Nie zdaje mi się—rzekła Serafina z uśmiechem. Wiem dobrze, że to nie tak łatwo ze światowych myśli głowę oczyścić. Długo jeszcze walczyć musisz, zanim myśl twoja, czysta i wolna, będzie się mogła zupełnie poświęcić Bogu. Ażeby cel ten zdobyć, potrzeba jeszcze wielu cierpień i wielu ofiar. Przypomnij sobie przypowieść Chrystusa o handlarzu pereł, który dla kupienia najpiękniejszéj sprzedać musiał wszystkie inne mniéj piękne. I ty także dla kupienia sobie perły królestwa niebieskiego musisz pozbyć się wszystkich, absolutnie wszystkich jakie posiadasz.

— Oprócz jednéj, szepnęła Gloria bojaźliwie.

— Bóg nie przyjmuje ofiar z rzeczy drobnych, lecz z wielkich Cóż mu poświęciłaś do téj pory?.. Przyjemności świata, stosunki towarzyskie, sławę swoję i reputacyą... To nic nie warto, bo on chce twojego serca. Z tych to klejnotów, z serc ludzkich, jest tron przedwiecznego zbudowany. Czy sądzisz, że wystarcza przebaczenie uraz, pokora i uległość w znoszeniu obelg i potwarzy?

— Wiem, kochana ciotko, że to zasługa niewielka, że są ofiary większe, daleko większe. Szczęśliwe dusze, które mają siłę do ich zniesienia. Do przebaczania uraz byłam zawsze skłonna; poko-

rą nie mogę się chełpić, bo jéj nie mam; a co się tyczy obelg i potwarzy, to znoszenie pierwszych nie jest trudne, drugie zaś, jeśli istnieją, nie doszły do moich uszu.

— Istnieją niezawodnie, córko moja; w jaki sposób spotwarzana jesteś powiem ci zaraz, jeśli przebaczysz krzywdzącym cię ustom.

— Mówienie o hańbie mojéj nie jest potwarzą.

— Nie oto idzie; mówię w téj chwili o prawdziwych potwarzach, o fałszach niegodnych i hańbiących, głoszonych przez osoby, które się przyjaciołkami naszemi być mienią.

— Smutne to są wieści, prawda; ale jako dzieci grubego zabobonu nie zasługują na uwagę.

— Ależ ja nie mówię o wypadku z osiołkiem, odparła ciotka. Tamto już przeszło do historyi. Ja mam na myśli potwarze, prawdziwe potwarze, które o prowadzeniu się twojém obiegają. Dziś rano, moja córko, miałam chwilę wielkiéj boleści i wstydu, słysząc.....

Głos utkwił w gardle szlachetnéj sieniory, która widoczny robiąc wysiłek mówiła daléj:

— Żona Amarilla mówiła mi o tobie wstrętne rzeczy. Potrzebowałem całéj cierpliwości i spokoju duszy, żeby nie wybuchnąć gniewem. Ależ to, moja droga, są rzeczy, których niepodobna słu chać.. nie.. Słysząc opowiadanie téj kobiéty, czułam w piersi straszne oburzenie i nie mogąc się zdobyć na odpowiedź, tonęłam we łzach.

— I cóż mówi o mnie?.. spytała Gloria ze spokojem najzupełniejszym.

— Jestto potwarz tak straszna i zwierzęca, że wstyd i mówić o niéj. Powtórzę ci ją jednak, żebyś przyjmując ten nowy kielich goryczy, miała sposobność przebaczenia.

— Przebaczenia?..

— Tak przebaczenia tym kobiétom, jak ja im przebaczyłam.

— Lecz o cóż tu idzie?..

— Uczujesz grozę, moje dziecko. Mówią, że późno w nocy, kiedy wszyscy śpią w naszym domu i w mieście, wychodzisz... tak, mówią, że wychodzisz skrycie, żeby w ustronném miejscu, obok cmentarza, spotykać się z nieszczęsnym sprawcą swéj hańby.

Gloria słuchała tych wyrazów blada, nieruchoma i milcząca jak marmur. To osłupienie wszakże nie wskazywało bynajmniéj trwogi sumienia przerażonego odkryciem tajemnicy.

— Pojmuję twe przerażenie, mówiła daléj Serafina. Ileż ja łez wylałam, ja, którabym w tym razie włożyła sto razy rękę w płomie-

nie za twą niewinność. Teresita śmie twierdzić bezczelnie, że widziała cię sama.

— Sama!..

— Tak.. o północy. Co za haniebna potwarz! Lecz ty im przebaczasz Glorio?...

— Z całego serca—odparła panna de Lantigua, wpadając w dawne odrętwienie. Gdyby mię sto razy zpotwarzyli, po sto kroć im przebaczę. Ciotka ucałowała Glorią i nic już nie mówiono w tym przedmiocie.

Wieczorem przybył Kajfasz z zawiadomieniem o podziale jałmużny, którą rozdawał zwykle na rachunek Serafiny i Glorii. Panna de Lantigua, wziąwszy go do swego pokoju, dała mu pewną kwotę pieniężną i nowe instrukcye, o których wiedzieć nie możemy.

Po wspólnéj wieczerzy i modlitwie Bonawentura udał się do swego mieszkania na spoczynek, podczas gdy Serafina towarzyszyła, jak zwykle, Glorii do jéj sypialni, aby nieszczęśliwą synowicę ukołysać do snu pieszczotami.

— Dobra noc, dziecko moje, rzekła seniora, kładąc rękę na czole Glorii. Śpij spokojnie....

To mówiąc zgasiła jednę świécę, a wziąwszy drugą, ucałowała Glorię serdecznie i wyszła. Przez chwilę słychać było kroki na schodach, lecz wkrótce w pałacu Lantiguów zapanowała grobowa cisza.

Gloria nie spała. Czuwając w pośród głębokiéj ciemności swego pokoju, przebijała natężonym wzrokiem noc czarną i.. słuchała. W tym stanie wewnętrznego niepokoju kładła rękę na sercu, ażeby odczuć jego drgnięcia lub téż wzdychała chwilami, poruszając się zlekka na łóżku. W jakiś czas po wyjściu ciotki wyciągnęła szyję jakby kogoś szpiegować miała, a wstrzymując oddech, żeby się nie zlewał z najdrobniejszym szmerem na zewnątrz jéj komnaty czuwała dość długo w téj pozycyi, w słuch zmieniona.

Gdy przebrzmiały wreszcie ostatnie zgrzytnięcia bram zamykanych i umilkły szczekania psów czujnych, Gloria rzekła do siebie:

— Już śpią...

To powiedziawszy zapomniała o wszystkiém, a wcielona zupełnie w tajemniczy bieg swych myśli, zaczęła gorączkowo liczyć minuty długie jak wieczność.

— Już czas—pomyślała. Co się stało z tym zegarem na wieży, że nie bije?.....

Jeszcze się po jéj główce nie przesunęło ostatnie ogniwo téj myśli, kiedy w ciszy nocnéj dał się słyszeć pierwszy, ciężki, rozwlekły

jęk zegaru. Na podobieństwo niewolników, oczekujących godziny swéj wolności, Gloria stanęła gwałtownie na równe nogi. Przy drugiém uderzeniu zegara porwała swe suknie, rozróżniając w ciemności każdą część ubrania niezmiernie szybko. Za każdym jękiem na wieży toaleta Glorii coraz dokładniejszą się stawała, a wreszcie, gdy zegar umilkł, panna de Lantigua ubrana najzupełniéj i okryta czarnym płaszczem postąpiła kilka kroków. Nie pomyliwszy się na żadnym ze sprzętów, nie zrobiwszy żadnego ruchu błędnego Gloria, niby prowadzona tajemną ręką, pobiegła do drzwi i otworzyła je tak cicho, jak gdyby na bawełnianych zawiasach spoczywały.

Przebiegła następnie korytarz jak cień na skrzydłach powietrza niesiony i spłynąwszy prawie po schodach jednego piętra stanęła wreszcie przy bramie, nadsłuchując.

— Śpią—pomyślała.

— Po chwili przeszła do izby będącéj w głębi nowego domu, i uderzyła po dwakroć w małe drzwiczki, które niewidzialną ręką otwarte wpuściły Glorią do starego domu. Poczém szła daléj już z jakimś towarzyszem, który ją prowadził w ciemnościach. Rostworzywszy wreszcie bramę, Gloria wyszła sama na ulicę, gdzie czekał na nią jakiś mężczyzna, z którym zniknęła szybko w cieniach nocy.

Tymczasem Bonawentura, po naradzeniu się z proboszczem, rozpuścił po Fikobrydze wieść nad wieściami, że Morton przybył ze swoim sługą dla przyjęcia katolicyzmu. Tego rodzaju nowina musiała korzystnie wpłynąć na stosunek mieszkańców pobożnego miasta do Hebrajczyka, któremu w skutek tego senior Amarillo przeznaczył bardzo przyzwoite mieszkanie u Izydory de Rebenque, jednéj z zamożniejszych obywatelek.

Dzięki też pomysłowi Bonawentury i sługa Mortona wypuszczony został na wolność. Famulus ten nazywał się Samson i przynosił zaszczyt swemu nazwisku. Silny ten kolos był sługą wiernym, punktualnym i przywiązanym do swego pana. Nie umiejąc po hiszpańsku ani słowa, rozmawiał sam z sobą całemi godzinami.

Od pierwszéj chwili pani Rebenque poznała w swym gościu najprzyzwoitszego młodzieńca, pełnego elegancyi i grzeczności. To odkrycie, w połączeniu z wiadomością o jego nawróceniu uspokojało zwolna prawowierne sumienie téj kobiéty. Pierwszego dnia nie mogła usunąć ze swéj duszy silnego wstrętu i obchodziła się z Mortonem bardzo zimno; nazajutrz szukała sposobności mówienia z nim, znajdując towarzystwo Daniela bardzo przyjemném, a trzeciego dnia nie wiedziała już co ma robić dla podobania się cudzoziemcowi.

Skoro żona Amarilla oznajmiła Izydorze o spotkaniu Glorii w nocy z jakimś mężczyzną, szanowna gospodyni Mortona w przekonaniu, że to gość jéj odbywa te nocne wycieczki z panną de Lantigua, rzekła do niego pod wpływem siostrzanéj sympatyi.

— Jeśli pan pozwolisz, to dałabym mu jednę radę.

— Jaką?.

— Strzeż się pan Lantiguów. Są to ludzie bardzo zacni, ale dumni i nie pozwolą, żeby kto.....

— Dokończ pani.

— Może ja się mieszam w nieswoje rzeczy....

— Bynajmniéj.

— Otóż chciałam powiedziéć, żebyś pan miał się na baczności podczas tych schadzek nocnych z panną Glorią.

— Ja! zawołał Daniel zdziwiony.

— Naturalnie... zresztą pan nie potrzebujesz zdawać mi rachunku ze swych czynności; rób pan co mu się podoba. Jeżeli Don-Bonawentura nie spotka was jednéj nocy, to może spotkać kiedyindziéj, a wtedy któż wié co się stanie?...

— Co takiego?.. pani się obawiasz, żeby nas D. Bonawentura nie spotkał... gdzie?... kiedy?... odparł Hebrajczyk z wzrastającą ciekawością.

— To już państwo wiecie najlepiéj. Kuzyna moja, która nie umié kłamać, widziała pannę Glorią, wychodzącą z domu o północy z jakimś mężczyzną.

— Wychodzącą z domu!..

— Z mężczyzną....

— Z mężczyzną!..

— Tak, seniorze. Wiedzą już o tém wszyscy w mieście.

— Że panna Gloria wychodzi....

— Szukając pana. Naturalnie... Zresztą po co mnie się mieszać w te rzeczy... Wszak prawda, panie Danielu?.. To do mnie nie należy.. Dobranoc panu!...

I odeszła.

Hebrajczyk zamyślił się głęboko; dość długo chodził po pokoju, a wreszcie, skoro służący przyszedł rozebrać pana, rzekł do niego:

— Wyjdziemy z domu.

Posiadając klucz od bramy, mogli wyjść na ulicę bez zwrócenia na siebie uwagi, co téż zrobili o godzinie w pół do dwunastéj. Noc była jasna, lecz chłodna.

— Dokąd idziemy?. zapytał Samson, nie mogąc ukryć tęsknoty do łóżka.

— Zobaczysz—odparł Morton krótko.

— O, seniorze zawołał służący, idąc po lewéj stronie swego pana, gdybym miał śmiałość, powiedziałbym panu te wyrazy: „Odepchnij namiętności swego serca i oddal nieszczęście od ciała swego, bo młodość jest próżnością i wszystko pod słońcem próżnością jest i utrapieniem ducha.“

— Morton milczał.

— Ah, seniorze, dodał Samson, uśmiechając się. To prawda, że ja nie powinienem dawać rad swemu panu, bo pan jest zawsze mędrcem a sługa głupcem; lecz nie mogę oswobodzić swéj pamięci od przysłów naszego zakonu, które zawsze z ust mi wychodzą, chociaż nie myślę o nich. Gdyby mi pan pozwolił, powiedziałbym. „Idziesz do tego miejsca jak idzie wół do rzeźnika, jak waryat do bram więzienia, jak ptak do sideł, które pozbawią go życia....“

— Wejdźmy w tę uliczkę, rzekł Morton, nie zwracając uwagi na erudycyą Samsona. To jest dom Lantiguów; zostańmy tutaj.

— Czy będziemy na straży w tém rozkosznèm miejscu, patrząc na księżyc?

Morton z oczyma utkwionemi w dom Lantiguów stał nieruchomy, nie słysząc wcale salomonowych nauk swego sługi, który prawił daléj w te słowa:

„Widziałem śród młodzieży chłopca pozbawionego rozumu. Gdy się przechadzał w ciemnościach nocy, wyszła na spotkanie jego kobiéta chytra... kłótliwa...“

— Milcz, idyoto—rzekł nagle Daniel, kładąc rękę na ustach sługi, aby to źródło mądrości przytłumić. Czy nie widzisz?... temi drzwiczkami wyszła kobiéta!...

— Ja widzę mężczyznę.

— Tak, mężczyzna jéj towarzyszy, rzekł Morton głosem stłumionym. Samsonie, Samsonie, jeśli wypowiesz choć jedno słowo uduszę cię. Skryjmy się za ten węgieł, bo idą w tę stronę.

W istocie dwie osoby biegły szybko ku placowi, potém skręciły na lewo, wchodząc w ulicę, która prowadziła do środka miasta.

— Pójdźmy za niemi, rzekł Morton—ale zwolna i bez hałasu. Poznaję ją... To ona!... W najstraszniejszéj ciemności poznałbym ją. Ten, który z nią idzie to Kajfasz.

Morton spostrzegł, że opuściwszy gościniec główny, weszli na te same wschody, na których Daniel w niedzielę palmową spędził część nocy.

— Idą na cmentarz—pomyślał pełen zdziwienia. Co to znaczy?

Gloria i Kajfasz weszli na wschody, lecz zamiast ku cmentarzowi, skierowali się na lewo, idąc szybko jak ludzie, mający czas wymierzony.

— Oddalają się od nas, rzekł Morton, przyśpieszając kroku.

— Złapiemy ich, seniorze, zapewniał Samson.

Nagle Gloria i jéj towarzysz zatrzymali się, szmer cichéj rozmowy dolatywał uszu ścigających, a wreszcie zjawił się umówiony widocznie powóz, który zabrawszy tajemniczą parę, potoczył się szybko w stronę królewskiéj drogi.

Dwaj Hebrajczycy pobiegli naprzód, lecz powóz tak szybko się oddalał, że wkrótce znikł im z oczu. Odgłos turkotu kół rozlegał się jeszcze przez chwilę, a wreszcie wszystko ucichło.

Daniel Morton znalazł się na królewskiéj drodze zrozpaczony i bezsilny.

— Dokąd pojechała, myślał i czy powróci?..

Młodzieniec tak był oszołomiony tém co zaszło jak człowiek, który patrzał na zjawiska, przechodzące tajemniczością swoję granicę myśli ludzkiéj.

— Widziałem ją—myślał, widziałem; a jednak wątpię czy to była ona. Dla czego nie zawołałem na nią?. Dla czegom nie wyrzucił z piersi jéj imienia?...

Usiadłszy na kamieniu, dumał.

Ah! rzekł po długiéj chwili. Już wiem... uciekła z domu od swéj rodziny... Lecz w takim razie nie powróci.

— Nie wróci, powtórzył Samson, siadając obok pana. Byłoby szaleństwem szukać jéj jeszcze; i teraz, choćby mi pan nawet nie pozwolił, ośmielę się powiedziéć mu....

— Samsonie, przestań bredzić, rzek Morton. Co myślisz o tém?. Czy wróci?...

— Myślę, że „człek roztropny widząc nieszczęście, strzeże się a prostak idzie bezmyślnie i ponosi szkodę.“ Ponieważ widzieliśmy nieszczęście, strzeżmy się, to znaczy powróćmy jutro zaraz do Londynu.

— Przyjacielu—spytał Daniel, idąc za biegiem swéj myśli, mnie się zdaje, że jest w tém coś wielkiego, czego nie rozumiemy.

— Ale za to ja rozumiem co jest powiedziane, że przepaścią głęboką jest kobiéta. Ten, przeciw któremu Jehowa się rozgniewał, wpadnie w nią.

— Samsonie, Samsonie, ja jestem pewny, że ona wróci. Serce mi mówi, że powróci.

— Czy tu będziemy czekać na nią, seniorze?...

— Niewątpliwie, choćby noc całą. Czy ci zimno?. Okryj się moim płaszczem.

— Dziękuję, seniorze. Czy to jest koniecznie potrzebne, żebym czuwał?

— Możesz zasnąć, jeśli tego wymaga twoje cielsko. Skoro będzie potrzeba, obudzę cię.

— W takim razie, za pozwoleniem seniora, rzekł Samson, kładąc się na ziemi, odpocznę sobie trochę, bo... „co ma człowiek z pracy swéj, którą się trudzi pod słońcem?.. Jedne pokolenia wciąż giną za drugiemi a ziemia zawsze pozostaje... Czém że jest to co było?.. tém co będzie. Czém jest to, co było zrobione?... tém samém co się zrobi, bo nic nie ma nowego pod słońcem. Próżność próżności, rzekł prorok, próżność próżności i wszystko próżność...“

I wymawiając ostatnie wyrazy Samson zasnął. Morton nie oderwał oczu od ostatniego widzialnego krańca królewskiéj drogi. Nic nie było można odróżnić w masie czarnéj, bardzo słabo promieniami księżyca oświeconéj, lecz ciekawość Daniela, rozbudzona aż do natchnienia, pewna była istnienia śladu tajemniczego, który zostawiło serce w pogoni za swą miłością. Była to pewność wiary, która podtrzymuje i ogłasza prawdę, nie widząc jéj i nie mogąc jéj nawet wytłómaczyć. Tymczasem rozległo się pianie koguta, na głos którego odpowiedziały inne bliżéj i daléj, tworząc oryginalny koncert. Po za człowiekiem nie ma głosu bardziéj wzruszającego jak okrzyk tego szlachetnego zwierzęcia, wyrzucony na pola w najprzyjemniejszych snu chwilach, okrzyk, który mówi do człowieka: „jestem uprzyjemnieniem życia, pokojem, skromnością, pilnością i pracą.“

Danielowi zdawało się, że odległe piania kogutów wołały do niego: „idź tam, idź tam.....“

— Ona powraca—myślał przebijając wrokiem przestrzenie. Jeśli serce zawodzi mię i w téj chwili, będę o niém wątpił przez całe życie.

Zaledwie po zniknięciu powozu upłynęło cokolwiek więcéj jak godzinę, dał się słyszéć w oddaleniu niewyraźny jeszcze turkot kół.

— Samsonie, Samsonie, zawołał Morton; szarpiąc uśpionego sługę. Podnieś się, leniuchu.

— Seniorze, Seniorze .. Jedziemy do Londynu?.. spytał służący, przecierając oczy. Śniło mi się, żem wylądował i mówiłem...

— Nie mów nic..... Bądź gotów zrobić, co ci każę. Masz tęgie pięście. Zatrzymaj ten powóz.

— Który?..

— Ten, co przybywa. Nie słyszysz?...

Można już było rozróżnić wyraźnie powóz ciągniony przez parę koni.

— Para koni, rzekł kochanek Dalili.

— Choćby ich było dwadzieścia musimy je zatrzymać. Skoro powóz się zbliżył, Samson, stając na środku drogi z rękoma do góry wzniesionemi jak misyonarz nawołujący do dobrego życia, zawołał.

— Stój!.....

Woźnica machnął biczem, wyciskając pręgę na twarzy napastnika, który żelazną ręką powstrzymał konie. Powóz zachwiał się a z wnętrza jego rozległ się okrzyk kobiéty „Jezus,“ głos dziecka wołający „złodzieje“ i słowa wściekłości z ust Kajfasza.

Korzystając z zamieszania, Morton wskoczył do powozu, gdzie siedziała przestraszona i płacząca kobiéta w towarzystwie chłopca, w którym Daniel poznał Silda.

Gloria nic nie wyrzekła, chciała walczyć z ramionami, które ją obejmowały, ale to było niemożliwe. Morton wydobył Glorię z powozu, niosąc ją jak dziecko.

— Seniorze Mortonie! na miłość Boga, zawołał Kajfasz, klękając przed Hebrajczykiem.

— Odejdź, rzek Daniel. Samsonie i ty się oddal wraz z powozem.

— Puść mnie, wołała Gloria głucho, skoro zostali sami. Puść mnie, jam cię nie wołała, nie szukała, ja nie chcę ciebie widziéć.

— A ja przeciwnie, rzekł Morton, obejmując czule dziewicę. Jam cię wołał, szukał, ja cię kocham.

Gloria szamotała się, usiłując uciec.

— Już się z rąk moich nie uwolnisz, wołał Daniel.

Trzymając Glorię w objęciach, usiadł na kamieniu przy drodze a następnie umieścił kochankę na kolanach.

— Tutaj, tu twoje miejsce, wołał gorączkowo, ściskając dziewicę w żelaznych ramionach co raz silniéj. Teraz na mnie koléj. Nie oddam tego co zdobyłem, życie moje. Patrz, jak to nie łatwo uciec od kochających nas istot. Gdyby cię pogrzebano i ziemia by się rozwarła, aby cię złożyć w moje ręce. Glorio, Glorio, dla czego zamknęłaś przedemną dom twój i dla czego uciekasz przedemną?

— Puść mnie, powtarzała ona, puść mnie. Im więcéj będziesz mnie dręczył, tém więcéj lękać się ciebie będę. Puść mnie, na Boga, nie zabijaj.

— Ja cię zabijam?

— Nie po raz pierwszy. Błagam cię, puść mię!...

— Ściśnięta ramionami kochanka, Gloria nie mogła się ruszyć, a płaszcz, w którym była spowita, robił to więzienie jeszcze ciaśniejszém.

— Nie mów mi, żebym cię puścił, bo cię tak długo, tak długo ściskać będę, dopóki razem nie skonamy.

— Ja cię już nie kocham, nie kocham.

— A ja cię ubóstwiam, i to wystarcza.

— Ja cię nienawidzę.

— Kłamstwo, to być nie może. O nienawiści twojéj uprzedziłby mię wszechświat, słońce jużby tak samo nie świeciło!....

— Puść mię!

— Puścić cię, puścić! wyrzec się szczęścia, którém zdobył! Tyś chyba zmysły straciła. Kiedy nareszcie nadeszła chwila, że się z przyjścia swego na świat pierwszy raz cieszę, że dumny jestem z siebie i z tylu przeżytych cierpień,—mam się nagle zrzekać wszystkiego?!..

— Tyś szalony! czego chcesz odemnie? zawołała Gloria w uniesieniu.

— Czego chcę? Umrzéć z tobą; albo dać ci życie, na które zasługujesz...

— Niczego od ciebie nie pragnę.

— Ja bym bez ciebie żyć nie mógł. Wiesz o tém dobrze a odpychasz mnie jednak. Czyż modląc się do swego Boga, będziesz mogła spokojna i zadowolona patrzéć w głąb' sumienia, nie przypomniawszy sobie o biedaku, który żyje tylko nadzieją twego widoku i twego przebaczenia?

— Przebaczam ci, ale puść mię.

— Gdybym się miał rozłączyć z tobą, pójdę do morza, do tego dobrego przyjaciela, który mię niegdyś wołał do siebie, a uwiązawszy kamień u szyi wrzucę się w jego bałwany. Już cię wtedy nie będę dręczył, najmilsza moja.

— Na Boga! wołała omdlewająca Gloria, ty mię dusisz. Morton zwolnił nieco żelazny uścisk i dziewica odetchnęła swobodniéj...

— O tak, szepnęła ze słodyczą, tak dobrze. Puść mię teraz a żalu mieć do ciebie nie będę.

— Dla czego obchodzisz się ze mną w ten sposób, czemu uciekasz? Dla czego każda chwila mego towarzystwa wydaje ci się tak straszną?... Dla czego, aby cię ujrzéć i usłyszéć głos twój, muszę cię porywać jak niewolnicę.

— Bo tak być powinno, odparła Gloria, usiłując się wyrwać z jego objęć.

— A jednakże, uciekłszy odemnie i zamknąwszy na wieki drzwi przedemną, rzekł Morton, całując ją namiętnie, nie jesteś szczęśliwą. Ty cierpisz.

Słysząc to, Gloria nie mogła nic powiedzieć, coby nie było czystą prawdą, wydartą z głębi jéj serca. Jak woda, która wytryska ze źródła bez nacisku, tak wymknęły się z ust jéj te wyrazy:

— Czy ja cierpię? o bardzo, bardzo cierpię!...

Westchnąwszy, zamknęła oczy.

— Wiem o tém, rzekł Morton. Troski twe, ukochana, odbijają się echem w mojém sercu, bo twoje rany są mojemi, bo jestem na to przeznaczony, aby żyć twojém życiem i umrzéć twoją śmiercią.

— To być nie może, odparła Gloria, robiąc nowe usiłowania ucieczki. Niech każde z nas pójdzie swoją drogą. Na Boga żywego zaklinam cię, puść mię.

— Nie... Dla czego nie chcesz wypocząć jednéj chwili w twojém męczeństwie?

— Choćbym przecierpiała sto żywotów, jeszcze nie odpokutuję swéj winy.

— Na matkę swoję przysięgam ci, że się na to zgodzić nie mogę, zawołał Daniel z egzaltacyą.

— Na co?

— Na to rozłączenie straszne. Połamię wszystkie prawa, ale to nie nastąpi, przysięgam ci. Na gwałt i brutalstwo zdobędę się, jeśli tego potrzeba będzie. Przygotuj się, bo jak teraz trzymam cię w swoich objęciach, tak cię trzymać będę przez wieki wieków..... Jeśli jednak zechcesz zadowolić ciekawość, która mię pożera, jeśli zechcesz dać mi dowód zaufania, jeśli pragniesz, żebym ci przebaczył, żeś mi pozbawieniem swego widoku tyle cierpień znieść kazała; powiedz mi, gdzieś była dzisiejszéj nocy i dokąd chodzisz codziennie o téj porze?....

— Nie mogę ci tego powiedziéć, szeptała Gloria. Ale... jeżeli mię puścisz swobodnie, to ci powiem.

— Za tę cenę—nie.

— Więc nie.

— Skoro ty mi nie chcesz odkryć swéj tajemnicy, ja ci ją powiem, bo ją dzisiejszéj nocy odgadło serce moje, które o tém, co się w twojém dzieje wiedziéć musi. O harmonio szczytna!.. Gdyby to braterstwo uczuć nie istniało, nie byłoby duszy.

I zbliżywszy swe usta do uszu dziewicy wyszeptał jakiś tajemniczy wyraz, który tylko sercem usłyszéć było można.

Gloria przymknęła oczy, z których wytrysnęły gwałtem dwa łez strumienie.

— Więc to prawda, zapytał Morton, składając na twarzy swéj kochanki tysiące namiętnych pocałunków.

Gloria bledsza niż przedtém skrzyżowała ręce w postawie umarłych.

— Czy to prawda? powtórzył Daniel gorączkowo.

Dziewica wydała lekkie westchnienie a z niém razem, niby ostatni oddech duszy, która przechodzi w lepsze światy, ciche „tak.“ Lecz zamknięte oczy zaczęły zwolna pogłębiać się a usta straciły barwę. Daniel uczuł jéj ręce zwisłe bezwładnie na swoich ręku, jak gdyby w ostatniém pożegnaniu.

Przerażony Morton wołał rozpacznie swéj kochanki a w ciszy nocnéj rozlegały się nieustannie słowa: Glorio, Glorio. Dziewica nic nie odpowiedziała, ale powieki jéj rozsunęły się zwolna, na usta wybiegł uśmiech, a ręce dziewczyny z konwulsyjną siłą tuliły dłoń Hebrajczyka.

— Glorio, Glorio, wołał znów Morton.

Usta panny de Lantigua chciały coś mówić, lecz nic nie wyrzekły. Zrobiła wielki wysiłek i roztwierając przemocą ciężkie powieki, utkwiła w Mortonie czarne źrenice, jak gdyby chciała powiedziéć tym językiem „O niech popatrzę na ciebie jeszcze choć przez chwilę.“

Przerażenie cudzoziemca było straszne.

— Ona zemdlała, mówił do siebie i po chwili wołał.

— Samsonie, Samsonie!!...

Nie spodziewając się pomocy, Morton pobiegł ze swym drogim ciężarem ku Fikobrydze. Kajfasz, Sildo i Samson wyszli na jego spotkanie.

— Przeczuwałem, że się stać musiało coś złego, zawołał Mundideo.

— Co to jest seniorze? spytał Samson.

— Ona zemdlała! zawołał Kajfasz, patrząc na swoję panią gzież my ją teraz zaniesiemy?

— Jezus, Marya Józef!...

— Nie traćmy czasu, wołał Hebrajczyk. Naprzód.... do domu Lantiguów. Obawiam się jakiego wypadku, gdybyśmy jéj nie pomogli dość wcześnie..... Ty, Kaifaszu, prowadź nas.

Przybyli. Furtka ogrodowa była otwarta. Pies zaczął szczekać zajadle. Kajfasz prosił Boga, żeby się ziemia rozwarła i pochłonęła go w swych wnętrznościach; ale Morton, patrząc nieustannie w Glorię, biegł śmiało naprzód i stanął w końcu przed bramą.

— Samsonie,—wołaj.

Gigantyczny sługa potrząsnął bramą z taką siłą, że o mało z zawiasów nie wypadła.

Serafina spała najspokojniéj, kiedy nagle rozległy się krzyki i Franciszka, przybiegając do jéj pokoju, zawołała głosem pełnym trwogi:

— Senioro, senioro, niech pani wstanie.

— Franciszka! Co? czy ogień?!...

— Nie senioro. Niech pani wstanie jak najprędzéj.

— Czy się pali, kobiéto?...

— Ale gdzie tam, to coś gorszego jeszcze!...

— Jezus, Marya, Józef! zawołała Serafina, podnosząc się szybko i dzwoniąc zębami.

— Czy seniora nie wstanie? wołała Franciszka.

— Po co?

— Panienka Gloria.....

— Lecz cóż się stało?

W téj saméj chwili dały się słyszéć kroki Bonawentury a następnie głosy nieznanych osób. Serafina wybiegła z sypialni i w najwyższém osłupieniu spostrzegła synowicę swoję ubraną zupełnie, i w towarzystwie dwóch mężczyzn nieznajomych, z któremi rozmawiał Bonawentura. Pobożna i szlachetna seniora stanęła na ten widok jak wryta.

— Nic się nie stało, rzekł Bonawentura, zakłopotany nieco obecnością swéj siostry, która mu była nie na rękę. Dla czego wstałaś Serafino?

— Wyszła!.., zawołała Serafina z trwogą, patrząc na siostrzenicę. Wyszła!.... Gloria!....

— Nie, to jest odparł Bonawentura blady i zmieszany. Tak... w istocie.... wychodziła... Biedaczka przestraszyła się....

— A kto jest ten człowiek? spytała Serafina, wskazując Hebrajczyka.

— To jest... ten pan..... to mój przyjaciel, odparł Lantigua.

— Morton, rzekł Daniel, kłaniając się z uszanowaniem.

Serafina zadrżała, jakby piorunem rażona.

Bonawentura podbiegł szybko do siostry, lękając się skutków tego wrażenia i z udanym spokojem rzekł:

— Nie martw się, siostro kochana, bez przyczyny. Nic się nadzwyczajnego nie stało. Ten pan przechodził wypadkiem, kiedy...

— Dla czego nie powiedziéć prawdy, zaprotestował Daniel przerywając. Zatrzymałem jéj powóz gdy wracała....

Gloria, która odzyskawszy zmysły płakała w milczeniu, upadła na kolana przed ciotką, a całując jéj ręce mówiła ze łkaniem.

— Ciotko moja kochana, zgrzeszyłam przeciw posłuszeństwu, przeciwko rezygnacyi, nie uczyniłam zadość swoim ślubom i rozka-

zom twoim senioro; ale zasługuję na przebaczenie, bo jestem matką, jestem matką, więc chciałam widzieć mojego syna, od którego zdaleka żyć muszę, lecz którego zrzec się nie mogę.

Po tém wyznaniu Gloryi nastąpiło straszne milczenie, podczas którego ostatnie słowa nieszczęśliwéj zdawały się drżéć w powietrzu. Bonawentura podniósł Glorię, posadził obok płaczącéj Serafiny a obaj mężczyzni stali przygnębieni i milczący.

— Nie mogłam się oprzéć memu uczuciu, mówiła daléj Gloria. Musiałam postępować, ukochana matko moja, jak hipokrytki, jak złodzieje i wychodziłam o północy, kiedy wszyscy spali, w towarzystwie wiernego sługi.... To prawda, mówię to, bo czas już na wyrzucenie z serca tajemnicy, któréj ukrywać nie mogę.

— Uspokój się, dziecko moje, rzekła Serafina czule; to wszystko co mi mówisz, to nieposłuszeństwo twoje, było wywołane uczuciem szlachetném, najszlachetniejszém ze wszystkich po miłości Boga,—tak, po niéj.

Serafina patrzyła na Hebrajczyka bez gniewu i bez ciekawości, a Don Bonawentura, chcąc zakończyć scenę, rzekł ze słodyczą.

— Powinnaś odpocząć Glorio, jesteś zmęczona, moje dziecko.

— Ten człowiek, wybełkotała Serafina, nie będzie żądał od nas gościnności. Musi mieć zapewne swoje mieszkanie.

— Jestem gotów oddalić się, rzekł Morton jak śmierć blady, lecz jeśli mi seniora pozwoli przed odejściem powiedzieć słów kilka do jéj brata.

— I ja chciałem pomówić z panem. Za chwilę będę mu służył, rzekł Bonawentra, obejmując ramieniem swoję synowicę i prowadząc ją do jéj mieszkania.

Morton pozostał sam jeden, oczekując na bankiera.

XVII.

Ciernie, gwoździe, biczowania, krzyż.

Połóż się, rzekła Serafina do Glorii, gdy obie kobiéty zostały same po odejściu Bonawentury. Musisz być znużona.

— O bardzo, odpowiedziała Gloria słabym głosem.

— Połóż się, powtórzyła Serafina. Rozbiorę cię.

— Nie mam siły do niczego, mówiła Gloria, opuszczając ręce bezwładnie. Proszę cię, ciotko, zawołaj Franciszki, bo brak mi siły.

— Wszak ja tu jestem, odparła Seniora, rozpinając suknię Gloryi.

— Nie, ciotko, na Boga, ja to sama zrobię, protestowała Gloria, podnosząc się.

Ale Serafina uklękła przed nią z zamiarem zdjęcia jéj trzewików.

— O! na to nie pozwolę!... zawołała Gloria, broniąc się całą siłą od téj usługi. Ty, ciotko, przedemną na kolanach, jak służąca!....

— Choćbym też była i służącą twoją, cóż w tém dziwnego? Powinniśmy się zawsze uważać za najniższych. Najlepszym środkiem zachowania pokory jest przekonanie, że wszyscy więcéj są od nas warci.

— Nie, ja nie mogę pozwolić.

— Sprawiłabyś mi wielką przykrość, gdybyś mi nie pozwoliła usłużyć sobie, kochana córko. Pozwól, proszę cię bardzo. Potrzebujesz mojéj pomocy, bo jesteś zmęczona, biedna i nieszczęśliwa...

Gloria starała się zapanować nad swém znużeniem, lecz w końcu wycieńczona padła na łóżko, z którego przed trzema godzinami wyszła. Koguty piały coraz silniéj, zwiastując blizkość jutrzenki.

— Może chesz czego?

— Nie, ciotko.

— Śpiąca jesteś?..

— Wcale nie.

— Męczy cię moje towarzystwo?.. Chcesz, żebym odeszła, czy mam pozostać?..

— O zostań, ciotko, bardzo proszę. Głos twój jest pociechą dla mnie... I ja bym chciała mówić. Mam do powiedzenia bardzo wiele.

— Więc mów.

— O lepiéj będzie gdy zamilczę. Jeśli nie jesteś bardzo zmęczona, droga ciotko, to pozostań jeszcze, gdyż zostawszy sama, myśléć będę o strasznych rzeczach.

— Pozostanę, jeśli tego pragniesz.

— Usiądź tu przy mnie, ciotko i rób mi ciężkie wyrzuty za prowadzenie się moje. Nie powinnam była tak postąpić—wszak prawda?...

— Może błąd ten nie jest tak wielki jak sądzisz!..

— Czy na przebaczenie zasługuje?...

— Niewątpliwie i udzielam ci je z całéj duszy, odparła z czułością Serafina. Mogłażeś przypuścić co innego?.. Wiesz przecie, że zakaz widzenia twego syna i ciężkie wymaganie, żeby się wychowywał zdala od ciebie, nie jest moim pomysłem, że nasz ojciec du-

chowny, nasz brat swięty *Don Angel* tak rozporządził, a jemu winniśmy posłuszeństwo.

— Mój stryj jest święty — to prawda; ja go też czczę całą duszą, odparła Gloria; ale w tym przypadku nie wiem... zdaje mi się, że postąpienie jego z moim biednym synem nie jest tak bardzo ludzkie i szlachetne.

— O nie mów tego, moje dziecko; dopóki nie wyrzekniesz się swego przewrotnego sądu o wyrokach zwierzchników, duch twój nie osiągnie czystości, prostoty i pokory, która nas zbliża do Boga.

— Nie, droga ciotko, żadna siła nie skłoni mię do przekonania, że dziecko .powinno być odłączone od matki, której zawdzięcza życie i żeby Pan Bóg wymagał takiego okrucieństwa, które jest pogwałceniem praw najświętszych.

— Uwodzisz się tylko pozorami i nie wnikasz w istotę rzeczy, bo nie jesteś skromna i pokorna w swoim sądzie, bo nie masz dla sądu swego pogardy, która prowadzi do zrozumienia najwznioślejszych rzeczy, bez trudu, dzięki jedynie tajemniczemu światłu otrzymanemu z nieba..... Powiedz mi, nieszczęśliwa, czy brat mój odmówił ci absolutnie rozkoszy macierzyńskiéj? Czy się okazał mściwym lub nienawistnym dla twego dziecka? Czy liż nie przysłał błogosławieństwa dla ciebie i dla niego? Czy nie pisał, że cię tak samo dziś ko cha jak dawniéj, że ci przebacza wszystkie błędy, że myśli nieustannie o tém niewinném dziecku, któremu dałaś życie i że je braterską miłością kocha?...

— Tak, to prawda, to prawda, mówiła Gloria łkając. Wiem że stryj mój jest najlepszym z ludzi.... ja go też ubóstwiam, ale...

— Ale co?... O biedne dziecko, czuję wprawdzie że słowa moje ranią twe serce jak ostrze noża, ale wszak prawdą żyć trzeba. Nie dosyć jest dać życie dziecku, aby mieć prawo do rozkoszy macierzyństwa. To nieszczeźliwe dziecko nie przyszło na świat z rodziców złączonych sakramentem, w pośród wesołych okrzyków rodziny, ani na łonie kościoła, matki naszéj; nie urodziło się otoczone tą aureolą honoru i szczęścia, które otacza potomka sławnéj rodziny, nie urodziło się upragnione, lecz budzące trwogę, nie przyszło na świat jako nadzieja, lecz jako groza a i ty sama, czując w swém łonie pierwsze oznaki jego życia, nie drżałaś z radości, ale ze wstydu; bo to co w naturalnym biegu życia byłoby najsłodszą pociechą twojéj duszy i największą dumą twego nazwiska i rodziny; to właśnie było w tym przypadku wcieleniem twéj hańby. Urodziło się niewinne, to prawda, w tym jedynie grzechu w którym się wszyscy rodzimy, przyszło na świat godne kochania, lecz się nie urodziło w najświętszym prawie chrześciańskiéj rodziny i nosi na sobie piętno twego ha-

niebnego upadku, tego upadku, który ci przypominam bez wahania, gdyż największą dla ciebie potrzebą jest cierpieć i cierpieniem jedynie odrodzić się możesz. Zapomniałaś, że twój upadek jest najhaniebniejszy jaki tylko wyobrazić sobie można; nigdy szatan nie zastawił straszniejszych sideł; wybrał on za ofiarę istotę najzacniejszą a za węża człowieka rasy przez Boga przeklętéj i bogobójczéj.

Gloria przy ostatnich słowach téj przemowy czuła, że muskuły jéj ściągają się konwulsyjnie, że krew ścina się w żyłach. Wyciągnęła rękę jak gdyby chciała nakazać ciotce milczenie a drugą cisnęła rozpalone czoło.

— Dręczę cię, więc zamilknę, gdyż powinnam pamiętać o miłosierdziu, lecz ty powinnaś pragnąć udręczeń, powinnaś szukać zgryzoty i odnawiać twoje boleści i wbijać w siebie po sto razy te cierpienia i gwoździe, gdyż tylko wytrwawszy w cierpieniu i wychyliwszy do dna kielich goryczy, będziesz zbawiona, córko moja.

— O! mów, ciotko, pragnę cię słuchać.

— Nie, pozostaje mi tylko powiedzieć ci, że brat mój słusznie polecił, żeby to dziecko poświęcone było Chrystusowi i umieszczone w bezpieczném miejscu, dającém zupełną gwarancyą, że nigdy do świętéj wiary katolickiéj należéć nie przestanie.

— A więc, rzekła Gloria żywo, wy się lękacie, żebym syna mojego nie pozbawiła wiary Chrystusa?

— Ty nie, jakkolwiek twoje idee nie są dostateczne do wychowania dziecka prawdziwie po chrześciańsku. Zresztą stan twego ducha zbyt jest rozstrojony obecnie, aby ci dał możność sumiennego zajęcia się dzieckiem. „Dopóki istniéć będzie na świecie jéj uwodziciel, mówił do mnie biskup, Gloryi zagrażać będzie niebezpieczeństwo powtórnego upadku.“ Otóż, nieszczęśliwa, ten człowiek nie tylko istnieje, lecz cię ściga i szuka a nawet jest tutaj w Fikobrydze. Co się tyczy twego syna, wola mojego brata jest bardzo jasna: „Możesz ją pocieszyć,“ pisał do mnie w przeszłym miesiącu z Rzymu—„obietnicą widzenia swéj dzieciny, jakkolwiek uczuć macierzyńskich nie należy zbytecznie w niéj egzaltować. Lecz gdyby przypadkiem *zły* się zjawił w Fikobrydze, zerwij wszelką komunikacyą z dzieckiem, ukryj tę niewinną istotę, którą dla nieba wychowujemy i zabezpiecz w takiém miejscu, gdzieby jéj rodzice dosięgnąć nie mogli, gdyż obawiam się, żebyśmy téj maleńkiéj duszy dla wiary katolickiéj nie stracili.“

Gloria wpadła w milczenie głębokie i ponure.

— Mówiłaś mi, że przyjmujesz krzyż ten jako ekspijacyą?..

— Tak, jam go przyjęła, rzekła nieszczęśliwa, po długiéj pauzie, w czasie której Serafina czekała niecierpliwie na odpowiedź. Przyję-

łam go, ale natychmiast, natychmiast, kochana ciotko, uczułam, że nie będę mogła przenieść téj ofiary; zbrakło mi odwagi, skłamałam, udawałam, oszukiwałam wszystkich w domu, wychodziłam skrycie, poleciwszy Kajfaszowi, aby mi towarzyszył. Źle robiłam, przyznaję, lecz krzyk, który pochodził z mych wnętrzności, zagłuszał wszystko i kazał zapomnieć o świętości, o rezygnacyi, o krzyżu i o koronach z cierni.

— O dziecko moje, tyś nieuleczona jeszcze i nie możesz nią zostać, dopóki nie zrobisz najwyższego i ostatniego wysiłku w swéj grzesznéj duszy dla pojednania się z Bogiem. Twoja głowa pełna jest zwątpień strasznych i nie zna jeszcze słodkiego owocu ducha świętego, który pokojem nazywamy.

— Pokój—zawoła Gloria z jękiem; on już nigdy nie wróci do mojéj duszy.

— Mówisz jak potępiona, moje dziecko; brak ci łaski, którą aby otrzymać, trzeba jéj przedewszystkiém pragnąć.

— Pragnę jéj.

— Prosić o nią Boga najgoręcéj.

— Proszę o nią.

— Trzeba stać się jéj godną, poświęcając Bogu wszystkie uczucia, wszystkie pragnienia ziemskie, to wszystko, co się wiąże z tym światem; jedném słowem trzeba poświęcić rzeczy widzialne dla niewidzialnych.

Gloria skrzyżowała ręce na piersiach i z akcentem wiary odpowiedziała.

— Wszystkiego się wyrzekam, lecz nie mogę się wyrzec swego dziecka. Pogardzam sobą jako kobiéta, lecz jako matka—nie mogę. Wydzieram z serca wszystkie uczucia z wyjątkiem jednego, które mię przy życiu utrzymuje. Ofiaruję Bogu wszystko co jest we mnie, lecz nie mogę mu poświęcić na ofiarę zaprzeczenia praw moich i mych radości macierzyńskich. Czy to uczucie nie jest tak szlachetne, tak święte, tak boskie nawet, tak boskie przynajmniéj jak owa doskonałość, która się zasadza na zaparciu samego siebie?..

— Tak, uczucie to jest szlachetne, święte i boskie nawet odparła Serafina. Któż o tém wątpi?.. W macierzyństwie swojém była wywyższona nad wszystkie istoty ludzkie, kobiéta, która wstąpiła do nieba z ciałem i duszą. Ale!..

— Ja jestem matką!.. zawołała Gloria rozpacznie, a w tym jęku wydartym z głębi duszy było coś tak strasznie bolesnego, że potwór musiałby się nim wzruszyć.

— Jesteś matką! mówiła Serafina, poruszając głową na znak, że się tego argumentu spodziewała. Tak; ale w jaki sposób?.. Jakie

prawa boskie czy ludzkie twój stan macierzyński uświęciły?. Na miłość Chrystusa, Glorio, nie mów o swojém macierzyństwie!.. Czyż bym ja śmiała kobiécie zamężnéj, kobiécie uwieńczonéj tą gierlandą boską prawnie urodzonych dziatek, powiedziéć: „Porzuć swe dzieci, wyrzecz się uczuć ziemskich, zaprzyj się saméj siebie i poświęć wszystkie swe myśli rzeczom świętym?... Czy masz mię za szaloną?. Byłoby to absurdem, brakiem litości, aberacyą uczucia religijnego. Ale do ciebie, któraś wpadła w przepaść hańby, do ciebie, któréj z wybranym mężczyzną węzły sakramentu nie złączyły, do ciebie, która zostałaś matką przez zbrodnię i miłość świętokradzką, do ciebie po tysiąc razy powiem: „Wyrzecz się swego dziecka, nie przez surowość uczuć, lecz przez ekspijacyą, nie w skutek wynaturzenia, lecz dla kary. Popełniwszy grzech najcięższy, obraziłaś Boga; ofiaruj mu przeto jedyną rozkosz, jaka istnieje w twém sercu... miłość macierzyńską. Ta miłość jest pociechą dla ciebie?.. Ależ ty nie masz żadnego prawa do pociechy. Chcesz być odkupiona?... Ależ nie ma odkupienia bez cierpień i bez krzyża..... Ubóstwiasz to nieszczęśliwe dziecko, które nie powinno było przyjść na świat; więc poświęć Bogu to uczucie. Nieodwołalnie potrzeba ci krzyża, lecz ciężkiego krzyża, bo wina twoja była niezmierna. Weź go i idź z nim Macierzyństwo mogłoby cię uszczęśliwić, a ty, jeśli zbawienia pragniesz, szczęśliwą być nie powinnaś w żaden sposób. Jeśli dla ciebie nie masz nic więcéj prócz boleści; to dla czego dążysz do rozkoszy? Im szlachetniejsze jest uczucie, które cię ożywia, tém większa będzie zasługa twéj ofiary, gdyż powiedziano jest: „Ktokolwiekby w imię moje opuścił dom, rodzeństwo, ojców i dzieci, sto razy tyle odziedziczy w życiu wieczném.

— O jak ciężki, jak straszny jest krzyż ten, zawołała Gloria, wznosząc ręce.

— Dziecko moje, nie uważaj tego co mówię za rozkaz, lecz za napomnienie i radę, mówiła daléj Serafina, ściskając czule penitentkę. Nie sądź, że chcę cię wynaturzyć. Bynajmniéj. Lecz twój czyściec musi być na wysokości twego grzechu. Poświęcając dzieciństwa, kaprysy próżne i rzeczy małéj wartości, nie zdobywa się wiecznego życia. Potrzeba wyrwać z serca strunę najczulszą, usunąć klejnot najkosztowniejszy, zabić to co wielkie, ukochane, najdroższe, wypłakać morze łez, cierpiéć, cierpieć i wiecznie cierpiéć!...

— Czy życie moje nie jest krzyżem?.. zawołała Gloria z głuchą boleścią.

— Krzyżem kobiéty—nie matki. Żyjąc jak żyjesz, narażona jesteś na tysiące niebezpieczeństw, a to macierzyństwo, które tak uwielbiasz jest fatalnym węzłem, łączącym cię ze sprawcą twych nieszczęść.

Żyć będziesz podległa strasznym pokusom, a powiedziano jest: „jeśli ręka twoja, lub noga daje ci sposobność do grzechu, utnij ją i odrzuć od siebie.“

— To prawda, to prawda!...

— Dziecko moje, dodała seniora, całując Glorię, położywszy rękę na sercu, uważaj czy miłość tego dziecka i haniebna plaga, któréj pierwszemu ogniowi ono zawdzięcza życie, zlewają się z sobą.

Gloria milczała. Zdawało się, że w istocie położyła rękę na sercu i gasiła płomienie.

— Milczysz?

— Nie wiem co odpowiedziéć, odparła nieszczęśliwa z wyrazem obłąkania, dusza moja jest udręczona a w myśli mojéj wszystko jest chaosem, gorączką. Nie wiem co myślę i co czuję, bo jestem pełna trwogi, niepokojów, pragnień i nie mogę zrobić żadnego postanowienia, bo po każdym wysiłku méj woli, następuje zupełne obezwładnienie, które mnie zabija.

— Ja ci przecież przedstawiam środki do wyjścia z tego stanu, a ty je odpychasz! Wskazuję ci wyłączną miłość Boga, jako najsłodszą granicę twych udręczeń, a ty wątpisz jeszcze. Wykorzeń wszelką inną miłość a łaska wstąpi w ciebie jak potok. Odwróć swe oczy od wszelkich stworzeń a zwróć je w twarz Chrystusa. Odłącz się od wszystkiego, a będziesz z nim połączona wiecznie. Zamknij swe uszy na czarodziejską muzykę uczuć przelotnych, a usłyszysz we własném wnętrzu głos Boga! Ja tylko jedna mogę ci tych rad udzielić, bo mnie o egoizm nie posądzisz. Zrobiłam ślub ubóstwa, rozdzieliłam swój majątek między ubogich i dzieci mojego brata. Obojętna na wszelkie próżności ziemskie, już do świętego schronienia wstąpić miałam, gdy nieszczęście twoje stanęło temu na przeszkodzie. To jedno wstrzymać mię mogło, bom czuła w swojém sumieniu najsłodszy głos Boga, który mi mówił: „Idź tam i ocal ją! Przybiegłam tedy do ciebie, dziecko moje, czuwałam przy łożu twojém z troskliwością matki; ale duma moja nie ograniczała się na tém, żeby cię wyrwać z rąk fizycznéj śmierci, lecz żeby uchronić od moralnéj, to jest od wiecznego potępienia. Nie mogę się zgodzić, żeby twoja szlachetna dusza cierpiała w piekle za błąd przelotny, więc dopóki mówić mogę, wołam, „pójdź, pójdź, córko moja, pójdź ze mną do téj samotnéj ustroni, gdzie twoja dusza oczyści się przez modlitwę, przez pokorę, przez pokutę. Tam serce twoje w płomieniach miłości boskiéj pozbędzie się ziemskiego brudu...“

— Klasztor, zawołała Gloria, wijąc się na łożu jak w mękach. Zamknięcie mnie nie przestrasza, lecz tam nie będę widziała swego syna!...

— Ten, który świat stworzył, który się stał człowiekiem dla odkupienia naszego jest miłością najpierwszą ze wszystkich, rzekła Serafina, wylewając łzy wzruszenia i pobożności. Czy to być może, czy to podobna, żebyś jeszcze nie była przekonana?...

Gloria zamknęła oczy i jak gdyby tonąc w otchłaniach letargu, odpowiedziała wewnątrz siebie, głosem, który ledwie poruszał jéj usta:

— Jeszcze nie.

— O ja nieszczęśliwa, sto razy nieszczęśliwa, zawołała Serafina patetycznie; czemuż nie posiadam ani siły, ani wymowy, żeby ocalić duszę ginącą.

— Jesteś święta, ciotko, rzekła Gloria, otwierając oczy i wyciągając ręce dla uściskania Serafiny.

— Jestem nieszczęśliwa, bo chciałam spełnić misyą apostolską, a Bóg mię ukarał za mą pychę.

— Jesteś święta, ciotko, powtórzyła Gloria, ale... nigdy nie byłaś matką!...

Szlachetna seniora nie dała żadnéj odpowiedzi, lecz ogarniając wzrokiem Glorią, rzekła po chwili:

— Nie żądasz czego?

— Śmiercibym jedynie dziś pragnęła, odparła Gloria przygnębiona; gdyby nie żyło moje dziecko!...

— Powinnaś odpocząć.

— Nie mogę... Nie odchodź odemnie, ciotko. Gdy zostanę sama, będę myślała o strasznych rzeczach. Która godzina?...

— Już dnieje, moja córko.

Gloria usiłowała coś powiedzieć, lecz stan straszliwéj agonii obezwładnił ją. Falowanie jéj piersi w skutek gwałtownego bicia serca było tak straszne, że Serafina zupełnie ją odkryła, aby najmniejszy ciężar nie sprawiał jéj przykrości. Nieszczęśliwa rzucała się na łóżku z gorączkowym niepokojem, a głowa jéj piękna tonęła w falach czarnych włosów, w nieładzie spływających na poduszki. Wreszcie kładąc obie ręce na piersi i cisnąc je z taką siłą jakby chciała coś w nich zatrzymać przemocą, wołała:

— Nie mogę, Boże, nie mogę!...

Serafina starała się ją uspokoić, lecz widząc, że stan Gloryi jest coraz gorszy, uklękła przy niéj i zaczęła się modlić.

Daniel Morton i D. Bonawentura rozmawiali bardzo długo. Gdy Hebrajczyk wychodził z domu była jeszcze noc ciemna. Samson połączył się ze swym panem, który mu kazał iść do domu; ale sługa, udając posłuszeństwo, szedł za Mortonem zdaleka. Daniel okrążył dom Lantiguów i wszedłszy na drogę, która prowadziła do

wybrzeża morskiego, kroczył zwolna, z rękoma na plecach skrzyżowanemi, ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Skoro nogi jego zaczęły już zagłębiać się w piasku i gdy zbliżył się do wilgotnego gruntu zapowiadającego blizkość fal morskich, uczuł w piersiach rodzaj takiego zaufania, jakiego doświadczamy w obec dobrego przyjaciela. Morton spoglądał na bałwany, które wznosiły się i opadały, a patrząc na nie, wydobył z chaosu swego ducha ciężkie pytanie: „co ja zrobię?“ Siadłszy na kamieniu, dał wolny bieg chaotycznym myślom swoim, a goniąc wzrokiem bezbrzeżne wód przestrzenie, mówił do siebie:

— To, com przypuszczał nie ulega wątpliwości. Ona umrze z mojéj przyczyny a umrze ze zgryzoty. Nie zdecydowała się jeszcze na przyjęcie propozycyi, którą jéj robi rodzina, bo ma nadzieję... lecz gdy tę straci, upadnie, a upadnie w straszne więzy i rozegzaltowana duchem religii, który nakazuje cierpienie, uchyli w końcu głowę przed ascetyzmem i zmarnuje resztki nędznego życia w klasztorze chrześciańskim... W dobrych intencyach D. Angel i jego siostra, powodowani religijnną gorliwością i entuzyazmem dla fałszywéj swéj wiary, odmówili jéj sercu najsłodszéj pociechy, odłączywszy matkę od dziecka!... Ha, to straszne, myśląc o tém, czuję, że w sercu mojém nie ma ani jednéj struny, któraby nie drżała z oburzenia...

I pomyśleć, że jedném słowem mógłbym ją wydobyć z tego piekła, wrócić jéj zdrowie, spokój, szczęście, szacunek świata i że razem z tém słowem powróci do jéj ramion biedny anioł odepchnięty od wszystkich i ukryty jak wstyd, lub jak skarb zrabowany... Pomyśleć, że jedném słowem mogę zrządzić tak wiele dobra i że to słowo nie może być wymówione!... A jednak trzeba je wymówić. Miałbym serce z kamienia, nie byłbym człowiekiem, gdybym go nie wypowiedział. Byłbym nędznikiem, zasługiwałbym na to, żeby mnie sumienie prześladowało wiecznie, gdybym nie zaklął tego nieszczęścia, gdybym nie ocalił matki udręczonéj i dziecka oddanego płatnym rękom...

Zatrzymał się przez chwilę, myśli jego zwróciły się w inną stronę i tak mówił daléj:

— Lecz czémże jest to co mam zrobić? co wypowiedziéć powinienem? Słowem, będącém haniebną apostazyą méj religii, pogardą Boga, w którego świętéj idei wzrosłem ja, ojcowie, dziadowie moi od najodleglejszych pokoleń, aż od tych wreszcie, które były wybrane do przyjęcia prawa bezpośrednio z rąk samego Boga i do przekazania praw tych całemu światu. Czy może powstać w méj głowie idea wyrzeczenia się mego Boga dla przyjęcia innéj wiary i jakiéj jeszcze?!... wiary proroka fałszywego, wiary Nazareńczyka,

w imię którego byliśmy rozproszeni, prześladowani, paleni i znieważani przez ośmnaście wieków!... I ja mam przyjść do Nazareńczyka i powiedziéć doń: „Oto jestem u nóg twoich, widzisz przed sobą tego, który się chełpił, że do ciebie nigdy należéć nie będzie, tego, który był najdumniejszym z twoich wrogów...“ I ja mam powiedziéć swemu Jehowie: „Już odtąd do ciebie nie należę.“ Jestem jako niewolnik, w którym pan jego położył całe zaufanie, a który jednak jako niewdzięczny uciekł z domu swego pana okradłszy go, a potém pobiegł do domu wroga i prosił o zapłatę i urągał dawnemu panu... i to wszystko dla kogo?... dla kobiéty... dla miłości potężnéj, niezwalczonéj wprawdzie, lecz która jest rzeczą ziemską i dla dziecka, które ubóstwiam, ale które jest robakiem nędznym, niegodnym uwagi, od chwili jak występuje obok niego straszna i szczytna postać Tego, który stworzył niebo i ziemię...

Myśl jego stanąwszy u téj granicy, nagle zwróciła się na pierwsze tory.

— Ależ, myśląc o nieszczęściu téj kochanki mego serca, powinienem pomyśléć, że jestem jego sprawcą. Wszak ja sam, ja sam tylko zrobiłem ją nieszczęśliwą. Ona była błogosławiona i czysta, a jam zakłócił spokój jéj serca i wtrącił w przepaść hańby; jam ją wyrwał z tego najpiękniejszego nieba, w jakiém żyła jéj dusza i pogrążył w ciemnościach; jam wypędził od jéj boku aniołów, którzy ją mieli w swéj opiece i napełniłem jéj serce trucizną. Ona była jako kwiat, który ja podciąłem. Przyszła na świat, aby każdém spojrzeniem rozsiewać błogosławieństwo, aby każdy cień jéj nawet rozszerzał szczęście do około, a ja z téj jasnéj gwiazdy zrobiłem noc ponurą, ciemność udręczeń pełną, która każdego kto się do niéj zbliży do łez przymusza. Ja to jestem winien, ja spowodowałem jéj nieszczęście w sposób nikczemny, bom ukrył swoję religią i będąc wrogiem, wystąpiłem jak przyjaciel. O nie, nie ma lekarstwa, nie ma sofizmatu, któryby mię usprawiedliwić zdołał; ta katastrofa musi być przezemnie okupiona... Jeśli tak nie jest, nie mam pojęcia sprawiedliwości, nie mam poczucia obowiązku i honoru, a będąc dalekim od sprawiedliwości, nie mogę nawet poznać czém jest Bóg. Moim obowiązkiem jest ją ocalić. To mi nakazuje sprawiedliwość, która jest Bogiem, obowiązek, który jest Bogiem, prawda, która jest Bogiem, współczucie, które jest Bogiem. Nakazuje mi to również społeczeństwo i owo prawo wzajemnego szacunku, od którego uwolnić się nie możemy... Tak... to jest konieczne, fatalne, nieunikione, i gdybym tego nie uczynił, nie ma w żadnym języku imienia tak podłego, któreby było dla mnie odpowiednie. Zasługuję na to, żebym umarł i był przez psy pożarty i żeby poszarpane ciało moje nigdy w mogile nie

spoczęło. Nikt nie wydrze ze mnie tego głębokiego przekonania, które zapuszcza swój korzeń w najdalsze głębiny moich piersi. Jest to oczywistość, prawda szczera...

W chwili gdy wymawiał ostatnie słowa, nastąpił przypływ morza i bałwan wyciągnął swój język najeżony pianą, aż prawie do nóg samotnika. Usunąwszy się trochę i wszedłszy na pagórek, Morton snuł daléj rozpoczęty wątek myśli.

— Nie, to niemożliwe, żeby Bóg i sprawiedliwość byli w niezgodzie. To niepodobna, żeby dla dotrzymania zobowiązań serca trzeba było zostać apostatą. Tu jest coś takiego, czego ograniczona inteligencya moja odkryć nie może. O Boże wielki, daj mi światło, powiedz mi gdzie jest wyjście z tego straszliwego labiryntu, ukaż mi środki ocalenia. Gdybym jéj nie otrzymał Panie, wszystkiemu, tak, wszystkiemu zaprzeczyćbym musiał, od Ciebie zaczynając!...

Ale w rzeczywistości jakaż jest myśl moja o religii?. . Co myślę, w co wierzę? Sumienie wskaż mi to, co masz najskrytszego, swój głos najtajniejszy, to co jest nawet mniéj niż głosem, mniéj niż westchnieniem, które zaledwie ja sam usłyszę... W co ja wierzę? Czy przypadkiem nie sądzę, że religija moja jest jedyna, w któréj ludzie mogą być zbawieni, jedyna, która zawiera prawdy wieczne? Nie, na szczęście, umiem wznieść się duchem po nad wszystkie kulty i mogę widziéć swego Boga, Boga jednego, wielkiego, strasznego, ukochanego, prawodawcę rozkazującego wszystkim duszom. A więc, cóż cię wstrzymuje, nędzniku? Czy w chrystyanizmie nie znajdujesz praw wiecznych? Istnieją, tak, ale przekształcone, zwichnięte... Nie, nie mogę się nagiąć do przyjęcia téj nowości. Nienawidzę téj idei wszystkiemi siłami méj duszy i całą nienawiść trującą, jaką ta sekta przeciw mnie żywi, wracam jéj spotęgowaną do bezmiaru. Nie mogę się z niéj wyleczyć; wyssałem ją z mlékiém, noszę ją rozpaloną w swoich wnętrznościach jeszcze od łona matki, a duch mój również nie odstąpi od niéj za nic w świecie. Ile razy duch ten wznosi się do kontemplacyi nad pierwotną istotą rzeczy, jestem wtedy tolerancyjny, ludzki i szlachetny, lecz gdy się zastanawiam nad chrześciańską ideą, szafotem naszym i katem, jestem wówczas fanatykiem tak nieubłaganym i brutalnym jak inkwizytorowie katoliccy... I na udręczenie moje istota, którą ubóstwiam, wychodzi ze wstrętnego tłumu jéj sekty a przedstawia mi się pełna wdzięku i światła; jedyna istota, którą mógłbym rozgrzeszyć z odpowiedzialności chrześciajskiéj, jedyna istota, któréj przebaczam krzywdy wyrządzone méj rasie. O Boże, Boże, co to za tajemnica, co to za zagadka przerażająca i straszna. Głowa moja rozpalona jak wulkan nie wié co myśléć. Tu jest coś... tu jest coś, czego mój ograniczony rozum pojąć nie zdoła. Boże mój,

Boże nieskończenie mądry, dla czegoś stworzył te sprzeczności straszne i absurdu pełne, które każą wątpić o dobroci stworzenia i o logice świata?!

Niebo wyjaśniać się zaczynało; pierwsze dnia blaski oblały ziemię światłem a Morton nic nie widział, bo w umyśle jego była noc nieskończona i chaos wieczny.

— Lepiéj będzie, rzekł, jeśli wszystko jak jest pozostanie: jéj hańba, jéj wstyd, barbarzyńskie rozłączenie matki z dzieckiem, samotność moja i niezbłagany wyrzut sumienia, który mi szarpie wnętrzności. Może czas pocieszy nas wszystkich... Ona wejdzie do tego przeklętego klasztoru, smutniejszego od grobu, bo w nim się żyje. Nie będę jéj widział nigdy, nie będę widział swego dziecka, bo je ukryją przedemną, jak się przed złodziejem ukrywa klejnot. Będzie rosło i kiedyś spotkam je, nie poznawszy. Nauczą je przeklinać imię i krew moję. I jak uniknąć tego, jak?... Gdyby można uniknąć choć kosztem życia!.. Nie; tego się nie uniknie i ceną stu żywotów, lecz mocą jednego słówka, tak krótkiego, jak wszystkie inne, które codzień wymawiają nasze usta, ale słówka zawierającego ideę, wszystkie idee i wszechświat i życie przyszłe.

Po chwili dodał:

— Jestem nędznikiem, jeśli nie powiem tego słowa, jeśli go nie powiem jasno, uczciwie, bez oszustwa. Jestem nędznikiem, jeśli nie zamknę oczu na wszystko: na swoję historyą, na swoję rasę, na kult mój, na moję rodzinę i nie rzucę się w objęcia nienawistnéj mi sekty, która bez wątpienia nie jest tak zla jak ja sądzę, bo do niéj należy królowa mojego serca.

Cisnąc czoło rękoma, jakby chciał ujarzmić w niém myśl nieposłuszną, pasował się w milczeniu czas jakiś, lecz po długiéj pauzie zawołał nagle:

— Mój ojciec!... Nie, od chwili jak zrobiłem to postanowienie, już nie mam ani ojca, ani matki, ani przyjaciół. Nie chcę myśléć o ich sieroctwie, o ich boleści. W mojéj rodzinie opłakują synów umarłych, ale renegata, renegata nikt nie wspomni, jak gdyby się nie był urodził. Wizerunek mojéj matki, która jest szczytném uosobieniem izraelickiéj konsekwencyi, przygniata mię więcéj niż tysiące niewzruszonych rozumowań!... Moja matka!... z któréj objęć wydarłem się niepostrzeżenie, aby tu przybyć; moja matka, która postanowiła ścigać mię, aby zatrzymać; ta kobiéta, która uwielbia we mnie dumę swéj rasy i która umrze niewątpliwie, skoro się dowié... Nie, po tysiąc razy nie!... to się nie stanie. To jest tak niemożliwe jak wypicie tych bezbrzeżnych fal morskich!... O Boże, pocoś mię stworzył, jeśli wiedziałeś, że dożyję takiéj chwili...

Podniósłszy się gwałtownie i giestykulując rękami gorączkowo, zwrócił twarz ku niebu i zawołał z gorączką:

— O Panie, Panie, ja mówię, że dzieło twoje nie jest dobre!...

Tymczasem dzień zajaśniał w całym swym majestacie. Morton szedł powoli nad brzegiem morskim nic nie widząc dokoła siebie. Nagle uderzył się w czoło i poglądając ku niebu rzekł z siłą właściwą człowiekowi, który coś postanowił.

— Nareszcie... nareszcie wiem jak należy postąpić!...

W chwili, kiedy Morton, po spędzeniu bezsennéj nocy szedł ku domowi. Gloria otworzyła oczy, po śnie letargicznym, w czasie którego udręczony duch jéj zaczerpnął cokolwiek siły. Przywołany lekarz zalecił największy spokój i unikanie wszelkich wzruszeń. Po śniadaniu i odprawionych w domu modlitwach, Gloria usiadła na balkonie, zachwycając się pięknością poranka a Serafina, towarzysząc nieszczęśliwéj synowicy, czekała sposobności, żeby rozpoczętą dnia poprzedniego rozmowę daléj prowadzić.

— Czy ty wierzysz w nawrócenie się Mortona, o którém tyle mówią w naszém mieście? spytała po kilku minutach obojętnéj rozmowy.

— Nie!... odparła Gloria lakonicznie.

— O! gdyby to nastąpiło, widziałabym w tym wypadku palec Boga i pierwsza rzekłabym do ciebie; „Idź za mąż; twoim obowiązkiem jest iść za mąż. Bóg ci to nakazuje. Przez ten czyn wspaniały, przez to wejście jednéj owieczki do owczarni, miłość twoja byłaby uprawiona. Wtedy nie mogłabyś wprawdzie dojść do doskonałości chrześciańskiéj, która się zasadza na negacyi wszystkich uczuć ludzkich, lecz mogłabyś innemi drogami bardzo zbliżyć się do niéj. Ale nie ma co myśleć o tém. Wszakże ty sama nie masz nadziei.

— To prawda, szepnęła Gloria, nie mam żadnéj.

— A jednak mieć ją powinnaś, rzekła Serafina.

Gloria podniosła żywo oczy i utkwiła je w ciotkę z ciekawością.

— Nie zamęźcia, dodała Serafina, czując w swéj duszy natchnienie apostolskie stokroć silniejsze niż kiedykolwiek; nie zamęźcia, lecz oddania tego niewiernego Chrystusowi.

— Jak?...

— Przez modlitwę, połączoną z poświęceniem.

— Nie rozumiem dobrze, ciotko, odparła Gloria, zainteresowana żywo tą rozmową.

— Przez modlitwę, powtórzyła Serafina, z zapałem, a lepiéj jeszcze przez ofiarę. Czy to potrzebuje wyjaśnienia?...

— Zdaje mi się, że zaczynam rozumiéć.

— Jeżeli zrobisz Bogu ofiarę niezmierną, bolesną, którą ci przedstawiam jako najlepszy środek zbawienia swéj duszy; jeśli zrobisz ofiarę, poświęcając mu absolutnie całe swe życie z pozbawieniem siebie wszelkich uczuć ziemskich; jeśli to zrobisz, Glorio, ukochane dziecko moje, i poprosisz za to o odkupienie duszy pozbawionéj prawdziwego światła, to czyż nawet przypuszczać można, żeby ci tego Bóg odmówił?...

— O Chryste, Panie, gdyby to było prawdą, zawołała Gloria, oblewając się łzami. A przecież zdaje się, że to prawda, że to nastąpić może, skoro ciotka mówi...

Twarz Serafiny błyszczała ogniem radości nieskończonéj, ekstazą tryumfu ewangielicznego.

— O, zawołała z energią fanatyzmu, ja mam głębokie przekonanie. Serce moje otwiera się jako przepaść pełna okrzyków, które zwiastują, że ten człowiek dzięki pośrednictwu twemu zbawiony będzie.

— Senioro, zawołała Gloria, egzaltując się wraz z ciotką. Jam się modliła tak długo... tyle razy...

— Bo też modlitwa nie wystarcza. Trzeba ofiary, trzeba żebyś poszła i u tych stóp przebitych gwoździem, złożyła swoje serce zbolałe, swoje życie, swoję wolę, swoje czyny, swą przyszłość, swoje ciało i swego ducha, mówiąc: „O panie, przyjm to wszystko, przyjm to wszystko com otrzymała od ciebie. Ja już niczego nie chcę, coby nie było tobą, tobą samym, żadnéj innéj miłości prócz dla ciebie. Ogarnij mię twoim ogniem i spraw, żebym dniem i nocą widziała ciebie, kochała cię, słyszała ciebie w swojém wnętrzu, weseląc się twoją chwałą i cierpiąc twojém cierpieniem. Niech ta resztka egzystencyi, jaka mi pozostaje, zanim mię powołasz do swego boku, posłuży mi na to, abym mogła wzywać twego imienia o każdéj porze i całować twój święty obraz. Niech przepadną oczy mojego ciała, które mi nie są potrzebne, gdyż lepiéj widziéć cię będę oczyma duszy. Niech zginie piękność moja, gdyż nie przez nią, lecz przez czystość i gwałtowność mojéj miłości mam się podobać tobie. Do ciebie, Panie, należę cała, i nie masz ofiary, któréjbym nie spełniła dla odkupienia swego grzechu."

D. Serafina podniosła się a majestatyczna jéj postawa potęgowała jeszcze wpływ wymowy, działającéj na wyobraźnią Glorii.

— To, co mówisz, ciotko, brzmi w mojém sercu jak echo niebieskie.

— Bóg przyjmie twą ofiarę i nagrodzi ją, dodała Serafina. Niewyczerpana dobroć Stwórcy wkrótce ci się objawi. Usłyszysz głos je-

go w twojém wnętrzu. Jakżeby miał nie wysłuchać twéj prośby, kiedy ją zanosisz w imię nowego tryumfu dla kościoła?... Jakiéjż nagrody godniejszéj dusza poświęcona Bogu pragnąć może?...

— Bóg mię wysłucha, zawołała Gloria, składając ręce. Ciotko, kochana ciotko, dusza moja napełniła się wiarą; cudowne światło wstąpiło we mnie... Czuję się inną... Słyszę w głębi mego ducha jakiś głos grzmotowi podobny. Zdaje mi się, że Bóg powiedział do mnie: *Tak*, *tak*, *tak!*...

— Tak, tak, tak, powtórzyła Serafina z niezwykłą egzaltacyą. Ocali się, opuści swą przeklętą sektę i wstąpi do raju...

Pobożna seniora, która przez tyle miesięcy zalecała swéj synowicy słodycze ascetycznego życia; która użyła wszystkich argumentów, wszystkich sposobów i wszystkich sofizmatów bezskutecznie, osiągnęła wreszcie cel swój: jaką drogą?... dotknąwszy najczulszéj struny ze wszystkich strun serca Glorii, struny miłości ludzkiéj. W obec téj siły duch buntowniczy uległ z bolesnym jękiem; i to, co mu się dawniéj potwornem i bezużytecznem wydawało, uznał za piękne, wielkie i szczytne.

— Przyjmuję, przyjmuję, wołała podnosząc się drżąca, niespokojna, rozegzaltowana, jak gdyby cudownie odzyskała nadludzkie siły.

Lecz po chwili, chwytając się za serce, krzyknęła z gwałtowną trwogą:

— Mój biedny syn!...

— Bóg, Stwórca wszechmocny, wtrąciła śpiesznie Serafina dla uwikłania swéj ofiary, widząc ziemię pogrążoną w grzechu, posłał do niéj swego syna, okrytego ciałem śmiertelném i patrzał na cierpienie i śmierć jego jako człowieka. A przecież tamten był *Słowem*, sprawiedliwością, prawem, Synem Bożym. Jeżelić Bóg tyle zrobił dla odkupienia rodu ludzkiego, to czyż nie mogłaby zrobić tego nędzna istota dla ocalenia innéj z płomieni piekła? Bóg nieskończony, wszechpotężny, najwyższy widział śmierć swego syna a ty?... Czyż go tracisz. Czy ci go zabiją?...

— O matko ukochana, zawołała Gloria, odpowiadając na pieszczoty ciotki jeszcze gorętszemi pieszczotami. Zdobyłaś mnie. Już się nie waham. Już nie mam woli. Pójdę na krzyż. Prędko, prędko, duch mój go przyjmuje. O co za idea, co za szczytna idea.

To mówiąc padła na krzesło bezsilna.

Serafina nie posiadała się z radości i klęcząc u nóg Gloryi, mówiła:

— Pójdziemy jeszcze dziś wieczór, nie należy tracić czasu.

— Dziś wieczór? powtórzyła Gloria blada, nieprzytomna i tak zmieniona, jak gdyby dotknął już dłonią jéj lica anioł śmierci.

— Za chwilę będziemy gotowe; załatwimy wszystko, ażeby jak najprędzéj wsiąść na pociąg do Villamochody.

— Czy wyjedziemy bez wiedzy stryja?

— Bynajmniéj, byłby to postępek nas niegodny... Należy przygotować wszystko, rzekła seniora z gorączkową niecierpliwością.

— Prawda... ja...

Gloria nie mogła dokończyć, gdyż drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Bonawentura.

— Przybywam, rzekł cokolwiek zmieszany, dla oznajmienia wam wizyty, którą przyjąć musicie, gdyż tu chodzi o rzecz bardzo ważną, o śmierć lub życie.

Gloria nie była wstanie powiedziéć ani słowa, a Serafina wtedy dopiéro zabrała się do odpowiedzi, kiedy brat jéj już wyszedł. Nie było nawet czasu na zrobienie komentarzów, dotyczących wizyty zapowiedzianéj, gdyż Bonawentura w kilka minut zaledwie po wyjściu swojém powrócił w towarzystwie Mortona, ubranego czarno, pięknego i poważnego. Zdawało się, że wyszedł świeżo z ciężkiéj choroby, lub że przez noc jednę przeżył najmniéj lat dziesięć.

Gloria spostrzegłszy go zdrętwiała.

— Kochana Glorio i kochana siostro moja, rzekł Bonawentura, widząc pomieszanie kobiét, z przyjemnością przychodzi mi podzielić się z wami wspaniałą wiadomością o wielkiéj zdobyczy, jaką dzisiaj kościół nasz osiąga. Obecny tu pan Morton przyjmuje katolicyzm.

Efekt tych wyrazów był tak piorunujący, jak głos Jehowy na wysokościach.

— To co wyrzekł mój szanowny przyjaciel jest prawdą, potwierdził Daniel. Zrobiwszy to postanowienie uważałem za obowiązek swój powiedziéć o niém aniołowi, któremu to nawrócenie zawdzięczam.

Nie masz nic wspanialszego i godniejszego radości dla gorliwego chrześcianina nad wejście niewiernego do królestwa Chrystusa; a jednak pomimo tego Serafina, która jak to widzieliśmy, była kandydatką do doskonałości chrześciańskiéj, usłyszawszy słowa Mortona, doświadczyła w pierwszéj chwili wrażenia nadzwyczaj nieprzyjemnego. Było ono wprawdzie bardzo przelotne, ale w rezultacie każdy mógł poznać z twarzy szlachetnéj seniory, że dla okazania radości z nawrócenia żyda potrzebowała *rezygnacyi*.

— Ukochana córko, rzekł D. Bonawentura, pieszcząc Glorią, nareszcie Bóg wysłuchał twoich modlitw i odzyskasz utracone szczę-

ście, spokój, godność, a to wszystko dzięki wypadkowi tak wspaniałemu, jaki tylko wyobrazić można. Obecnie jesteś oczyszczona wraz z rodziną swoją.

— Nie chcę, rzekł Morton, zwracając się do Glorii, żeby ktokolwiek chełpił się z twego postanowienia, prócz ciebie saméj.

— Wolałabym, odparła zagadnięta, żeby piękny czyn pana był spełniony ze względu na świętość nauki Chrystusa, nie przez wzgląd na mnie.

— Nie wątpimy, wtrąciła Serafina, że to wyznanie szczytne *Jestem chrześcianinem* będzie szlachetnie wymówione i nie sądzimy, żeby mogły usta wymawiać słodkie imię Chrystusa, gdy serce go zaprzecza; w każdym jednak razie nie zdziwi to pana, jeśli zażądamy pewnéj gwarancyi. Aby wejść do naszego kościoła, należy otrzymać naukę chrześciańską i chrzest.

— Wiem o tém co mi uczynić wypada, odparł Morton poważnie i na wszystko jestem przygotowany.

— Tak wielki, tak niespodziewany, tak wzdumiewający jest ten wypadek, rzekła Gloria ze wzruszeniem, że mu z trudnością wiarę dać mogę!... Ty uwielbiasz Chrystusa! .. Spojrzyj na krzyż ten i przysięgnij na ten wizerunek Zbawiciela, że to co mi mówisz jest prawdą; że to robisz z silném pragnieniem zostania chrześcianinem a nie z pobudek światowych, że wytrwasz w swém postanowieniu i że wierzysz silnie, iż nauka Chrystusa nie tylko jest najlepsza, lecz i jedyna prawdziwa.

Blady jak marmur we wskazanéj figurce Zbawiciela, Daniel wyciągnął rękę do krzyża i rzekł z oczyma w dół spuszczonemi:

— To co powiedziałem jest prawdą i przysięgam, że zamiar, który objawiłem jest prawdziwy.

Wyglądał raczéj na obwinionego, który pod naciskiem dowodów wyznaje swoję zbrodnię; niż na entuzyastycznego neofitę, który wygłasza imię nowego boga.

— Don Angel pisał wczoraj do mnie, rzekł Bonawentura, że gdyby nastąpiło nawrócenie, obrząd chrztu i zaślubin odbyć się może, ze względu na wyjątkowe okoliczności, w przeciągu trzech dni. Obecnie, dodał zwracając się do Glorii, sądzę, że powinniśmy zaufać jego słowu.

— Zaufamy, tak... odparła Gloria, patrząc na Daniela z miłością; lecz tak niewysłowiona jest radość moja z nawrócenia tego, że chciałabym usłyszeć w ustach twoich te wyrazy: „Wierzę w Boga w Trójcy jedynego, wierzę w Jezusa.“ Łzy radości cisną się do moich oczu. Jest to zrównoważenie wszystkiego com wycierpiała; niezaprzeczony, bo widzialny dowód, że Bóg mój nie opuścił mię

jeszcze. Ubóstwiaj krzyż ten, całuj wizerunek tego, który był przez przodków twoich znieważony, spoliczkowany i ukrzyżowany i jednémn słowem, jednym głosem tylko, krótkim, jeżeli zechcesz, lecz z serca płynącym dowiedź mi, że do twéj duszy szlachetnéj, któréj tylko światła brakowało, to światło już wstąpiło; dowiedź mi nie tego, żeś przyjął chrześcianizm, lecz że się czujesz chrześcianinem.

W pięknych oczach Glorii błyszczało natchnienie boskie. Jéj słowa, jako płynące z serca pełnego prawdy, tryskały szlachetnym entuzyazmem i pobożnością. Ten, którego nie możemy nazwać już Hebrajczykiem podniósł się z krzesła. Twarz jego była trupio-blada a ręce drżały mu jak w febrze.

— Wierzę w Boga, w jedynego Boga, zawołał głosem delinkwenta, w......

Nie mógł mówić więcéj. Ręka jego opadła jakby straciła życie, a schylając głowę wydał westchnienie podobne do owego nieśmiertelnego westchnienia Chrystusa, tak dobrze odtworzonego w chwili agonii przez marmur artystyczny, który stał na stole.

— Przebacz, zbawienie ty moje, jąkał Morton, przebaczcie mi wszyscy; lecz nie jestem jeszcze dostatecznie oświecony w dogmatach chrześciańskich i lękam się, żebym nie powiedział coś takiego, coby było reminiscencyą kultu, który opuszczam.

Gloria prosiła Daniela, żeby usiadł. Przerażała ją jego bladość, jego pomieszanie i trwoga; i tylko wyjątkowa doniosłość aktu oraz obecność kobiéty ukochanéj tłómaczyły do pewnego stopnia to niezwyczajne zachowanie się cudzoziemca.

Po kilku minutach Morton pożegnał towarzystwo, gdyż i sam potrzebował wypoczynku i Gloria w skutek doznanych w tym dniu wrażeń, wpadła w jakiś stan gorączkowy, który smutnie świadczył o jéj zdrowiu.

(*Dok. nast.*)

MŁODE SIŁY.

W. Okoński. Dramata (Antea. Na targu. Helvia. Poddanka. Błazen. Za maską). Warszawa. Wydawnictwo Spółki Nakładowéj. 1879 (str. 191). — *W. Okoński.* O życie (Damian Capenko, Chawa Rubin. Karl Krug). Warszawa. Wydawnictwo Spółki Nakładowéj. 1879 (str. 87.) — *Pisma Henryka Sienkiewicza.* Tom I (Stary sługa. Hania. Szkice Węglem. Janko muzykant). Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1880 (str. 344).

Powiadają, że smutnym udziałem krytyki beletrystycznéj jest, że dzielić musi niezbyt urocze losy meteorologii. Jak jedna przepowiada ulewę, a tu tymczasem najpiękniejsze świeci słońce, albo gdy jest szaruga, ona pogodą cieszyć się każe; tak druga uwieńcza liściem bobkowym takie utwory, co za lat kilka idą do tandentnego sklepiku, jak gdyby korona nigdy skroni ich nie zdobiła, a gani i potępia takie rzeczy, które nieśmiertelnéj następnie chwały dościgają. Rozdawanie koron lub stawianie pod pręgierzem choć nie jest w dziedzinie krytyki równie niebezpiecznèm jak w życiu rzeczywistèm, to przynajmniéj rownie jest śmiesznèm jak zarozumiałość meteorologa, który chce wydawać przepowiednie z dłuższym niż trzydniowym terminem.

Istotnie, gdyby krytyka trudniła się jedynie okrzykiwaniem geniuszów *en herbe* lub skazywaniem mierności czy niedołęztwa na wieczne zapomnienie, toby nie warto o niéj i mówić a tèmbardziéj czas każdemu drogi na nią poświęcać. Na szczęście, krytyka od pewnego czasu spostrzegła się już na komiczności roli, jaką dawniéj odgrywała, więc się zrzekła systemu ukazów i formuł, a podjęła natomiast zadanie skromniejsze napozór, chociaż trudniejsze w gruncie rzeczy. Zrozumiéć przedewszystkièm pisarza i jego dzieło, a potèm wyjaśnić ich dla siebie i dla innych, przyprowadzić do świadomości to, co każdy czytelnik mniéj lub więcéj bezświadomie odczuwa, odgadnąć przyczyny, dla czego tak, a nie inaczéj dany utwór się ukształtował: oto rzecz najważniejsza, o którą głównie krytykowi

chodzi. Tym sposobem nie pozbawia się on ani jednéj z rozkoszy, jakich doznaje zwykły czytelnik, zachwycający się arcydziełem, a nadto zyskuje jeszcze coś więcéj, gdyż doznaje przyjemności, jasnego poznania pobudek, które ów zachwyt wywołały. A jeżeli przypatrywać się musi niedowarzonym płodom młodocianéj lub zestarzałéj muzy, to przykrości tego widoku wynagradzają mu się choć w części uciechami patologa... Pochwała lub nagana jest już wtedy czémś podrzędném dla niego, może ich sobie pozwoli lub nie, jak każdy inny człowiek, który ma pewne przekonania nie na to, ażeby je tylko w kształcie śladów na mózgu własnym przechowywał, a pewne uczucia nie na to, ażeby z niemi się tail lub się ich wstydził.

Takie stanowisko krytyki jest zarówno uzasadnione jak i wygodne. Krytyka dawniejsza, jeżeli chciała być sumienna, musiała w ocenie nowych sił zjawiających się w literaturze lub sztuce zajmować pozycyą wyczekującą, ażeby postawiony przez nią horoskop niezbyt ją zawstydził w przyszłości, albo też ograniczać się na prostém zanotowaniu faktów, nie wchodząc w ich ocenę. Teraz kiedy ta bojaźń skompromitowania się nie istnieje, takie właśnie młode a dzielne siły tworzą dla krytyki jeden z najwdzięczniejszych przedmiotów rozwagi; ich rozwój i stopniowe natężenie może śledzić od samego początku, a nie potrzebując orzekać o ich zakresie i energii może z całą ufnością w przyszłość mówić tylko o tém, co już istnieje.

O młodych powinniby właściwie pisać starsi, jako mający tę wyższość nad młodymi, że posiadają a przynajmniéj posiadać mogą jeden z najcenniejszych a tak trudno zdobywających się przymiotów, jakim jest doświadczenie. Ale kiedy nasi starzy i poważni krytycy, chociaż „z wieku i urzędu" ten zaszczyt im należy, nie garną się ku niemu skwapliwie, zadawalniając się przygodnemi i nawiasowemi wzmiankami treści pochlebnéj lub pogardliwéj, niechże mnie niestaremu i niepoważnemu wolno będzie pomówić o tych, których wiek ze mną zrównał, a tak wysoko wyniósł talent.

I.

Od czasu, kiedy Balzac powziął zamiar skreślenia wszystkich scen *Komedyi ludowéj*, stosunek powieściopisarza czy poety epicznego w ogóle do jego bohatérów uległ radykalnéj a świadoméj zmianie. Dawniéj ulubiona przez poetę osobistość ukazywała się nam tylko w tęczowych barwach jego wyobraźni: dostawały się jéj wszystkie zalety i cnoty ludzkie i anielskie, postać jaśniała wspaniałością, pięknością lub przynajmniéj wdzięczną przyjemnością, słowa

były namaszczenia pełne, niepokalane, patetyczne lub rzewne i tęskne, a zawsze nieomylne — zdaniem poety. Przeciwnie natury i charaktery, z któremi poeta nie sympatyzował, choćby się odznaczały niezwykłemi przymiotami, choć nawet daleko silniéj wrażały się w pamięć czytelników, aniżeli postaci szlachetne ze swym patosem i natchnieniem, były bądź cobądź w niełasce u autora, który lubił je trzymać w mroku jeżeli nie artystycznym, to moralnym. Ztąd jeżeli poeta chciał być zajmującym, musiał w późniejszych utworach zmieniać swoje ideały; jeżeli zaś wierny im pozostawał, to dodatnie jego osobistości stawały się jednostajne, nudne a nawet nieznośne. Balzac nie chciał tworzyć kombinacyj czysto fantazyjnych, obserwował życie jak naturalista, przypatrywał się jego objawom jak człowiek chcący się czegoś nauczyć nie zaś jak kapryśnik, któremu idzie tylko o wyrażenie swojego gustu. Zajął on to stanowisko względem świata, które się przedmiotowém nazywa. Dla niego każdy przedmiot, każde zjawisko, każdy człowiek jednakowy przedstawiał interes; gdzie widział siłę i życie, tam dostrzegał zarazem pierwiastki piękna. Rozumiał on, że chcąc świat opisywać, potrzeba go znać; a znać go nie będziemy, jeżeli, ile możność dozwoli, nie oddzielimy naszych sympatyj i antypatyj od tego wszystkiego co się na nim dzieje. A więc mniejsza o to czy sam przedmiot *dla nas* jest wstrętny lub miły, czy jest mały czy wielki, czy wzniosły czy pospolity, ładny czy brzydki, niedorzeczny czy rozumny, silny czy słaby; bądź cobądź stanowi on cząstkę téj potężnéj całości, jaką się wszechświat ludziom przedstawia, i w tym charakterze zasługuje na poznanie i odtworzenie bezwzględu na to, czy w pewném położeniu i usposobieniu gardzić nim lub go uwielbiać będziemy. Jak w układzie wszechświata tak i w dziele sztuki każdy objaw życia, każde zjawisko bytu ma lub mieć może właściwe sobie miejsce; a każda jednostka ludzka może sobie ten objaw i to zjawisko oceniąć stosownie do zakresu swoich myśli, uczuć, pragnień, żądz i nałogów. Jak we wszechświecie nie ma etykiet, oznaczających z góry każdemu, nad czém boleć i z czego się cieszyć; tak téż i w dziele sztuki etykiety takie są zupełnie zbyteczne; dziś już nie potrzebujemy tych wstęg z wypisanemi zdaniami, któremi średniowieczni malarze uważali za potrzebne objaśniać widzów o znaczeniu namalowanych postaci.

I nie znaczy to bynajmniéj, żeby poeta potrzebował się wyrzec wszystkich uczuć ludzkich, a zamienił się cały w jakiś aparat, przyjmujący wrażenia i wiernie je odtwarzający. Bynajmniéj. Artysta nie przestaje być człowiekiem, nie pozbywa się tego, co jest cechą człowieczeństwa, ma swoje sympatye i antypatye; tylko ich nie narzuca widzowi czy też czytelnikowi gwałtem. Odtwarzając np. scenę

śmierci ukochanego ojca, nie przerywa swego opisu wykrzyknikami od siebie: „ach jak to okropne, jak mnie to boli i zasmuca;“ ale z cierpliwością i wytrwałością tak ją stara się doprowadzić do końca, ażeby bez jego osobistych uczuć widz lub czytelnik przejął się wrażeniem, którego stopień natężenia zależéć już będzie od stopnia wrażliwości każdéj jednostki. Jeżeli w przedstawieniu takiéj sceny niezdarni tylko lub nader niewprawni artyści podmiotowość swoję na jaw wykazują, czujemy bowiem wszyscy, że byłoby to rzeczą nie tylko zbyteczną, ale nawet niemile oddziaływającą; to należy sobie jedynie spostrzeżenie to uogólnić i rozciągnąć do wszystkich innych scen, ażeby zrozumiéć dążenie tych artystów, co się *przedmiotowo* na swoich bohatérów i na świat swój zapatrują.

Dążenie to, jakkolwiek wyrażone przez Balzaka już w czwartym dziesiątku naszego stulecia, nie znalazło zrazu wielu zwolenników, gdyż było wprost przeciwne dążeniu panującego jeszcze naówczas romantyzmu, który wolał świat stwarzać aniżeli go poznawać. Dopiéro powoli gdy z biegiem czasu sami koryfeusze romantyzmu zaczęli ulegać wpływom nowego, całkiem nowożytnego prądu, przedmiotowość w twórczości artystycznéj zaczęto uznawać za przymiot nader cenny; w ostatnich zaś czasach powstała pod tym względem przesada w tak zwanym kierunku *naturalistycznym*, który, jak dotychczas, wykrzywił ideę Balzaka, nie zaś konsekwentnie ją rozwinął, gdyż w niechęci do bohatérów wyrzekł się ich całkowicie, we wstręcie do napuszonych figur szlachetnych i objawów patetycznych, polubił błoto społeczne; w pogardzie konstrukcyj sztucznych rozminął się z pojęciem sztuki.

U nas największy poeta w dojrzałéj dobie swego rozwoju poetycznego dał nam w „Panu Tadeuszu“ najpiękniejszy i najświetniejszy przykład przedmiotowego traktowania osób i zdarzeń; wykazując w nim, że słońce prawdy wschodu nie zna ni zachodu. Powieściopisarze nasi już to pod wpływem Balzaka, już téż własnym kierowani pomysłem niejednokrotnie trafiali na ten tór nowy, chociaż świadomie nigdy zwolennikami jego nie byli. Kraszewski, szczególniéj w pierwszém dziesięcioleciu swojéj działalności literackiéj, wiele pozostawił szkiców a nawet wykończonych obrazków, w których malował ludzi, jakiemi są, bez naumyślnego ich bielenia lub czernienia. W ogólności jednak więcéj jest u nas takich utworów, nawskróś przejętych podmiotowością, w których plączą się bohatérowie mdli, poetyczni, uczciwi i niesmaczni zawsze podług jednego szablonu wykonani. W postaciach natomiast podrzędnych, w scenach z życia potocznego bije prawda źródłem czystém i obfitém. Ztąd to powieści ludowe i próby romansu mieszczańskiego należą do najlepszych

utworów naszéj literatury powieściowéj, jako całości wolne od fałszywego idealizowania a trzymające się gruntu rzeczywistego.

Nie wiem, czy i u nas przyjdzie chwila naturalizmu czy zolizmu, ale to pewna, że obecnie zaczyna się świetnie rozwijać kierunek przedmiotowego zapatrywania się na sprawy życia i objawy ducha, i takiegoż odtwarzania ich w dziełach sztuki. Nie jest on jeszcze stanowczo zdecydowany; nie wywołał szkoły, którąby w tworzeniu szła za pewnemi prawidłami, nie śmiejąc od nich ani na krok odstąpić; ale to tém lepiéj; nic bardziéj zabójczego dla talentów jak podobna szkoła; bez niéj zdolności rozwijać się mogą samoistnie i bujnie.

Nie będę tu spostrzeżenia powyższego udowadniał szeregiem zjawisk najnowszéj literatury naszéj, lecz zwrócę się wyłącznie do tych utworów, które stały się bezpośrednim powodem tych uwag.

Zarówno p. Świętochowski (Okoński), jak i p. Sienkiewicz (Litwos) pierwszy w dramatach i nowellach, drugi w powieściach przedstawiają bohaterów, którym wedle pojęć dawniejszych bardzo wiele brakuje do téj nazwy zaszczytnéj, a których jednak malują z takiém zamiłowaniem i z taką siłą, jak gdyby najwyższe ideały czytelnikom ukazywali. Biorą ich z życia i starają się im nadać taką wydatność, żeby uwaga czytelnika zatrzymać się na nich mogła dłużéj, niż na wszystkich podobnych osobnikach, których w życiu niejednokrotnie z obojętnością mijali. Nie chcą oni dla nich sympatyi sztucznéj, którąby pochwały lub rozumowania wywołać mogły choćby na chwilę tylko; nie, oni sami doskonale znają przywary i wady swoich bohatérów i o nich najwyraźniéj piszą.

W jednéj ze swoich nowel wystawia p. Świętochowski „Małorosa“ Podolaka. Ani odrobiny w nim téj poetyczności i téj szczególnéj przyjaźni z naturą, w jakie wyposażyły Ukraińców w ogóle, a Kozaków w szczególności nasze ukraińskie poemata i nasze ukraińskie powieści. Jest to sobie prosty chłop, który w służbie wojskowéj, czy téż pod innemi wpływami nauczył się trochę czytać i pisać, któremu wysłowienie się idzie z trudnością, który długo napocić się musi, zanim kilka zdań napisze. W zalecankach swoich ani pomyśli nawet o przynoszeniu kawałka chmury dla swéj lubéj; on woli dać jéj kawałek perkaliku, bo ma zdrowy rozsądek i żyje wśród świata rzeczywistego, nie chodził on do szkoły ukrainofilów i nie bawi się w fantastykę. Nie rozmawia z trawami, nie baje o sokołach, nie pyta się wiatru lub rzeki o swoję dolę i niedolę, ale kłóci się z podejrzanym o kontrabandę handlarzem i swoim rywalem, udaje się do szlachcica z prośbą o odstąpienie chaty i kawałka gruntu, bo wié, że kto się chce ożenić, musi mieć chałupę i trochę sprzę-

tów, że mu sokół lustra, o które wielce dba kochanka, nie przyniesie, a trawa o tyle tylko może mu być pożyteczna, iż w niéj zdarzy się znaléźć dobrą *poimkę*...

W drugiéj powiastce (*Chawa Rubin*) daje nam poznać biedną, niemłodą już, niepiękną, kilkorgiem dzieci i mężem niedołęgą obarczoną żydówkę, przekupkę na jak najmniejszą skalę. Obraca ona trzechrublowym kapitałem, przynoszącym jéj dziennie około 25 groszy, musi więc wszystkie siły wytężać, ażeby najprzód kapitału nie zmarnować a powtóre, żeby mieć dziennie 25 groszy, z których wyżywić musi siebie, dzieci i męża husyta. Łatwo pojąć, w jakim kierunku położenie takie wyrobić musiało uczucia i myśli przekupki. Namiętność zarobku, chęć i bojaźń rezyka, kłamstwo handlarskie, niepokój myśli, obrachowującéj każde poruszenie ręki, sięgającéj po grosze, zobojętnienie popędów tkliwych, a rozwinięcie praktycznych: oto cechy najgłówniejsze. Chawa Rubin zostawi w domu płaczące dzieci i poleci wiorst kilkanaście, by spieniężyć towar, o który się lęka, żeby się nie zepsuł. Ona się nie rozczula i nie roztkliwia na próżno, bo to zysku nie przyniesie; a przecież ma głębokie uczucie macierzyńskie, bo dla kogoż cały ten zachód podejmuje, jeżeli nie dla czworga żołądków. Tak jest żołądków, autor mówi to wyraźnie i porównywa Chawę do wilczycy, która się raduje, jeżeli zdobędzie wołowe udo dla dzieci. Żołądek jest to wyraz, który brzmi mniéj ponętnie niż serce, i może dla niektórych być niesmaczny; cóż robić, kiedy wiadomo, że gdyby żołądek nie miał karmi, toby i o ruchach czy porywach serca nie można było mówić.

Podobnież i u p. Sienkiewicza. W *Szkicach węglem* przedstawia jednę z najpiękniejszych postaci niewieścich w naszéj literaturze: Rzepową, wieśniaczkę. Niedostatków jéj nie zasłania bynajmniéj autor mgłą fantastyczną, któraby ją czyniła porywającą lub wzniosłą. Nie jest to ani dziewica w pierwszym rozkwicie, ani nawet piękność niezwykła. Jest to przystojna, ładna nawet jak na „apetycik“ pana pisarza gminnego mężatka, bosa, zapracowana, którą poznajemy przy międleniu konopi. Umysłowość bardzo ograniczona, czytać ani pisać nie umié, i to jéj nieraz bardzo boleśnie daje się we znaki, uroku poetycznego nie posiada, bo nawet nie śpiewa. W końcu robi nawet bezowocne poświęcenie ze swojéj sławy niewieściéj, a to jedynie dla tego, że zdolność jéj rozumowania jest nieskończenie słabsza od zdolności kochania.

Albo ta dusza artystyczna zaklęta w chłopskiém ciele (w powiastce *Janko muzykant*). Tu już było dostatnie pole do romantycznéj przesady! Jakiż to temat wdzięczny dla wszystkich ideologów marzących o muzyce sfer niebieskich! Autor nie dał się pociągnąć

zwyczajowi. On obserwował. I zauważył, że téj duszy, co w każdém drgnieniu natury odczuwała muzykę nie odpowiadało bynajmniéj ani otoczenie prozaiczne, ani własne jego wątłe ciało. Więc dzieciaczyna nie marzy tu o rzeczach niedoścignionych, których w około nie dostrzega, ale najżywszém jego pragnieniem jest rzecz na pozór drobna, lecz dla dziecka biednéj komornicy niedostępna—skrzypki po-prostu. Więc chłopak wiejski, którego marzycielskie usposobienie jako skłonność do próżniactwa starano się wystraszyć szturchańcami, chudł coraz bardziéj; brzuch tylko zawsze miał duży, czupryne coraz gęstszą i oczy coraz szerzéj roztwarte, choć najczęściéj łzami zalane, ale policzki i piersi wpadały mu coraz głębiéj i głębiéj. Nie umié mówić nawet we własnéj obronie, zastraszony, oskarżony o złodziejstwo, stoi oto przed wójtem i ławnikami z palcem w gębie, wytrzyszczonemi, zalękłemi oczyma, mały, chudy, zamorusany, obity, nie wiedzący gdzie jest i czego od niego chcą...

I czy sądzicie, że w skutek tak wiernego oddania natury te postaci tracą interes, stają się nie zajmujące, niemiłe lub nawet wstrętne? Nie, bo życie nie dało wyłącznego przywileju wzbudzania uczuć sympatycznych tylko istotom wyidealizowanym i patetycznym; ono zna jedynie prawo wspólne dla wszystkich, a tém jest zdolność odczuwania wrażeń.. Jeżeli tylko artysta potrafi ująć i przedstawić tę zdolność we wzajemném oddziaływaniu na siebie, jeżeli sięgnie głęboko w pokłady uczuć pierwotnych i zasadniczych, któremi ludzkość żyje i bez których istniéć nie może; jeżeli niemi obdarzy swoje postaci; to pomimo wszystkie niedobory ich fizycznéj lub umysłowéj strony wywrą one takie wrażenie, jakiego pozazdrościćby im mógł niejeden bohatér „bez skazy.“ Takiém uczuciem jest miłość macierzyńska w Chawie Rubin, miłość dzieci w Karolu Krugu, miłość rodzinna w Damianie Capeńko, miłość żony w Rzepowéj, miłość piękna w Janku muzykancie. Tragiczny los, jaki spotyka te osobistości, przejmuje nas do głębi, bo porusza te struny, których dotknięcie zawsze głośném echem w sercach ludzkich się odbije.

I jeżeli znajdują się jakieś tony fałszywe, psujące w części wrażenie całości, to nie pochodzą one ze zbyt ścisłego trzymania się przedmiotowego sposobu opowiadania, ale właśnie z chwilowego o nim zapomnienia.

I tak gdy p. Sienkiewicz opisuje zawody doznane przez Rzepową w ciernistéj pielgrzymce po wszystkich drogach ratunku, i oddziaływanie tych zawodów na jéj serce zbolałe, to zamiast poprzestać na przedstawieniu beznadziejnéj rozpaczy, krzyku dziecka w chorobie; burz, piorunów i ulewy, używa on w dodatku następnego zwrotu: „Ach, gdyby to panna Jadwiga znalazła się w podobném położe-

niu dopierożbym napisał sensacyjny romans, którym podjąłbym się przekonać najzaciętszych pozytywistów, że są jeszcze idealne istoty na ziemi. Ale w pannie Jadwidze każde wrażenie doszłoby do świadomości siebie; rozpaczne rzuty duszy wyraziłyby się w niemniéj rozpacznych a zatém bardzo dramatycznych myślach i słowach. Owo koło błędne, głębokie, a przebolesne poczucie bezradności niemocy i przemocy, ta rola liścia wśród burzy, głuche poznanie, że znikąd ratunku: ani z ziemi, ani z nieba, natchnęłoby zapewne pannę Jadwigę jakimś nie mniéj natchnionym monologiem, który potrzebowałbym tylko spisać, aby sobie zrobić reputacyą. A Rzepowa? Ten prosty naród gdy cierpi, to tylko cierpi i nic więcéj!" (317, 318). Pod względem stylistycznym nic temu ustępowi zarzucić nie można; służy on do uwydatnienia nieméj choć głębokiéj boleści w przeciwstawieniu z gadatliwą choć powierzchowną i sztuczną; ale ponieważ jest tylko zwrotem retorycznym, przez samego autora zrobionym, a nie wypływającym bynajmniéj z sytuacyi, rozrywa więc niepotrzebnie wrażenie, nie potęgując go ani trochę.

U pana Świętochowskiego dwie powiastki kończą się mniéj więcéj takim frazesem: „Biedaku, ja ci to, żeś chciał u nas pracować i naszym być bratem, przebaczam." Dopóki się czyta o biednym Damianie, którego w chwili blizkiego urzeczywistnienia najdroższych pragnień sprząta kula kontrabandzisty, lub o zabiegliwéj Chawie Rubin, któréj nadzieje wyżywienia rodziny odejmuje zemsta próżniaka i pijaka, albo wreszcie o poczciwym Karolu Kruku Szlązaku, któremu nienawiść mularza warszawskiego z pod nóg deskę usuwa: dopóty odczuwamy głęboką boleść kochanka i syna, matki i ojca, dopóty postaci te jako indywidua artystyczne wywierają potężne wrażenie. Ale jak przychodzi do odczytania owego uogólniającego frazesu, który już wprost wypłynął z usposobienia autora, wrażenie to zaczyna się mącić. Wtedy przypominamy sobie te niemiłe figury z Aleksandrowa lub Sosnowic, od których coprędzéj radzibyśmy się oddalić; wtedy zaczynamy kontrolować powieściopisarza wyrzekającego na naszych ekonomistów, co to przeciwko żydom wrzeszczą, i dochodzimy do téj uwagi, że przecież ci ekonomiści, chociażby zresztą najmniéj warci, nigdy nie występowali przeciwko biedakom zarabiającym na życie pracą swoją i trudem, ale walczyli przeciw próżniactwu wyzyskującemu lekkomyślność, wtedy gotowiśmy przytoczyć fakta świadczące nie już o tém, że w fabrykach wyższe posady zajmują Niemcy, ale o tém, że tutejsi robotnicy nie dostają w nich roboty.

Ów frazes brzmiący jak wymówka wydaje się nam niesprawiedliwy; my przecież nie mamy tak złego serca, ażebyśmy mieli zazdro-

ścić kawałka chléba dla tych, co pracują na naszéj ziemi, choćby nawet nie wypowiadali świadomości chęci zostania braćmi naszymi. Pan Świętochowski przeciwnie świadomość tę akcentuje jako zawartą w pracach i losach bohatérów swoich; raz nawet każe Karolowi Krugowi wypowiedziéć tę myśl w obec spółzawodników rzemiosła, chociaż to wcale nie wypływa ani z jego życia, ani téż ze stopnia jego inteligencyi. Kiedy się sobie przypomni rys nadzwyczaj trafny, tegoż Kruga dotyczący, który w ostatniéj chwili prosi towarzysza Wilhelma, ażeby sprowadził jego żonę i dzieci do Warszawy, bo *tu można zarobić*; to trudno sobie wyjaśnić, owo powoływanie się na braterstwo inaczéj, jak po prostu przestawieniem myśli autora w głowę Kruga, gdzie ona prawdopodobnie nigdy nie postała. Daleko więc słuszniejszą, bo wypływającą z treści powiastki, jest końcowa uwaga zastosowana do *Chawy Rubin*: „Biedna Chawo, ja ci to, żeś na mojéj ziemi pracować i *jéj chlébem dzieci swoje żywić chciała* przebaczam.“

II.

Gdyby przedmiotowość *absolutna* była możliwa, mielibyśmy w sztuce tylko obrazy rozmaitych przedmiotów, osób i zjawisk, ale sposób ich przedstawienia byłby jednakowy. Tymczasem wiemy z doświadczenia, że najbardziéj nawet przedmiotowi pisarze, wziąwszy temat podobny, odtwarzają go inaczéj. W odtworzeniu tém będą bez wątpienia cechy wspólne bardzo wyraźne, ale będą także różnice nie mniéj wyraźne. Przyczyną tego jest fakt, że samo poznanie nasze jest wynikiem spółdziałania dwu czynników to jest przedmiotu poznawanego, krajobrazu, człowieka, zjawiska przyrody, którym się przypatrujemy, a powtóre zmysłów i umysłu, które wrażenia od owego krajobrazu, człowieka, zjawiska przyrody przyjmują. Jakkolwiek w zmysłach i umyśle wszystkich ludzi są podobieństwa wielkie, podobieństwa te jednak nigdy się nie zmieniają na tożsamość. Ten sam przedmiot, widziany jednocześnie przez dziesięciu ludzi nie pozostawia tychże samych śladów w ich zmysłach, nie wywołuje tychże samych wrażeń w ich duszach. Stąd jeżeli mówimy o przedmiotowości poznania i odtwarzania wrażeń, mamy zawsze na myśli przedmiotowość *względną*, która najrozmaitszym usposobieniom jednostkowym pozostawia nadzwyczaj obszerne pole działania. Stąd też w utworach sztuki mamy nietylko rozmaite przedmioty, ale i rozmaite tych przedmiotów obrazy.

Zaznaczywszy cechy wspólne twórczości dwu wziętych pod uwagę pisarzy, należy się przypatrzéć cechom odrębnym.

P. Sienkiewicz jest to obserwator nadzwyczaj bystry i umysł intuicyjny. Patrzy na świat trzeźwo bez żadnych uprzedzeń, bez żadnych z góry powziętych formuł, bez teoryj naukowych lub niby naukowych; odczuwa głęboko wszystkie radości i boleści swego społeczeństwa, bierze serdeczny udział w jego kłopotach, zawodach i nieszczęściach. Stąd ma szerokie pojęcie o człowieku i naturze ludzkiéj w ogóle; interesują go zarówno subtelne odcienia uczuć jak rubaszne lub trywialne objawy prostaczych instynktów, zarówno umysłowe walki spółczesnéj cywilizacyi jak bójki pięściowe, zarówno natury wybuchowe jak płytkie i powierzchowne, zarówno temperamenta sangwiniczne i wesołe, jak skupione w sobie i refleksyjne. Umié więc doskonale te rozmaitość natury ludzkiéj, te niewyczerpane jéj odcienia na światło wywieść; zna wybornie odrębny sposób zachowania się, odmienne szeregi myśli i uczuć, różne właściwości mowy i stylu, jakiemi się usposobienia wewnętrzne ludziom poznać dają. Ale nie dosyć na tém. Nietylko zakres pojęcia jego o człowieku jest obszerny, że nie powiem wszechstronny, umié on nadto rysować też same postaci ludzkie nietylko w jednéj sytuacyi, która w danym razie jest potrzebna dla osiągnięcia całości w utworze, ale w sytuacyach rożnych, wykazujących nam, jak taż postać weseli się lub smuci, oddaje się nadziei lub rozpaczy. Wié bowiem autor, że chcąc stworzyć postać żyjącą, należy ją pokazać ze wszystkich stron nie zaś z jednéj, bo inaczéj człowiek przedstawia się w towarzystwie osób obcych, inaczéj w rodzinie, inaczéj w samotności lub w obec serdecznego druha lub kochanki. Nie ułomek, ale całość człowieka nakreślić: oto zadanie powieściopisarza i dramaturga.

To się nazywa mieć talent plastyczny. Posiada go p. Sienkiewicz w bardzo wysokim stopniu a wykazał go najwspanialéj w *Hani* i w *Szkicach węglem*, jakkolwiek w najdrobniejszych nawet utworach wyraźnie widziéć się daje.

Trudno sobie pomyśléć treść bardziéj powszednią i częściéj zużytkowywaną przez naszych powieściopisarzów nad tę, którą się posługiwał p. Sienkiewicz do napisania swéj *Hani*. Dwu gołowąsów kochających się w jednéj pannie a z sobą serdecznie zaprzyjaźnionych, panna przenosząca wesołego i żywego nad melancholicznego trochę i refleksyjnego; wykradzenie dokonane przez wesołego; pojedynek, choroba dwu powieściowych figur, zeszpecenie panny przez ospę, ostudzenie przez to zapałów w kochankach, zmuszenie jednego z nich przez ojca do wytrwania w konkurach i poświęcenie się panny na siostrę miłosierdzia celem wybawienia z kłopotu siebie i innych: cóż nad te wypadki i uczucia pospolitszego i zwyczajniejszego? A jednak gdy się czyta powieść, nawet na myśl nie przyjdzie wyra-

żenie, że to temat zużyty, że to rzeczy znane i oklepane... Nie, oklepanemi one nie są, chociaż są znane, bo całą świeżość nowości nadaje ta naturalność, z jaką się wypadki przed nami rozwijają, ta żywość postaci, które ani na chwilę nie przestają być sobą. Doznaje się takiego wrażenia, jak gdyby się słuchało opowiadania o zdarzeniach rzeczywistych, o osobach, które są nam doskonale znane, o których istnieniu ani na mgnienie oka powątpiewać nie możemy.

Sam opowiadacz nigdzie nie pozuje na bohatéra; jest on młodzieńcem żywo czującym, troszeczkę melancholikiem a raczéj umysłem bardziéj w sobie zamkniętym, niż wynurzającym się ze swoich wrażeń a szczególniéj ze swoich uczuć; drażliwy, a zarazem silny charakterem, ma on w sobie pewną zaciętość, która woli się zaprzéć swojego usposobienia chwilowego niż doznawać litości choćby od osób najukochańszych i ma tę energią, która nie umié wprawdzie przewidywać i uprzedzać niemiłych wypadków, ale która potrafi wytrwałością cudów dokazywać i zdobyć się może na wybuch gwałtowny, choć chwilowy. Z uczuciami swemi postępuje jak skąpiec ze skarbami, nie ukazuje ich nikomu nawet téj, któréj sympatyą zyskaćby pragnął: raczéj gniewem i wymówkami daje poznać stan swego serca, niż wyznaniami namiętnemi i ognistemi. Tylko w samotności, gdy wyobraźnią przywoływał postać ukochanéj rozwiązywały mu się usta i szeptał sobie z całym zapałem i z całą przesadą młodzieńczego uczucia, „kocham jéj postać, kocham jéj oczy, każdy promień włosów, dźwięk mowy; kocham każdą jéj sukienkę, powietrze, którém oddycha; żyję tylko tą miłością, płynie ona we mnie jak krew, bije odemnie jak ciepło; dla innych może istnieje coś obok miłości, dla mnie cały świat istnieje w niéj, nie po za nią.“ Tak jest miłość ta łączyła się najściśléj z piękną i świeżą postacią, ze zgrabną sukienką, z ładném uczesaniem włosów; gdy ospa zeszpeciła tę twarz i miłość odleciała na skrzydłach sokoła; pozostawiając tylko wspomnienie tęskne i bolesne, bo umysł 17-letniego młodzieńca zbyt głęboko przechowywał wrażenie, ażeby miał szybko o swojéj miłości zapomniéć...

Gdyby autor poprzestał na wskazaniu nam téj tylko strony jego charakteru, poznalibyśmy drobną jedynie cząstkę jego życia. A jednak to życie nie może pójść na ofiarę jednego uczucia, jednego położenia. To téż p. Sienkiewicz daje nam go poznać i ze stron innych. Jak przepysznie wygląda Henryk ze swoją opiekuńczą powagą, gdy po śmierci starego sługi, każe dać nakrycie dla Hani i panienką ją nazywa; jak świetnie przedstawiona jest chwila, w któréj znużona dziewczyna z całém zaufaniem siostry opiéra się na jego ramieniu i usypia. A tenże ustęp z życia uniwersyteckiego, kiedy dumny bie-

dak z zarodami suchot w piersiach, zaciągając się papiérosami jak nikt w Warszawie wykłada aspirantom do stanu akademickiego nowe teorye niezbyt dawno zdobyte a nieprzetrawione jeszcze i kiedy podpity już dobrze Henryk odzyskuje przytomność na wspomnienie Hani, któréj imię sprofanował towarzysz w winiarni! Albo ten drugi ustęp jeszcze piękniejszy, bo większą prawdą nacechowany, kiedy zmartwiony niepowodzeniem kochanek wyprawia się do lasu na wilka, idąc za żyłką myśliwską, która w nim pomimo strapień miłosnych drga bardzo wyraźnie. Ten epizod z prawdziwie epickim spokojem przedstawiony jest jednym z najwymowniejszych świadectw tego niepospolitego talentu, który maluje ludzi, jakiemi są w drobnych nawet szczegółach, nie lękając się, żeby przez to zepsuli wrażenie, które zamierzyli sobie osiągnąć i żeby uszczerbek całości zrobili. Mniéj utalentowany, albo mniéj przedmiotowy powieściopisarz nie zechciałby wstawiać pomiędzy dwie sceny wysokiego nastroju, walki téj sceny powszedniéj, w któréj kochanek tém tylko zajęty, ażeby dobrze w wilczycę wycelować; nie chciałby i zrobiłby źle, gdyż nie przedstawiłby nam życia w jego pełni.

Selim Mirza to temperament sangwiniczny, natura wesoła, żartka i bujna, skłonna do uniesień, żądna wrażeń, wypowiadająca wręcz co czuje i myśli, energiczna i czynna. Miłość jego ma zawsze charakter uśmiechnięty; marzyć i rozpływać się we łzach nie lubi i nie może, na troski ma wyborne lekarstwo w rozrywce byle jakiéj, która odciągnie myśli smutne a powróci wesołe. Miłość ta nie będzie długotrwała: pokochawszy Józię Selim zapomni o niéj dla Hani, wykradnie ją, dostanie naganę a może i bizuny od ojca, rozstanie się z ukochaną i będzie zdrów, humoru nigdy nie straci, serce ma otwarte na przybycie nowego uczucia. Co wejdzie w ten umysł, to zaraz wychodzi nie pozostawiając zbyt głębokich śladów. Ale też taki chłopak to ulubieniec każdego towarzystwa, lubi go melancholiczny Henryk, lubią go starzy, lubią kobiéty takie jak pani d'Ynes, kochają go Józie i Hanie. I nic dziwnego razem z jego pojawieniem się, zjawia się wesołość, chęć głośnéj i ożywionéj rozmowy, wywnętrzania się, paplania, świegotania i płatania figlów. W każdym jego ruchu, w każdém słowie czuć tę żywotność nieprzebraną, która lubi ożywienie i umié ożywiać wszystko i wszystkich.

W powieści p. n. *Selim Mirza*, mamy dalszy rozwój jego charakteru. Jako młodzieniec bogaty, pędzi życie hulaszcze w Paryżu, kocha się powielokrotnie, zabiera najrozmaitsze znajomości, puszcza się wreszcie na awanturniczą wyprawę w szeregi wolnych strzelców podczas wojny francusko-niemieckiéj i ukazuje się nam w postaci przebiegłego Tatara, który chce wywrzéć straszną zemstę na

spółzawodniku swoim. Dochodzi tylko do jego upokorzenia, ale życiem przypłaca to nasycenie miłości własnéj. Jakkolwiek w téj późniejszéj historyi życia Selima Mirzy wiele jest rysów trafnych i jakkolwiek doskonale utrzymany został jego charakter żywy, skłonny do wybuchów, znoszący z łatwością wszelkie niewygody i nigdy niezakłopany; a dość szczęśliwie rozwinięta została rodowa jego przebiegłość; to przecież czuć, że autor brał tu wiele żywiołów z fantazyi, z czytania, a nie z obserwacyi życiowéj i nie potrafił należycie uwydatnić rozwoju charakteru w głównym bohatérze. Może sam uczuł te niedostatki, które sprawiają, że postaci w tym jego utworze występujące są szkicowe, a nawet trochę na cienie zakrawają: i dla tego nie wcielił go do zbiorowego wydania pism swoich.

Ale wracając do *Hani* słówko o bohatérce. Córka starego wiernego sługi za życia ojca niewiele się uczyła i niewiele miała śmiałości do państwa, ale po jego śmierci przyjęta do rodziny państwa w nader szybkim czasie, bo w przeciągu sześciu miesięcy wyrosła na pannę pewną siebie, zgrabną w ruchach, śmiałą, rozmawiającą swobodnie o uczuciach i o innych rzeczach. To przedzierzgnięcie się poczwarki w motyla może jest za nagłe; prawda, że kobiéty prędko się rozwijają i dojrzewają, prawda, że posiadają niezmierną łatwość w przyswajaniu sobie wszystkich cech „dystynkcyi“, ale jak wszystko na świecie, tak i to nie przychodzi raptownie, bez stopniowań i odcieni. A w dworku szlacheckim, w którym ten okres dojrzewania upływał, nie miała wiele sposobności do nabrania salonowego poloru i salonowéj pewności siebie. Przynajmniéj autor o nich nie wzmiankuje; przez usta jedynie księdza mówi coś o romansach czytywanych ukradkiem jako o środku przeobrażenia. Ale i ta nawet strona nie razi w utworach, który ma formę spowiedzi szczegółowéj jednego z kochanków; nie mógł on bowiem jako bawiący naówczas w Warszawie obserwować faz przeobrażenia, a zatém nie mógł ich nam opowiedziéć; przyjechawszy zaś do domu i ujrzawszy zmianę, więcéj był zajęty samą tą zmianą, aniżeli jéj pobudkami i przyczynami. Zresztą Hania nie posiada cech wybitnych i to właśnie stanowi jéj charakterystykę: jest szczera i serdeczna, ale wówczas gdy zainteresowane jest jéj uczucie, staje się przebiegłą, niedomyślną, trochę nawet surową; jest bierna, ale w chwili, gdy idzie o zabezpieczenie popędu swego serca, decyduje się na krok stanowczy; jest egoistką jako zakochana, ale nie wymaga poświęceń, sama zostaje siostrą miłosierdzia, aby nie zmuszać do niemiłych ślubów nikogo, ani tego, co ją kochał, ani tego, którego i ona kochała.

Gdybym chciał wszystkie piękności téj powieści wyliczyć i wskazać dar plastyczny w odtworzeniu zarówno przepysznéj figury

księdza i guwernantki, ojca Henryka w scenie pojedynku i ojca Mirzy, przyjmującego syna i sąsiada—farsy i jego córeczki; to musiałbym sprawozdanie swoje nad zamiar rozszerzyć, a jeszczebym i tak nie wykazał, co jest prawdziwém i pięknêm w tém wykończonêm dziele sztuki. Nie jest to utwór porywający; ale jest to rzecz przynosząca to ukojenie, jakie nam daje istnie artystyczne utworzenie prawdy życiowéj z historyi stosunków serdecznych, tak powszednich, a tak zawsze nowych i ciekawych.

Szkice węglem wywołało nowe położenie, w którém się znalazła wieś nasza po uwłaszczeniu chłopów i zaprowadzeniu samorządu gminnego. Wieśniak ciemny nie znający ani praw ani urządzeń nowych; dawny dziedzic zajęty swojemi kłopotami, strwożony, usuwający się od spółudziału w naradach i skąpiący światełka swego rozumu dla dobra ogółu, ksiądz, który dbając tylko o zbawienie wieczne swojéj owczarni nie chce się wtrącać w ich zbawienie doczesne; pisarz gminny zepsuty i wyzyskujący przewagę swojéj inteligencyi na rzecz namiętności osobistych: oto objawy, które niejednokrotnie dawały się dostrzegać i smutkiem przejmowały tych, co pragnęliby widziéć wszystkie serca i wszystkie dłonie przy pracy około dobra ogólnego. Objawy te uderzyły także serce i wyobraźnię autora *Hani*; napisał więc utwór, który przedewszystkiém miał zadanie publicystyczne do spełnienia tj. wstrząśnięcie umysłów i wykazanie grzesznego indyferentyzmu i apatyi; ale który w skutek siły talentu został równocześnie znakomitém dziełem sztuki. Niektóre braki artystyczne, jako to wycieczki przeciw osobistościom, zbyt dosadny a raczéj jaskrawy koloryt niektórych ustępów, grube rysy zamiast subtelnego cieniowania, były właściwie zaletami z punktu widzenia publicysty i w tym punkcie znajdują swoje wyjaśnienie. Ale stworzenie tak żywych postaci jak pisarz gminny Zołzikiewicz, butny i despotyczny w sposób brutalny względem włościan, usiłujący utrzymać swoję godność, a nie czujący swego upokorzenia względem byłych dziedziców, zarozumiały, lubieżny, nikczemny i głupi; albo jak wójt, jak Rzepa a szczególniéj Rzepowa, wystarczy, ażeby *Szkicom węglem* zapewnić miejsce zaszczytne w dziejach naszéj powieści. Nawet postaci podrzędne są wykonane szkicowo wprawdzie, ale nie mniéj plastycznie. Wyborny dziedzic szanujący swoję zasadę nieinterwencyi i każący czekać biednéj zgłodniałéj kobiécie kilka godzin, ażeby jéj zasadę tę wypowiedziéć. Wyborny jest ksiądz Czyżyk, który na kazaniu do poczciwych wieśniaków wyjaśniał dzieje średniowiecznéj herezyi Katarów i ostrzegał przed naukami fałszywych mędrców i w ogóle ludzi zaślepionych pychą szatańską, a na prośbę wieśniaczki, żeby jéj poradził, co ma zrobić dla oswobodzenia swego męża od

służby wojskowéj, odpowiada: „nieszczęście, jakie przytrafiło się waszemu mężowi, uważajcie jako karę bożą za ciężki jego grzech pijaństwa i dziękujcie Bogu, że karząc go za życia, może odpuści mu po śmierci.“ Nie mniéj piękna jest sylwetka panny Józi z sercem dobrém i miękiém, bolejącém nad nieszczęściem biednéj Rzepowéj, ale nie mniéj dbałéj o rękawiczkę, którą poczciwa Rzepowa z wielkiéj serdeczności całując ośliniła...

Jeżelibyśmy jednak mieli powiedziéć, w czém talent p. Sienkiewicza wzniósł się dotychczas najwyżéj i doszedł prawdziwego niemal mistrzostwa; to wymieniłbym malowanie uczuć miękkich, tkliwych i rzewnych. Jeżeli chcecie się o tém przekonać, przeczytajcie króciutkie jego utwory: *Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela* a szczególniéj *Janko muzykant*. Przedmiotem uczuć średniowiecznych a tkliwych w obu tych utworach są dzieci. Jedno dla zadosyćuczynienia życzeniom matki, która nie wymierzyła dostatecznie sił jego, męczy się nad gramatyką łacińską, pracuje nad zdobyciem wprawy w mowie obcéj wykładowéj i zrobieniem postępów w akcencie téj mowy. Z natury nerwowe i wrażliwe, gdy słyszy w szkole cudzoziemskiéj obelgi miotane na takie rzeczy, które w domu za świętość poczytywano, gdy nie dostało dobrego stopnia z przedmiotów poczytywanych za główne; gdy nawet sprawowanie jego oczerniono: nie mogło wytrzymać nacisku tylu bolesnych wrażeń i zachorowało. Ale i w chorobie nie mogło zapomniéć o tém, co było życzeniem matki; wstawało, jak miało zwyczaj dawniéj, gdy było zdrowém, i uczyło się zapalczywie konjugacyj łacińskich. W tém passowaniu się dziecięcego ducha z napływającemi zewnątrz wrażeniami, w tém bojowaniu wspomnień domowych z uczuciami szkolnemi znajduje się tak głęboka tragika, że jéj nie osłabia ani wiek dziecinny, ani błahość motywów przedmiotowo tylko rozważanych.

Bardziéj jeszcze potęguje się to wrażenie przy czytaniu historyi Janka. Skłonność do muzyki, niczém nie dająca się wystraszyć, popycha go do pokoju lokaja, w którym wisiały skrzypce, jedyny cel pożądań bosego, obdartego, chudego muzykanta. Schwytany jako złodziéj, obity bez miłosierdzia, trzeciego dnia konał już na tapczanie pod zgrzebnym kilimkiem: „Jaskółki świegotały w czereśni, co rosła pod przyzbą; promień słońca wchodził przez szybę i oblewał jasnością złotą, rozczochraną główkę dziecka i twarz, w któréj nie zostało kropli krwi. Ów promień był niby gościńcem, po którym mała dusza chłopczyka miała odejść... Wychudłe piersi poruszały się jeszcze oddechem a twarz dziecka była jakby zasłuchana w te odgłosy wiejskie, które wchodziły przez otwarte okno. Był to wieczór,

więc dziewczęta wracające od siana śpiewały: *oj na zielonéj, na runi*, a od strugi dochodziło granie fujarek. Janek wsłuchiwał się ostatni raz, jak wieś gra... Na kilimku przy nim leżały jego skrzypki z gonta. Nagle twarz umierającego dziecka rozjaśniła się a z bielejących warg wyszedł szept:—Matulu?...—Co synku? ozwała się matka, którą dusiły łzy. Matulu! Pan Bóg mi da w niebie prawdziwe skrzypki! Da ci, synku, da—odrzekła matka, ale nie mogła dłużéj mówić, bo nagle z jéj twardéj piersi buchnęła wzbierająca żałość; więc jęknąwszy tylko: *O Jezu, Jezu* padła twarzą na skrzynię i zaczęła ryczéć, jakby straciła rozum, albo jak człowiek, co widzi, że od śmierci nie wydrze swego kochania"....

W opisowość nie bawi się autor. I słusznie. Nudziła ona już niejednokrotnie nie tylko u naszych i niemieckich powieściopisarzów, ale nawet u Balzaka. Poezya i powieść nie może sobie przywłaszczać pola, należącego właściwie do malarstwa. Dla niéj potrzeba ruchu i akcyi. Nie należy jednak stąd wnosić, żeby w ogóle pominąć można zupełnie stronę opisową. Jest ona potrzebną o tyle, że stanowi niezbędną podstawę, na któréj postaci stworzone przez poetę ruszają się i działają. Jest też ona i u p. Sienkiewicza w sposób nadzwyczaj umiejętny zużytkowaną. Stanowi część wrażeń, jakich doznają ludzie, gdy w swojéj, czy obcéj siedzibie przebywają. Podobnež miejsce zajmuje oczywiście i natura. Autor *Hani* dalekim jest zarówno od czułostkowego zakochania się w przyrodzie, jak i od suchego zapatrywania się na nią okiem inżyniera lub gospodarza w chwili, gdy właściwy im zawód wyłącznie ich zajmuje. Patrzy on na przyrodę trzeźwo i wié, że ona w rozmaitych usposobieniach różnie na nas oddziaływa; czasami wcale na nią uwagi nie zwracamy, czasami lubujemy się jéj pogodą, czasem rzewność nas opanowuje, czasem jéj groza przeraża. Jako przykład pięknego opisu wsi i natury wiejskiéj można przytoczyć ustęp, w *Hani*, kiedy Henryk z Selimem wracają z Warszawy do wsi rodzinnéj Selima (str. 79, 80); jako piękny, choć szkicowy tylko obrazek wrażeń doznawanych wieczorem w lesie, wśród niepokoju oczekiwania i pewnéj bojaźni wzmiankuję ustęp w powieści p. n. *Selim Mirza*.

Styl p. Sienkiewicza odpowiada wszystkim dotychczasowym jego potrzebom; zarówno w przedstawianiu prostaczych i rubasznych dźwięków, jak i malowaniu subtelnych odcieni ukształconego wysłowienia; zarówno w mowie starców jak młodzieży, temperamentów żywszych jak powolnych, widać prawdę wynikłą z pilnéj obserwacyi i umiejętnego wsłuchiwania się w różnice języka różnych usposobień. Styl ten nie obfituje w nowe całkiem oryginalne wyra-

żenia, ale jest obrazowy, ale jest posłusznêm i giętkiém narzędziem do wypowiedzenia tego, co autor wypowiedziéć pragnie. Sytuacye i uczucia tragiczne, wybuchy gwałtowne nie były dotąd przedmiotem artystycznego obrobienia u autora; nie wiemy więc, o ile styl jego odpowié wymaganiom siły; to wszakże pewna, iż styl ten w malowaniu potocznych spraw życia, a szczególniéj scen miękkich i tkliwych jest wyborny; możnaby jedynie zwrócić baczniejszą uwagę na jego poprawność.

III.

W pojęciu człowieka przez p. Świętochowskiego odróżnić można dwie fazy: jednę, w któréj tworzył dramata, drugą, w któréj pisał powieści.

W dramatach bogactwo i różnorodność natury ludzkiéj przedstawiają się sprowadzone do minimum. Temperamenty i charaktery w wyrażeniu swoich uczuć i myśli, w postępowaniu zacierają się do niepoznania a czasami znikają nawet zupełnie. Panującym wszędzie typem jest człowiek rozumujący, dowcipny aż do rozkrwawiania ran serca własnego, wykształcony wykwintnie, zręczny dyalektyk mówiący abstrakcyami zamienionemi w obrazy. Czy to będzie niewolnik grecki z VI wieku przed Chrystusem, czy patrycyusz rzymski z czasów Cezara, czy szlachcic polski z połowy XVIII stulecia, czy dzierżawca z początku obecnego, czy adwokat spółczesny: wszyscy przemawiają językiem, właściwym jedynie i wyłącznie samemu autorowi, wszyscy mają na zawołanie nadzwyczajną zręczność dyalektyczną i obfitość porównań i obrazów, wszyscy są sprytni i przebiegli w myślach, mniéj zdolni do czynu, drażliwi, nerwowi, uciśnieni, pesymiści i cynicy potrochu. Co się powiedziało o mężczyznach, to prawie bez wyjątku zastosować się daje do kobiét; są to umysły wykwintnie wykształcone, władnące skarbami mowy tak jak mało kto władnie, wyposażone fantazyą bujną i lotną, rozumiejące każdą subtelność myśli i szermujące słowami jak wytrawni i wytworni sofiści. Z pozoru możnaby te osoby wziąć nawet za istoty pozbawione serca, które pochłonęła zdolność rozumowania. W gruncie rzeczy tak nie jest; mają one wiele uczucia i to głębokiego, wulkanicznego, ale tak się przyzwyczaiły do ukrywania go w głębi duszy, tak się uzbroiły w kolce dla świata otaczającego, że uczucie to wydobywa się na jaw rzadko i nie wypowiada się prostą mową serca, ale amplifikacyą poetyczną. Oto np. jak szlachcic pol-

ski na początku wieku bieżącego wyraża swe uczucie dla poddanki, wychowanéj w domu pańskim, błagając, by zapomniała o chwilowém jego zachowaniu się, gdy się dowiedział o jéj rodzie: „Aniele mój, nie gardź człowiekiem, który chwilowo omdlał w swém uczuciu, uderzony w jego nigdy nietkniętą strunę. Z mlekiem matki wyssałem moję szlachecką dumę, dotąd oddychałem *jéj powietrzem*, ani raz *serce moje nie zadrgało po za kołem jéj promieni*—i ty chciałaś, ażebym ja w jednéj chwili zrzucił z siebie naturę dwudziestu pięciu lat mego życia i oblókł inną? Dla czego nie przyzwyczaiłaś mnie do tajemnicy swego pochodzenia? Czy sądziłaś, żem orzeł urodzony w pawiém gnieździe? *że na drzewie mego rodu jestem zupełnie różnym od innych owocem*? Nie nazywaj tego ślepym, *kto przed niespodziewaną błyskawicą zmrużył zlęknione oko.* Jeszcze dotąd myśl w chmurach mi tonie, dotąd nie widzę jasnego jéj światła; *ale nigdy niegasnącą gwiazdą w téj burzy jest dla mnie miłość*, która przed niebezpieczeństwem w obronie twojéj nie zadrży. Pod klątwą wiecznéj na moję cześć hańby, daj mi prawo upomnieć się za twoję krzywdę.“ Aktor nowoczesny, otrzaskany ze wszystkiemi tyradami miłosnemi, nie mógłby się wyrazić stylistycznie piękniéj i teatralniéj.

A znowuż kiedy Michał Pielesz, szlachcic polski z połowy XVIII wieku, procesowany przez wojewodę, pragnącego wydrzéć mu żonę do któréj niegdyś się zalecał, na jego propozycyą ironiczną wydania mu błazna, odstępuje mu żonę; to oczywiście w duszy jego musiała się odbyć straszna walka; autor nie przedstawia jéj uważając to może za rzecz spowszedniałą, lecz wyraża tylko rezultat w słowach wypowiedzianych do adwokata: „Racz pan oświadczyć wojewodzie, że mu nie dam błazna, ale odstępuję żonę.“

Rozumié się, że dobrze poszukawszy znalazłyby się różnice i pomiędzy temi postaciami; ale na cóż się przyda takie szperanie, które odpowiedniém jest tam, gdzie chodzi o abstrakcye, a nie tam, gdzie o żywe osoby.

A jakie postaci, takie i warunki wśród których żyją. Są one dosyć jednostajne. W większéj części dramatów rzecz idzie o swobodę, o niezależność osobistą, któréj grożą jakieś nieprzyjazne potęgi, czy to w formie wszechwładnego pana, czy przemożnego magnata. Osoby zawikłane w tę walkę nie wychodzą właściwie z téj jednéj sytuacyi i są podobni zazwyczaj do ptaka silnego wprawdzie, ale zamkniętego w mocniejszéj od niego klatce. Nie widzimy tych ludzi w różnorodnych stosunkach, poznajemy ich tylko z jednéj strony. Idea wolności osobistéj jest bez wątpienia bardzo pięknem hasłem zarówno dla dzieła myśli jak i dla dzieła sztuki; ale jeżeli

przynosi się jéj w ofierze prawdopodobieństwo życiowe, nie może się stać artystycznie skuteczną. Chcąc np. o ile możności najsilniéj przedstawić tragiczność położenia niewolnika greckiego, robi go p. Świętochowski wykształconym filozofem: ale na tém nie poprzestaje, filozofowi temu każe jeszcze wykonywać z rozkazu pana bezmyślne roboty, omywać liście gąbkami, odpędzać motyle itp. Nie ma wątpliwości, że byli uczeni niewolnicy w Grecyi; lecz ich panowie umieli korzystniéj odzyskiwać koszta łożone na ich wykształcenie. Kupiec czy przemysłowiec ateński kazał uczonemu niewolnikowi przepisywać dzieła sławnych autorów, uczyć dzieci, prowadzić rachunki, bo do obcierania liści gąbkami mógł użyć najzwyklejszego idyotę. Nie mówię tu o srogości tyrańskiéj pana względem niewolników, gdyż zapewne autor nie myślał przedstawić w dramacie swoim ogólnego stanu niewolnictwa w Grecyi, tylko malował pojedyńczy wypadek, a przeciwko temu protestować trudno. Z tego samego względu nie myślę robić wyrzutu autorowi, aż do znudzenia powtarzanego, jakoby w „Poddance“ i w „Błaźnie“ chciał obrzucać błotem przeszłość naszę, wystawiając w pierwszéj nieludzkie obchodzenie się pana z chłopką, a w drugim—przedajność sędziów i przemoc magnacką. Zarzut ten jest zapewne wynikiem dwu czynników: wielkiéj drażliwości narodowéj, która nie umié odróżnić miłości od bałwochwalstwa i wielkiéj skłonności do szybkich a nierozważnych uogólnień a może i krótkowidztwa, które każdy fakt pojedyńczy poczytuje za prawidło i w utworze sztuki, malującym indywidua, dopatruje się obrazu ogółu.

Zgodziwszy się jednak raz na takie pojęcie człowieka abstrakcyjne a przynajmniéj jednostronne, znajdziemy w dramatach wiele pierwszorzędnych zalet. A przedewszystkiém oczaruje nas styl wszystkiemi blaskami drogich kamieni najstaranniéj oszlifowanych. Autor unika jak zarazy wszelkich wyrażeń pospolitych, utartych i spowszedniałych, a tak dba o wykwintność jak żaden z naszych spółczesnych pisarzy. Nigdzie tu nie znajdziesz najmniejszego zaniedbania, najlżejszéj nawet gadatliwości. Przenośnie jego i porównania oryginalne i świeże, a zwykle nadzwyczaj trafne, nie mają nic wspólnego ze zwykłemi tego rodzaju figurami retorycznemi; polegają one przeważnie na przywracaniu, albo nadawaniu wyrazom abstrakcyjnym znaczenia konkretnego, na wlewaniu w te oderwane pojęcia życia i ruchu. Dowcip mianowicie dowcip zjadliwy jest zawsze na zawołanie autora. *Il a le génie de l'opprobre* możnaby o nim powiedzieć, jak się wyraził Taine o Swifcie; z temperamentu i usposobienia satyryk i pamflecista, przenosi swą niepohamowaną werwę i swój subtelny zmysł dostrzegania różnic do dramatu i wywołuje na usta

uśmiech spokojny, czasami bolesny. Szczerego, serdecznego śmiechu nigdy on nie wywoła, ale przejmuje niekiedy strachem. Ostrze jego błyszczy jak stal, migoce jak brylant. A dyalog! Zawsze świetny, dościga niejednokrotnie granic dramatyczności i ożywienia. Potrzeba wytężyć wszystkie zdolności ujmowania wrażeń, ażeby zrozuzumiéć i według zasługi ocenić całą kunsztowność téj wymiany słów, która jest wymianą pocisków.

Nazwa dramatów nie wszystkim zawartym w książce utworom w równéj mierze przystoi. Z pojęciem dramatu łączy się pojęcie dwu sił działających w kierunku przeciwnym; im siły te będą równomierniejsze, tém dramatyczność będzie większa. Tymczasem, jak wspomniałem, postaci wyprowadzone na scenę przez autora znajdują się pod zaklęciem siły wyższéj, z którą walczyć im niepodobna, mogą się jedynie poddać losowi, albo umrzéć. *Antea* np. składa się właściwie z dwu scen tylko: jednéj, w któréj dwaj niewolnicy filozofowie zaprawiają się do znoszenia przykrości życia wzajemném z siebie szyderstwem, i drugiéj, w któréj przeprowadzona niewolnica, ukochana niegdyś przez Dulosa, okazuje więcéj chęci używania dostatków w objęciach jego pana, niż dzielenia wszystkich przygód: Dulos całuje Anteę w obec pana i idzie na pal. *Na targu* rodzina niegdyś wolna ma być sprzedana, bezsilna rozpacz matki, która się lęka tylko jednego, żeby jéj nie rozłączono z dziecięciem i spółzawodnictwo kilku kupców chcących nabyć tę rodzinę, już to całą, już to osobno, stanowi węzeł dramatyczny; rozwiązuje go kupiec najbogatszy, zabierający męża, co już zaciskał pętlicę na swéj szyi, żonę i dziecię razem,—w *Poddance* los dziewicy wychowanéj po pańsku a następnie przez młodego dziedzica, którego żądzy uledz nie chciała, zamienionéj w sługę, rozstrzyga konstytucya księstwa warszawskiego, nadająca wolność osobistą włościanom. Wszystkie te trzy dramata nazwałbym chętniéj obrazkami lub dyalogami dramatycznemi, gdyż w nich właściwéj walki dramatycznéj nie ma, albo jeżeli jest, to ją rozstrzyga okoliczność zewnętrzna, nie zaś czynniki wewnętrzne.

Prawdziwemi dramatami są: *Helvia*, *Błazen*, *Za maską*. *Błazen* i *Za maską* przedstawiają nam walkę ubogich i uciśnionych z bogatemi i potężnymi. W *Błaźnie* wszechwładny na sejmikach i w trybunale wojewoda rujnuje procesami szlachetkę, dobija go zarzutem nieprawego pochodzenia, a to celem wydarcia mu żony pięknéj, przywykłéj do życia wystawnego, zepsutéj. Szlachetka walczył do ostatniéj chwili, dopóki się nie przekonał, że żona jego na te wszystkie zachody nie zasługuje. *Za maską* zostaje człowiek, który dla kawałka chleba zapiera się własnych przekonań, pracuje w interesie stron-

nictwa klerykalnego, ale potajemnie wychowuje córkę swoję w zasadach liberalnych. Przychodzi chwila, w któréj mecenas zażądał czegoś więcéj niż pisania artykułów obrzucających obóz postępowy wszelkiego rodzaju paszkwilami, zapragnął wydać jego córkę za swego klienta, ażeby zrobić z niéj swoję kochankę. Walka serca ojcowskiego ze względami pieniężnemi stanowi właśnie treść dramatu, który się rozstrzyga bardzo smutnie. Córka stanowczo się opiera projektowi podanemu przez mecenasa-hrabiego, kocha bowiem młodzieńca prawego i postępowca; ojciec dla względów materyalnych wyklina ją w obec swego mecenasa, a potém na osobności tak przemawia do dwojga kochanków: „Dzieci moje—kłamałem, ja was błogosławię, a chociaż z rozkazu opuszczę i przeklnę, kochać i wspierać będę za maską.“ Zachodzi tylko pytanie, jak taki człowiek znikczemniały mógł się odważyć na wychowanie córki w zasadach, o których wiedział, że kiedykolwiek zagrożą jego stanowisku.

Najpiękniejszym z wymienionych dramatów jest *Helvia.* Patrycyuszka rzymska, wykształcona i przejęta uczuciami bohatérskiemi, oślepiona czynami Cezara pokochała go; napróżno wystawiali jéj tyranią i egoizm tego męża; pochłonięta gwałtowną namiętnością na żadne nie zważała przełożenia; miłość ta egzaltowana przedstawiona jest tak silnie, że czytelnik spółczuć musi Helvii. Ale kiedy się dowiedziała, że za kilka wierszy satyrycznych brata jéj Cezar skazał na wygnanie, gdy jéj narzeczonego niegdyś z trzydziestu innych republikanów tenże sam los spotkał, wówczas po krótkiéj, ale gwałtownéj walce, miłości dla osoby olśniewającéj z nienawiścią dla tyrana, dumna patrycyuszka upokarza się przed swoją rodziną i przed narzeczonym, wyplenia z duszy swéj chwast uczucia i grozi sztyletem prześladowcy wolnych. Zwycięztwo miłości kraju nad namiętnością egoistyczną błogiém ukojeniem oddziaływa na czytelnika. Gwałtowna w miłości, groźna w nienawiści postać Helvii na długo zostaje w umyśle.

Daleko szersze pojęcie natury ludzkiéj znajdujemy w powieściach. Trzy dotychczasowe nowelle połączone są wspólną ideą walki o byt. Nie ma tu już ludzi dowcipnych, nerwowych i drażliwych; ale ludzie z różnemi temperamentami, z różnym stopniem wykształcenia i z odmiennemi nałogami, jak wszystkie trzy tytułowe postaci, jak Tabor, Symcha, Franek, Klotz, Czapla. Widoczny jest w autorze wpływ obserwacyi, branie osnowy z życia zamiast z fantazyi. Wprawdzie i tu jeszcze przemaga jedna sytuacya tylko; widzimy, jak ci ludzie dążą do zapewnienia sobie sposobu do życia, jak myśl ich pracuje nad tém wyłącznie, ażeby zdobyć kawałek

chléba, ażeby zapewnić byt rodzinie lub módz ją utworzyć; a bardzo mało wiemy o tém, jak ci ludzie się bawią, co myślą po za obrębem głównéj swojéj dążności. Lecz łatwo to sobie wyjaśnić szczupłemi rozmiarami nowell, których główném zadaniem jest odmalowanie charakteru w pewnéj kollizyi dramatycznéj. Tymczasem takie drobne szczegóły jak sen Karola Kruga lub rozmowa o kanonią, albo pisanie listu przez Damiana Capenkę pod dyktandem panny Hortensyi, albo sylwetka Symchy, skubiącego liście buraka i rzucającego je kurom, które daremnie oszukać próbował: dowodzą, że świetny stylista jest niepospolitém obserwatorem i przy pewném staraniu może nader różnorodne odcienia natury ludzkiéj odtwarzać. Nawet język zastosował do stopnia ukształcenia tych osób, które przedstawiał. Nie mówią już one, jak osoby dramatów, stylem wykwintnym i ucinkowym; autor pohamował w sobie popęd do szyderskiego dowcipu i każdą z postaci swoich właściwym jéj sposobem wyrażania się obdarzył.

Trudno, co prawda, zanotować pod tym względem świetne jakieś wyniki: styl ten bowiem i język jest naśladowaniem łamanéj polszczyzny w ustach cudzoziemców, sztukuje się więc przekręconemi formami gramatycznemi, niewłaściwą konstrukcyą, tudzież wyrazami obcemi, nie jest to środek najlepszy; nie na kaleczeniu języka, ale na odpowiednim każdemu usposobieniu układzie zdań, użyciu stosownych przenośni i zwrotów, na przyśpieszonem lub zwolnionem tętnie mowy polega charakteryzowanie stylu; i pod tym względem uważam rozmowę Chawy Rubin z Frankiem (str. 44) za najudatniejszą.

Opisowość mniéj jeszcze miejsca zajmuje w powiastkach p. Świętochowskiego, aniżeli w pismach p. Sienkiewicza; obrazów natury nie ma wcale, życie ludzkie i jego trudy: oto jedyny temat dotychczasowych malowideł, zawartych w książeczce, w któréj idzie „o życie.“ Gdybyśmy chcieli oznaczyć względną wartość każdéj z trzech składowych jéj części, to Chawę Rubin należałoby postawić najwyżéj. Los Karola Kruga nie może na nas wywiérać długotrwałego wrażenia, prędzéj lub późniéj musiałby umrzéć biedaczysko ograniczony, ślepy w przywiązaniu do żony, która go oszukiwała i do dzieci, których ogółem przyznawał za swoje, choć nie miał do tego w zupełności racyi. Damian Capenko traci śmieszną narzeczoną, która niebawem znajdzie pocieszyciela, właściwie traci on tylko swoje szczęście osobiste. Chawa Rubin jest matką, pozostawia czworo małoletnich dzieci, jest jedyną podporą domu, ma męża husyta, który się systematycznie tylko próżniactwu oddaje i nie potrafi nawet na jeden dzień zaspokoić potrzeb swojéj

rodziny, razem z Chawą ginie pięć istot, z których cztery przynajmniéj na ten cios bolesny niczém nie zasłużyły. Chawa nie pracowała dla siebie tylko, skrzętna i zabiegliwa miała serce i ręce dla innych, choć serce to nie przemawiało patetycznie a ręce były grube i szorstkie.... Śmierć jéj w chwili, gdy uzbierane ciężką pracą dziesięć rubli przeznaczała w myśli na ubranie swych dzieci, pozostawia głębokie wrażenie, wartość moralna osoby podnosi jéj wartość artystyczną. Egoizm może niekiedy zdumiewać, miłość zdobywa serca.

Piotr Chmielowski.

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

I. *Karol Reklam* Dr. Med. i Fil. Nauka zachowania zdrowia i zdolności do pracy. Przekład Wacława Mayzla Dra Med. z 23 drzeworytami w tekście. Nakładem redakcyi Dwutygod. „Zdrowia." Warszawa, 188o. Str, 5o4, VII. Cena rs. 2 kop. 5o.

„Je réclame l'indispensable et je montre l'idéal: le progrès a de la marge entre ces deux termes"
Fonssagrives. 1873.

Śledząc za ruchem naukowym i społecznym we wszystkich krajach świata cywilizowanego, spostrzegamy od lat kilkunastu powszechne zajęcie się sprawami hygienicznemi. Ochrona zdrowia publicznego jest dziś hasłem i celem mnóstwa stowarzyszeń, setek publikacyj a wreszcie wszędzie przedmiotem postanowień i uchwał władz i instytucyj stojących na czele państwa i gminy.

Najdoskonalsze pod względem ekonomicznym i politycznym społeczeństwa przodują temu ruchowi. Stara Anglia i Niderlandy największe robią usiłowania, największe ponoszą ofiary by ostateczne wyniki nowoczesnéj nauki o zachowaniu zdrowia spożytkować dla dobra ogólnego.

Społeczeństwa te wprawdzie niemałą pomoc w szerzeniu praw hygienicznych znajdują w prawach obowiązujących; ale i prawa te przez przedstawicieli narodu nie byłyby nigdy uchwalonemi, gdyby poprzednio wśród ukształconych warstw społeczeństwa nie urobiło się i nie utrwaliło jasne pojęcie o wartości zdrowia i dzielności fizycznéj jednostek dla pomyślności rodziny, gminy, państwa.

Jeden z najznakomitszych fizyologów, hygienistów i lekarzy tegoczesnych, Włoch Mantegazza, powiada że „gdyby wszyscy w ścisłém znaczeniu tego wyrazu byli ludźmi zdrowymi, to wszyscy by téż musieli być pożytecznymi i szczęśliwymi."

Jeżeli dziś jeszcze ogół ludzi ukształconych u nas nie jest przekonany o prawdzie słów włoskiego hygienisty, jeżeli większość trwa w błędném wyobrażeniu o czysto teoretycznéj jakoby znaczeniu za-

sad hygieny, jeżeli się słyszy ludzi zresztą prawdziwie wykształconych, którzy szyderczo zapewniają, że wieki się przeżyło bez hygieny, że zatém i nadal się bez niéj obéjść można, że przepisy hygieny są li wyrazem doktryny a nie wynikiem wszechstronnéj obserwacyi i doświadczenia,—to sceptycyzm ten i ta surowa krytyka w obec rzeczywistego stanu nauki i sztuki hygieny, świadczy jedynie o grubéj niewiadomości owych uczonych niedowiarków, którzy wśród licznych zajęć umysłowych niestety zbyt często zaniedbują zupełnie śledzić za rozwojem i postępem nauk biologicznych.

Przyznać trzeba, że hygiena przez wiele lat była rodzajem frazeologii na temat prawd, albo raczéj hypotez fizyologicznych. W miarę jednak postępu fizyologii, w miarę ścisłego poznania wielu najważniejszych praw naszego życia fizycznego hygiena pozyskała podstawy realne, i dziś pod nazwą hygieny rozumiemy nie już naukową teoryą „przedłużania życia", ale raczéj sztukę zachowania zdrowia i zdolności do pracy, sztukę opartą na dokładném poznaniu warunków zdrowia, przyczyn choroby i warunków większéj lub mniejszéj sprawności naszych organów przy pracy fizycznéj i umysłowéj.

Francuz piszący swój wykwintny traktat o hygienie „pour les gens du monde" (Al. Donné. 1870) dobrze zrozumiał czego człowiek, czego ludzkość od hygieny wymaga. Nie o przedłużenie życia tu przedewszystkiém chodzi, chociaż huffelandowska makrobiotyka w obec wyników nowoczesnéj statystyki lekarskiéj bynajmniéj na nazwę utopii nie zasługuje.

Prawdą jednak wyrażającą interes tak jednostki jak i całego narodu jest to, co wyrzekł Donné: „je fais plus de cas de la santé que de la vie."

Otóż dziś bogatsza z dniem każdym w dane statystyka i bezustanna obserwacya lekarska przekonywa, iż temu wymaganiu, wymaganiu zachowania zdrowia, siły i dzielności fizycznéj, hygiena dzisiejsza czyni zadość, ile razy nie braknie zrozumienia naukowéj podstawy jéj rad i przepisów i ile razy w parze z tém zrozumieniem idzie energia, obfitość środków i konsekwencya. Niestety warunki te, do osiągnięcia dobrego rezultatu konieczne, częściéj spotykamy tam gdzie chodzi o podtrzymanie zwichniętych już sił i zdrowia, jedném słowem częściéj spotykamy tam gdzie chodzi o człowieka chorego, aniżeli tam gdzie o zachowanie nienaruszonego jeszcze zdrowia chodzi. Prawda, że usiłowania jednostki nie zawsze są wystarczającemi, przeciwnie bez woli i energii ogółu i zwierzchności w żadném społeczeństwie, nie ma rękojmi dla zdrowia jednostki i dla zdrowia publicznego. A przyznać téż trzeba, że postęp w usiłowaniach téj tak zwanéj „hygieny publicznéj", z wyjątkiem kilku państw, jest niesły-

chanie powolny. Słusznie powiedział dr. Märklin na zjeździe towarzystwa ochrony zdrowia publicznego w Norymberdze (1877). „Wszystko to, co jest potrzebne do zabezpieczenia własności, doskonale jest obmyślaném; najrozmaitsze towarzystwa ubezpieczeń i dobrowolne stowarzyszenia, utworzone w najchwalebniejszym celu, stoją ze wszech stron na straży własności prywatnéj, ale właściciel tymczasem nieraz bywa dzień po dniu wystawionym, bez jakiéjbądź ochrony, na najzgubniejsze szkodliwości wszelkiego rodzaju.“

Bardzo jest słusznėm, iż w dziele Reklama tak samo jak we wszystkich nowych dziełach poświęconych hygienie nie ma już dawnego podziału na hygienę prywatną i publiczną. Bez zrozumienia zasad naukowéj hygieny ze strony pojedynczych obywateli, nie może być mowy o podniesieniu stopy zdrowia ogółu, nie może być mowy o skutecznėm funkcyonowaniu praw i instytucyj sanitarnych; a z drugiéj strony bez uwzględnienia wymagań nauki o zdrowiu ze strony prawodawcy i władzy, usiłowania jednostek bardzo mało wpłynąć mogą na poprawę złego. Tak więc wymagania hygieny prywatnéj i publicznéj dopełniają się wzajemnie, i ukształconemu obywatelowi kraju jedne jak i drugie równie dobrze powinny być znane.

U nas, jak już wspomniałem, większość wykształconego ogółu zachowuje się w sprawach hygieny biernie, albo nawet niechętnie. Niewielka liczba biegłych i mniejsza jeszcze liczba jednostek prawdziwie wszechstronnie wykształconych pragnęłaby obudzić wśród ogółu to żywe zajęcie dla nauki i praktyki hygieny, jakie dostrzegamy w innych społeczeństwach, tak często przez nas za wzór branych. W obec jednak dziwnie w tym razie sceptycznego usposobienia naszéj inteligencyi propaganda hygieniczna bardzo tępo iść musi. W takim stanie rzeczy wydanie obszernéj książki o hygienie, książki przeznaczonéj nie dla specyalistów a dla ogółu czytelników jest robotą pełną zasługi, ale niestety mało obiecującą.

Dzieło Reklama spolszczone przez D-ra Wacława Mayzla niepowinno jednak, jako żywo, nikogo odstraszać. Jest to prawdziwie książka dla wszystkich. Umysł realny, przyzwyczajony do rozumowania ścisłego, znajdzie tam bogactwo cyfr i danych faktycznych, które mu pozwolą dojść do krytycznego ocenienia ostatecznych wniosków i wymagań autora. Umysł niezaprawny do tak pracowitego czytania znajdzie mnóstwo żywo opisanych spostrzeżeń z dziejów człowieka zdrowego i chorego, mnóstwo uwag wkraczających w sferę ekonomii społecznéj, policyi, religii, tak że bez zmęczenia rozdział po rozdziale przeczyta, książkę sobie z pewnością upodoba a w potrzebie i w wątpliwości z zaufaniem do niéj zajrzy i wtedy

z owych nudnych cyfr, które przy pierwszém czytaniu opuszczał, skorzysta.

Książka Reklama szczególniéj, mojém zdaniem, zaleconą być może nauczycielom i nauczycielkom i to nietylko tym, którym wykład hygieny bywa poruczonym, ale w ogóle wszystkim, którzy czuwać mają obowiązek nad rozwojem normalnym organizmu dziecka, młodzieńca, dziewczyny.

W literaturze naszéj posiadamy już kilka dzieł, przeważnie tłómaczonych, a poświęconych hygienie. Dzieło jednak Reklama jest pierwszém odpowiedniém dla ukształconego ogółu. Czytać je może zarówno matka i córka, skorzysta z niego przy dobréj woli nietylko każdy młody człowiek, ale i poważny obywatel kraju czy miasta, któremu teraz przychodzi niekiedy brać udział w naradach dotyczących zdrowia publicznego, nieraz niestety bez dostatecznego naukowego przygotowania.

Z góry przewidziéć można, że ze strony pewnych zaschłych umysłów spotka książkę Reklama zarzut bardzo lubiany w sferach, które o swéj wszechwiedzy nigdy nie wątpią, drugim wątpić nie pozwalają a „nowości“ nie lubią, bo te zmuszają do uzupełnień naukowych, których potrzeba nie zgadza się z ustalonym faktem ich nieomylności. A zatém usłyszymy niezawodnie z niejednéj strony, że „nauka zachowania zdrowia i zdolności do pracy“ Reklama jest ideologią. Przyznać trzeba, że wszyscy pracownicy na niwie hygieny są entuzyastami swéj nauki. Wynika to po części z trudności, które przy apostołowaniu prawd téj nauki zwalczać muszą, ale głównie wynika ztąd, że oddanie się badaniom na polu fizyologii i hygieny a zarazem sprawdzanie wartości przepisów hygieny i doniosłości wykroczeń przeciw tym przepisom, entuzyazmuje hygienistę-lekarza, obcującego codziennie z warstwami ludności najbardziéj cierpiącemi w skutek nieznajomości lub lekceważenia hygieny tak samo, jak każda prawda zbawcza entuzyazmuje człowieka dobréj woli, który w nią wierzy a do niewiernych tłumów przemawia.

Autor uzbrojony w broń faktów i spostrzeżeń jakich mu fizyologia nowoczesna, statystyka i jego własne doświadczenie dostarczają, ma prawo uważać i nazywać hygienę środkiem podniesienia nietylko dzielności i sprawności fizycznéj narodu, ale i godności i moralności danego społeczeństwa.

Jeden z najpoważniejszych hygienistów tegoczesnych Dr. Finkelnburg, autor dzieła o sanitarném prawodawstwie angielskiém, powiada: „Cyfry statystyki śmiertelności i cyfry statystyki kryminalnéj w Anglii zbierane przedstawiają równoległe krzywizny, stanowiąc wymowny dowód, iż brud i atmosfera piwniczna pognębiająco od-

działywają tak dobrze na duszę naszę jak i na resztę naszego ustroju.“

Inny autor niemiecki objaśniając drogę, którą hygiena na moralną stronę jednostek i narodu całego działać musi, w te słowa przemawia: „....poczucie godności wzrasta i moralność się podnosi kiedy człowiek czuje jak wiele własne jego, swobodne działanie przyczynić się może do poprawy jego bytu; kiedy się przekonywa, że zdrowie nie jest jedynie wynikiem inteligencyi, ale raczéj nagrodą wiedzy, nagrodą usiłowań, wysileń, woli,...... kiedy pojmie, iż do przemożenia wszystkich wpływów, które oddziaływać są wstanie na jego zdrowie i życie, potrzeba wielkiego a trwałego panowania nad chęciami, zachceniami, gustami, nad urojonemi i rzeczywistemi potrzebami a wreszcie nad namiętnościami.“ (Albu 1874).

Tak szeroko pojmuje hygienę i Reklam, tak szczytny cel i zadanie i on jéj stawia. Czy dla tego zasługuje na nazwę niepraktycznego ideologa? Nie z pewnością. Reklam w swéj „nauce zachowania zdrowia i zdolności do pracy“ podobnie jak wspomniany na wstępie tych uwag *Fonssagrives* stawia *wymagania konieczne* a wskazuje *cele idealne*: dla postępu droga właściwa znajdzie się po środku.

Jako praktycznego wskaziciela owych koniecznych wymagań i jako drogowskaz owych idealnych celów zalecić można śmiało dzieło Reclama.

St. Markiewicz.

Biblioteka historyczna. Ryszard Reppel. Dzieje Polski do XIV wieku. Księgarnia Polska A. D. Bartosiewicza i M. Biernackiego. Lwów 1879.

Wymieniona wyżéj księgarnia lwowska wzięła na siebie zaszczytne i użyteczne zadanie przepolszczania ze znakomitszych utworów historyografii zagranicznéj. W ten sposób posiadamy już przekład *Dziejów Powszechnych* Schlossera, Hagena *Dziejów najnowszych czasów*, Laboulaye'a *Państwa i jego granice.* Przyklasnąć można tylko myśli, która nakładców spowodowała do objęcia swém wydawnictwem *Dziejów Polski* Röppla. Znakomity historyk zasługiwał oddawna, by dzieło jego ukazało się w języku narodu, którego dzieje początkowe pisał; publiczność polska miała oddawna prawo i powód domagania się przekładu dzieła po tylu latach i mimo olbrzymiego postępu nauki nieprześcignionego dotąd. Jeżeli które, to z pewnością przecież takie właśnie i tego rodzaju dzieło wymagało w swym przekładzie najsumienniejszéj troskliwości i poprawności. Z żalem tymczasem po przeczytaniu wydanego we Lwowie w dwóch tomach,

dokonanego przez doktora K. Przyborowskiego przekładu *Dziejów Polski* Röppla, wyznać nam przychodzi, iż na co się tylko najwyższa niepoprawność zdobyć może, spełniono grzesznie właśnie na témże wydawnictwie. Okoliczność, że na okładce książki znane i rozgłośne nazwisko niemieckiego historyka Ryszarda *Röppla* przeinaczono najniepotrzebniéj na *Reppla*, nie chroni przekładu od zarzutu, iż jest dokonany niedbale, z najzupełniejszą nieznajomością rzeczy i języka. Jeżeli w przeznaczonych dla użytku i nauki publiczności polskiéj przekładach dzieł literatury zagranicznéj, zwłaszcza dzieł historycznych, traktujących sameż dzieje Polski, zależy na czém, to naturalnie na poprawności nasamprzód języka, to daléj na trafném, opartém na znajomości rzeczy przepolszczaniu nazw instytucyj, dygnitarstw, miejscowości, pojęć prawnych, politycznych i administracyjnych. W razie przeciwnym nie wyświadcza się publiczności przekładem przysługi, lecz dostarcza jéj płód poroniony, który złą tylko przysługę czytelnikom wyświadczyć może. Jakże się w obec téj prawdy zasadniczéj ma rzecz z przekładem *Dziejów Polski*? Zobaczmy.

Nasamprzód co do czystości języka.

Errungener Sieg jest u niego „*zwycięstwem* (nad kimś) *zdobytém*;" *Kaiser und Reich*, Cesarz i Rzesza, jest u niego Cesarzem i *państwem*; *Vorderslawen*, są u niego „*przodowymi Słowianami*;" generalny dyrektor Ziemstwa Kredytowego w Poznaniu, p. Józef Grabowski (General-Landschaftsdirector) jest u niego „*general-dyrektorem kraju*;" co najlepsza łaciński *capitaneus*, starosta, *kapitanem!* Otóż to specymina poprawności językowéj tłómacza, z których co charakterystyczniejsze tylko przytaczając, nie mówimy już nic o potoczystości i ogładzie przekładu. Gdzie jednakże tłómacz najwyraźniéj nieznajomości rzeczy i stosunków polskich dowodzi, to na polu *geografii krajowéj*. Tutaj dochodzi niedbalstwo do prawdziwego zgorszenia a wszyscy panowie Wegnerzy, bydgoscy nie naniemczyli pono tyle nazw miejscowości polskich w *Amtsblattach* pruskich, ile tłómacz Röppla w swym przekładzie. I tak są u niego:

Nowe, *Neuenburgiem* (nad Wisłą); Gniew, *Mewem;* Jansborg, *Johannisburgiem*; Nowe Miasto, *Neumarktem*; Miedzyrzecz, *Mezerycem;* Kamień, *Kaminem;* Krosno, *Krossenem;* Czarnków, *Czernikowem*; Wieleń, raz *Filinem*, gdzie indziéj *Filehnem;* Kładzko, *Glatzem;* Bledzewo, *Blesenem;* Brda, *Brahe* (rzeczka); Oświęcim, *Auschwitzem*; Stołupie, *Stolpem*; Tczew, *Dyrszawą*; Chojnice, *Konicem;* Człuchów, *Schlochauem;* Cieniawa, *Steinau*; Zbąszyń, *Bentszenem;* Kościan, *Kostenem;* Wschowa, *Fraustadtem;* Trzciel, *Tirschtieglem;* Brodnica, *Strassburgiem;* Drzeń, *Drisenem;* Przemęt, *Primentem;* Cielecko, (Zie-

lenzig) *Zieleńczykiem;* Głda (rzeka), *Kuddową;* Barycz (rzeczka) *Barczem;* Brzeg, *Briegiem*; Oleśnica, *Ölsem;* Kwidzyna, *Marienwerder;* Czaplinek, *Tempelburgiem;* Ląd, *Lendą*; Krobia, *Krobinem;* Głupczyce, *Leobszycami;* Pyzdry, *Peisernem;* biskupstwo warmińskie, *biskupstwem ermlandzkiém.*

Jakaż łaska, że *Warszawa* i *Kraków* nie wyszły jeszcze na *Warschaua* i *Krakaua!*

Dosyć tego. Podziwiamy śmiałość, jak z podobném przygotowaniem, albo raczéj, jak z podobnie grubą nieznajomością najelementarniejszych rzeczy i stosunków krajowych, można się rzucać na przekład jakiegobądź dzieła, mianowicie zaś dzieła, jak *Dzieje Röppla*, i pytamy czy przekładem podobnym zamiast przysługi, nie wyrządza się przeciwnie tylko szkody i krzywdy polskiéj publiczności. Nie dosyć, że nam psuje język i przeinacza nazwy miejscowości tendencya teutońska, trzeba jeszcze, by jéj przychodziła w pomoc lekkomyślność własna. Strzeż Boże literaturę naszę na przyszłość od tłómaczeń podobnych do przekładu *Dziejów Polski* Röppla.

Kaźmierz Jarochowski.

Korespondencya do Redakcyi.

Ze względu, że praca moja historyczna, *Sprawa Kalksteina*, była poraz pierwszy drukowaną w „Ateneum," pozwalam sobie prosić szanowną tegoż pisma redakcyą o zamieszczenie niniejszych słów kilku, pracy téj dotyczących.

W Monachium wychodzi dotąd, jak wychodziło dawniéj czasopismo krytyczno-historyczne pod tytułem „Sybels Historische Zeitschrift. Czasopismo to, obejmując swym programem działalność historyograficzną całego ucywilizowanego świata, zawiera także od czasu do czasu sprawozdania z najnowszych publikacyj historycznych polskich, których autorem jest p. Liske, obecnie rektor uniwersytetu lwowskiego. Barwa pomienionego czasopisma jest najwierniéj i najpoprawniéj, według na czasie w Niemczech będącéj recepty politycznéj, germańsko-narodowo-liberalną. Pojmujemy więc bardzo dobrze, że będąc współpracownikiem podobnego czasopisma, nie można swobodnie rozwinąć skrzydeł i powiedzieć tego, coby można i należało gdzie indziéj. Jest jednakże i w obrębie takiego przymusu miara, którą polski i pisarski takt bez trudu własnego a w interesie rzeczy mógłby zachować. Zobaczmy tymczasem, co robi p. Liske w uwzględnieniu stanowiska Syblowego czasopisma, zdając niby to sprawę z méj pracy o Kalksteinie w ostatnim jego kwartal-

niku. Zaczyna swe sprawozdanie od wzmianki o polemice, jaka się przed dwoma z górą laty z powodu téj rozprawy w pismach krakowskich i lwowskich między mną a profesorem uniwersytetu Jagiellońskiego p. Wincentym Zakrzewskim wywiązała, „nie pojmując mojéj przeciw niemu drażliwości“ a przyznając memu przeciwnikowi słuszność, bez przytoczenia przecież spornych między nami punktów. Mniejsza o to, wolno mu stanąć po stronie p. Zakrzewskiego. Skończyć jednakże na wzmiance o téj polemice z dodatkiem, „że Kalkstein według *nas* (t. j. p. Liskego) przedstawiony w zbyt różowém świetle,“ *całe* sprawozdanie z téj pracy i nie powiedzieć o treści jéj i wartości, *skoro* się już ją uważało za godną wspomnienia, ani jednego słowa więcéj, jest aktem grzeczności dla czułych stron niemieckiego czasopisma nieco zbyt daleko posuniętéj. Wszakże sam Droysen w dziele swém *Geschichte der Preussischen Politik* przyznaje, że „postępowanie elektora w téj sprawie nie było bez zarzutu.“ *Polski* zaś sprawozdawca, mówiąc o *mojéj* rozprawie w tym przedmiocie, *skoro* już uznał za rzecz stósowną o niéj wspominać, miał zaiste powód i sposobność coś innego i lepszego o niéj powiedziéć niemieckim czytelnikom, aniżeli o polemice z p. Zakrzewskim, a ku uciszeniu ich możliwego niezadowolnienia rzucić słowo lekceważenia, czy potępienia, na poczciwego Niemca, który umiał godnie umrzéć za Polskę. Dobra jest grzeczność, byle tylko nie zbytnia. Jeśli zaś p. Liske w *Sybels Zeitschrift* nie pojmuje mojéj drażliwości w polemice z p. Zakrzewskim, niechaj zechce miéć ją jeśli nie uniewinnioną, to wytłómaczoną faktem, iż widok historyka polskiego nie uznającego szkodliwości polityki, oddającéj niepotrzebnie Prusy w lennictwo sekularyzowanemu Krzyżakowi, a co większa adwokatującego drobiazgowo gwałtowi elektorskiemu z wyraźną tendencyą poniżenia jego ofiary, która ginie za nasz kraj, nie jest rzeczywiście dla mnie obojętnym.

Nauka dziejowa niechaj służy *prawdzie* ze stanowiska *miłości* narodowéj, choćby ta miłość była miłością gniewu.

Biada jéj, skoro wychodzi na bezduszną anatomią.

Kaźmierz Jarochowski.

KRONIKA NAUKOWA.

Połączenie dwu oceanów.

Wązki przesmyk, a długi, łączy z sobą dwie wielkie połowy amerykańskiego kontynentu. Jest to wielka tama rozdzielająca dwa oceany, Atlantycki i Spokojny. Już zaraz po odkryciu Ameryki, bo w lat czterdzieści potém, w r. 1514, myślano o złączeniu tych dwu olbrzymich zbiorników wód, za pomocą przekopu. Z rozwojem stosunków handlowych z Nowym Światem, myśl ta coraz częściéj zajmowała umysły, daléj patrzéć umiejące. Lecz niezwykłe trudności, które natura tam nagromadziła, odstręczały najzapaleńszych zwolenników. Nie było tak wielkich inicyatorów, jak niegdyś Faraonowie w Egipcie, co budowali piramidy i osuszyć zdołali jezioro Moeris. Dopiéro nasz wiek, w którym sztuka inżynierska doszła do nadzwyczajnego rozwoju, w którym zdołano odważyć się na bajeczne prawie budowy, rozwiąże jak się zdaje i tę od przeszło trzech wieków na porządku dziennym znajdującą się kwestyą.

Twórca kanału Suezkiego, Ferdynand Lesseps, wziął tę sprawę na siebie i dziś stoi ona już blisko swego urzeczywistnienia. Nie minie lat dziesięć, a już stuk tysięcy motyk kopiących kanał rozlegać się będzie w tych okolicach.

Dotąd sprawa kanału przez przesmyk Panamski, traktowaną była dorywczo i wielu podróżników specyalistów z różnych krajów, interesowanych sprawą przekopu, zajmowało się nią niezależnie jeden od drugiego. Od roku 1871 najrozmaitsze wyprawy urządzały się w te okolice, na kongresach geograficznych rozbierano projekta, lecz nigdy nie doszło do praktycznych rezultatów, bo zbyt mało było danych pozytywnych. Żeby ostatecznie rozwiązać tak ogół interesującą sprawę, zwołano kilka lat temu na rok 1879 kongres międzynarodowy, któryby miał wydać sąd ostateczny o korzyściach, któreby taki kanał przynieść mógł i o sposobach jego zrealizowania.

W ciągu kilku lat ostatnich poszukiwania na miejscu były prowadzone ze zdwojoną energią i zbadano dokładnie cały przesmyk (1). Nareszcie w Maju roku 1879 zebrał się kongres w Paryżu, złożony z najpierwszych znakomitości świata, technicznych, naukowych, przemysłowych i finansowych, i po parutygodniowych deliberacyach oświadczono się stanowczo za jednym z kilku projektów proponowanych i omówiono wszystkie jego dobre i złe strony.

W historyi kanału międzyoceanowego, kongres ten stanowi epokę.

Lesseps opisał prace tego kongresu w pierwszym zeszycie *Revue nouvelle* i ztamtąd czerpiemy nasze sprawozdanie.

Przesmyk amerykański ma 2.300 kilometrów długości i ciągnie się w kierunku od północo-zachodu ku południo-wschodowi. Na całéj téj przestrzeni ludność jest bardzo nieliczną (3 mil.) i przeważnie zamieszkującą wybrzeża morskie i rzeczne. Dróg komunikacyjnych lądowych bardzo mało; rzeki służą głównie do przewozu, lecz są one nierówne w biegu i najeżone licznemi przeszkodami. Klimat jest gorący zwrotnikowy, roślinność bujna i tamująca drogę do wnętrza kraju. Środkiem ciągnie się wulkaniczny grzbiet Kordylierów, dochodzący w niektórych miejscach do 4.000 metrów wysokości.

Przez ten wał ma być przebity kanał, dzielący Amerykę na dwie połowy.

Przesmyk w wielu miejscach się zwęża, przedstawia łatwiejsze warunki do wykonania kanału i w skutek tego powstało kilka projektów połączenia obu oceanów, prowadzących linie w różnych szerokościach geograficznych.

Na kongresie podnosił p. Garay delegat Meksyku projekt, dążący do kanału przez Tehnantepec. Długość drogi w tém miejscu wynosiłaby 240 kilometrów i trzebaby było wznieść się aż do wysokości 247 metrów. Żeby okręta mogły się wznosić do takiéj wysokości, trzebaby było budowy sześćdziesięciu szluz, które nietylko pociągnęłyby za sobą olbrzymie koszta, ale nawet uczyniłyby podróż długą i uciążliwą, bo trwającą całych dni dwanaście. Trudno byłoby przepuszczać naraz większą ilość okrętów, a tymczasem obliczono, że trzeba ich przepuścić dziennie pięćdziesiąt, aby kanał się opłacił.

---

(1) Roboty te opowiedziane w pracy p. St. Warnki. Patrz „Ateneum“ r. 1877. T. II i III.

Wielu bardzo inżynierów przemawiało za projektem trasowanym przez Nikaraguę. I rzeczywiście droga tu jest bardzo dogodną. W środku przesmyku znajduje się wielkie jezioro, zasilane licznemi dopływami. Jezioro to wylewa się do Atlantyku wielką rzeką San Juan, lecz niestety nie jest ona dość spławną, i na jéj drodze spotykamy katarakty trudne do usunięcia. Jedna z takich przeszkód jest nawet dziełem ręki ludzkiéj. Gdy piraci często tą drogą wpadali do wnętrza kraju, postanowiono położyć temu tamę, zamykając rzekę. Wrzucono w łożysko w jedném miejscu starych kilka statków, wielkie głazy i pnie drzewne. Te sztuczne przeszkody zniewoliły część prądu do szukania sobie innéj drogi i dziś jeszcze jest pozostała ztąd boczna rzeka, zwana Rio Colorado.

Według projektów tą drogą zmierzających, trzeba byłoby przedewszystkiém uczynić rzekę San Juan spławną, co pociągnęłoby za sobą liczne i kosztowne budowle sztuczne. Najprzód należałoby wybudować dwa porty u obu krańców kanału, na jedném i drugiém wybrzeżu, a potém urządzić liczne szluzy. Pan Blanchet proponował usunięcie kilku szluz, a zbudowanie jednéj olbrzymiéj, któraby zastąpiła wszystkie inne. Za pomocą téj jedynéj, okręta odrazu, w jedném miejscu podnosiłyby się na 32 metry wysokości. Olbrzymie wrota do zamykania prądu rzecznego musiałyby mieć około 7 metrów grubości i ważyłyby około 1.000 tonn (tonna=1.000 kilogr.).

Najważniejszym i najpraktyczniejszym projektem przedstawionym na kongresie, był plan przeprowadzenia kanału przez przesmyk Panamski, opracowany przez panów Wyse i Reclus. Według tego projektu szluz nie potrzeba żadnych. Kanał nie podnosi się w górę, lecz w jednym poziomie łączy oba oceany. Jest to poprostu przecięcie lądu, zrobienie w nim rowu i nic więcéj. Kanał szedłby najprzód doliną rzeki Chagres. Potém wpadałby w olbrzymi tunel przez Kordyliery, tak wysoki, żeby okręta mogły swobodnie przechodzić, a nakoniec przychodziłby do oceanu Spokojnego doliną Rio Grande.

Gdy się ten projekt ukazał na kongresie, odrazu zwrócono nań szczególniejszą uwagę. Tuż koło niego przebiega już teraz równolegle kolej żelazna; byłaby to wielka ulga przy sprowadzaniu materyałów i robotnika. Droga jest krótką bardzo, bo długość kanału wynosi zaledwie 76 kilometrów, a tę przestrzeń okręta mogą przebywać w 36 godzinach. Ponieważ nie ma szluz i żadnych innych sztucznych budowli trudnych do utrzymania w tych krajach, więc przeszkód tamujących drogę nie ma żadnych i rzeczywiście na podstawie tych danych większość przechyliła się na stronę tego projektu. Byłyby tylko dwie większe trudności do przezwyciężenia. Najprzód trudny bardzo do wykonania tunel, który jednak przy dyskusyi na bok usu-

nięto i postanowiono w razie przyjścia budowy do skutku zrobić zwykły przekop przez grzbiet gór. Przykładów tego rodzaju jest już kilka, a szczególniéj jeden na wielką skalę w Desague w Meksyku. Tam przekopano górę 65 metrową, a tutaj wysokość jéj dosięga 87 metrów.

Daléj trzebaby było wziąć w karby dopływy do rzeki Chagres. Są one tak niebezpieczne, że w razie ulewy woda w rzece wzbiera do 6 metrów wysokości i to przez jednę noc. Pan Wyse proponował usunąć to niebezpieczeństwo przez utworzenie na wyżynach olbrzymiego basenu, w któryby dopływy się wlewały. Lecz budowa tego rodzaju jest niezmiernie trudną i kosztowną a przytém jakże niebezpiecznie mieć nad kanałem w wysokości 30 metrów kolosalny zbiornik wody, który przerwawszy w skutek jakiegoś nieszczęścia tamy, zniweczyłby całą pracę i sprowadziłby straszne klęski. To też i tę część projektu usunięto, a natomiast wyrażono życzenie wykopania nowego łożyska dla rzeki i odprowadzenia jéj tą drogą w inną stronę.

Jeszcze kilka innych projektów było na porządku dziennym; lecz ostatecznie jako jedynie odpowiadające wymaganiom uznano dwa, a mianowcie ten, który prowadzi linią kanału przez Nicaraguę i drugi przez Panamę.

Pomiędzy temi dwoma walka prędko była rozstrzygnięta. Wprawdzie projekt przez Nicaraguę miał zaletę taniości, bo wymagał tylko 800 milionów franków, gdy tymczasem panamski potrzebował przeszło miliard; lecz natomiast ten ostatni miał zaletę prostoty i łatwości komunikacyi, nie było w nim szluz, ani innych sztucznych budowli, i w dodatku woda w nim była bieżąca w skutek ciągłéj nierówności poziomów obu oceanów wywołanéj przypływami i odpływami. Ten ostatni warunek gra wielką rolę. Stojące bowiem wody kanału przez Nicaraguę prędkoby zarastały roślinami w tym klimacie tak sprzyjającym florze i trzebaby było nadzwyczajnych trudów, aby go ciągle czyścić. W dodatku podróż trwałaby tylko trzecią część czasu przez Panamę, a okrętów w ciągu jednego dnia mogłaby przejechać liczba nieograniczona.

Tak że ostatecznie po szczegółowych rozprawach przyjęto projekt panamski.

Dotąd rozpatrywaliśmy strony techniczne projektu. Trzeba było jeszcze odpowiedzieć na szereg pytań innych, równie ważnych, bo stanowiących o przyszłości kanału. Trzeba było obliczyć jaki prawdopodobnie będzie ruch statków na tym kanale, jakie ten ruch da przedsiębiorcom dochody. Daléj trzeba było zważyć taryfy mo-

żliwe i nareszcie znaléźć drogę do kapitałów, aby całe dzieło wprowadzić w życie.

Aby na te wszystkie pytania odpowiedziéć, podzielił się kongres na kilka fachowych komisyj, które na podstawie licznych danych, wszechstronnie rzecz zbadały.

Najprzód więc *komisya statystyczna* przedstawiła przypuszczalny obrót towarów, które przechodzić będą przez kanał łączący oba oceany. Najprzód postawiono jako zasadę, że kanał opłaci się tylko w tym razie jeśli dziennie przynajmniéj 50 okrętów będzie przezeń przechodzić. Tego nauczyło doświadczenie zrobione przy eksploatacyi kanału Suezkiego, a ten rezultat może być osiągniętym tylko jedynie przy pomocy kanału przeprowadzonego w jednym poziomie, bez żadnych szluz, których napełnianie i wypróżnianie wiele czasu zabiera. Daléj komisya ta oznaczyła, iż wartość towarów przechodzących przez przesmyk na drugą stronę wynosić będzie w przybliżeniu rocznie jeden miliard i ośmset milionów franków; a ponieważ handel samoistnie wzmaga się w tych okolicach, przez otwarcie kanału więc, ruch ten zdwoiłby się od czasu otwarcia nowéj drogi za lat dziesięć.

Druga komisya nosiła miano *ekonomicznéj* i miała na podstawie dat dostarczonych przez komisyą statystyczną oznaczyć możliwe dochody, wskazać jakie nowe drogi dla handlu się otworzą i jaki wpływ ten kanał mieć będzie na rozliczne interesowane kraje. Przewodniczącym téj komisyi był L. Simonin. W swém sprawozdaniu podniósł on przedewszystkiém olbrzymie skrócenie dróg, jakie się przez kanał otrzymają. I tak od wybrzeży angielskich i fracuzkich liczy się do San Francisco około 5.000 lieues drogi okrążając przylądek Horn. Teraz okręta inną drogą, bliższą, dostać się tam nie mogą i muszą robić ogromne okrążenie koło południowéj Ameryki. Przez kanał Panamski byłoby tylko 1.500 lieues do zrobienia. Na czasie podróży oszczędzonoby dni sześćdziesiąt. Droga tu byłaby przytém bez porównania bezpieczniejszą, bo wymijającą mgły i burze przylądka Horn a odbywająca się w spokojnych masach zwrotnikowych. Już zaraz spadłyby znacznie stopy asekuracyjne. Transportowe koszta spadłyby znacznie w skutek skrócenia drogi i zupełnie nowe gałęzie handlu zostałyby otworzone. Zboże kalifornijskie, drzewa farbierskie, kakao, minerały mogłyby być z zachodnich brzegów w wielkich masach do Europy sprowadzane.

Trzecia komisya *nawigacyjna* niewiele miała do roboty. Wydała tylko opinią ważną, że tunel można budować tylko w ostatecznym razie, gdy inna droga okazałaby się niemożliwą, bo stawiłby on znaczne przeszkody okrętom, szczególniéj żaglowcom.

Ostatnia komisya, tak zwana *dróg i środków* (des voies et moyens) miała na podstawie prac innych komisyj, włączając prace techniczne, orzec ostatecznie o finansowéj stronie projektu i z téj strony wyświecić jego możliwość i korzyści. Ceresole, były prezydent rzeczypospolitéj Szwajcarskiéj, był jéj przewodniczącym. Komisya ta oznaczyła na piętnaście franków taryfę przejścia dla okrętów, od jednéj tonny ładunku. Dochód czysty roczny oznaczono na 42 miliony franków.

Ostateczny wyrok kongresu, który się uformował w rodzaj Jury międzynarodowego, brzmi jak następuje:

„Kongres uważa, że przebicie kanału między dwoma oceanami, w jednym poziomie, tak potrzebnego w interesie handlu i nawigacyi, jest wykonalném, i że ten kanał morski, aby odpowiedział koniecznym warunkom łatwości dostępu i zużytkowania, ma być skierowany od zatoki Limon do Panamy.“

Na 98 członków głosujących, 78 oświadczyło się za tém sformułowaniem rezolucyi, 8 było przeciw a reszta wstrzymała się od głosowania.

Jednakowoż, gdy po skończeniu prac kongresu Lesseps się wziął do utworzenia kompanii kapitalistów, pieniądze czegoś się zlękły i cofnęły, tak że tą razą nie przyszedł ostatecznie do skutku.

Lesseps jednak nie porzucił myśli i niedawno sam pojechał na miejsce, do Ameryki środkowéj, aby jeszcze dokładniéj przestudyować miejscowe warunki.

Nie ulega wątpliwości, że nie dziś, to jutro wielkie dzieło zostanie dokonaném.

Br. Abakanowicz.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Nowy obraz Matejki.—Książęce spory w rodzinie Piastów.—Głód na Szląsku —Salon Ungra.—Sprawy Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy. Brak węgla.– Kto winien?

Przed oczyma naszemi ponura izba: ściany jéj ciemne, odrapane, zupełny brak sprzętów, ciężkie drzwi, w zamku których tkwi pęk kluczów, krzyż na wmurowanym kamieniu wyryty, jedyne okno, wpuszczające światła tak skąpo, że nie wszystkie rozwidnia kąty, sprawiają na patrzącym wrażenie już to opustoszałéj celi klasztornéj, już więziennéj ciemnicy. Wrażenie to nie omyliło nas: izba jest obecnie celą i więzieniem, budowano ją dla mnicha, los osadził w niéj jeńców. Jest ich dwoje—niewiasta i chłopczyk. Na obliczu matki widać bruzdy, które i ciężkie doświadczenie i niepewność jutra wyryła; twarz chłopca wyraża dziecinną swobodę, niepamiętną wczorajszego smutku a uśmiechniętą do jutrzejszéj nadziei. Siedzącemu na kolanach matki dziecku o tę nadzieję, nawet w więzieniu, nie trudno; nie baczy więc wcale na to, co w izbie się dzieje, i widzi już w niedalekiéj przyszłości na swém czole książęcą koronę, gdy ukradkiem paluszki jego bawią się leżącym na przymurku owym złotym najwyższéj władzy symbolem.

Ale matka daleką jest od téj swobody syna; dla niéj nadeszła stanowcza chwila, groźniejsza aniżeli wszystkie doznane już klęski, chwila mogąca połamać najlepiéj ułożone plany i odjąć wszelką nadzieję. Bo oto drzwi więzienia się rozwarły i wkroczył do izby ten, który losy jéj i syna w swych ręku obecnie trzyma. Mąż to w szkarłatnych szatach, w czapce książęcéj, z mieczem u pasa; dumnie ujął się pod boki i wzrokiem tryumfu uwięzioną niewiastę mierzy. Jest to książę Konrad, zdawna panujący na Mazowszu i Kujawach, a od lat kilku niczém niezbyty pretendent do spadku po bracie swym Leszku Białym. Książę Mazowiecki zdołał już przyłączyć do swych dzier-

żaw Łęczycę i Sieradz, odebrał ziemię krakowską księciu Henrykowi Brodatemu z Wrocławia, a ziemię Sandomierską wdowie Leszka Grzymisławie i synowi jéj małemu Bolesławowi; niebawem jednak utracił obie te zdobycze. Nie mogąc odzyskać napowrót Krakowa, powetował obie na bratowéj. Zaprosił ją na wieca, tu zdradziecko schwytał, Sandomierz oddał swemu synowi, a Grzymisławę, óćwiczoną rózgami, w klasztorze benedyktynów sieciechowskich wraz z dzieckiem w więzieniu osadził. Teraz przychodzi poić się swym tryumfem, przekonać czy mocne zamki, czy kraty dość gęste, aby ucieczce jeńców przeszkodziły.

Jakież to zmienne koleje przechodziła w swém życiu księżna. Kiedy przed dwudziestu z górą laty córka Ingwara Jarosławica, nie zbyt możnego księcia, którego los co chwila przerzucał z Drohobuża do Kijowa, z Łucka do Włodzimierza i znowu do Łucka,—kiedy Grzymisława ślubowała Leszkowi, małżonek jéj był najpierwszym i najpotężniejszym władcą między Piastami, wola jego stanowiła o losie książąt wołyńskich i halickich, a oręż sięgał w jednę stronę do Seretu, w drugą do jezior pruskich. Wódz wojsk Leszkowych Sulisław Bernartowic patrzał na to gdy sprzymierzeni z nim Haliczanie wieszali swych książąt Igorewiców. Teraz wszystko fatalnie się dla Grzymisławy zmieniło. Mąż jéj, Leszek, zginął gwałtowną śmiercią w Gąsawie, zostawiwszy nieletniego syna, którego prawa trzeba było bronić przeciw rozszczącym sobie pretensye do Krakowa spółzawodnikom.

Trzech książąt wystąpiło naraz z temi pretensyami, każdy opiérając się na swém starszeństwie w rodzie. Pierwszym z nich a najbliższym krewnym, bo rodzonym stryjem sierotki, był Konrad; ten był najstarszym członkiem najmłodszéj wprawdzie linii Piastowiców, ale ta linia z woli narodowéj i potwierdzenia papieskiego wyłączne miała do Krakowa prawo. Konrad jednak osobiście wstrętny był krakowianom, a gwałtowność jego charakteru i Grzymisławie czyniła go nie bardzo pożądanym. Książę Władysław Laskonogi był drugim pretendentem, jako przedstawiciel linii starszéj, wielkopolskiéj Temu sprzyjała starszyzna krakowska, jeno że trudno mu było walczyć naraz z jednéj strony z własnym synowcem Odoniczem, z drugiéj—z Konradem, wspieranym przez Daniela wołyńskiego. Nareszcie, najprzebieglejszy z Piastów, Henryk książę wrocławski, głowa szląskiéj dzielnicy, najstarszéj, ale zdawna odsądzonéj od Krakowa, wziął udział w tém spółubieganiu, aby odzyskać prawa utracone przez swego dziada. Każdy z trzech pretendentów znajdował między panami mniéj lub więcéj szczerych popleczników. Kraj więc ogarnęła kilkoletnia zawierucha. Wśrod tak sprzecznych prądów,

księżna Grzymisława zbyt słabe miała siły, a stronnicy jéj nie dość wiernemi byli sługami, aby mogła przeważnie wpływać na kierunek wypadków. Stcsowała się więc do zmiennych okoliczności, kierując łódź swéj polityki według panującego w danéj chwili wiatru, najmniéj jednak mając skłonności zawinięcia do mazowieckiego portu, poddając raczéj żagle podmuchom polityki szląskiéj. Stało się tedy, co często w podobnych zawikłaniach zdarza się: dwaj potężni przeciwnicy podzielili się tém, czego żaden w całości dla siebie zatrzymać nie był w stanie, a Grzymisława znalazła się z synem w niewoli u Konrada. Położenie księżny było okropném. Konrad tym kilkoletnim oporem rozjątrzony, Konrad, który dał już kilkakroć wcale niedwuznaczne dowody gwałtowności swego charakteru, wchodzi teraz do więzienia bratowéj, a mnicha, który mu służył za przewodnika, odprawia. Czy on tu przyszedł z mieczem, aby wśród niemych murów śmierć obu więźniom zadać? Wszak Konradowa żona Agata jest córką powieszonego przed laty Igorewica Świętosława; Agata, która niby druga lady Mackbeth, była złym duchem swego męża, czemużby nie miała Konradowi natchnąć uczucia swéj zemsty? Ta myśl mogła się chwilowo przez głowę stroskanéj matki przesunąć, ale ją odepchnęła; rozpacz z jéj oczu nie patrzy. Księżna zna swego szwagra; wié, że Konrad może w piérwszéj gwałtowności gniewu skazać kogoś na szubienicę, jak się to przed laty stało z wojewodą Krystynem, jak za lat parę stanie się z Janem scholastykiem płockim, ale uczyni to o jasnym dniu, jawnie, nie ukrywając swego postępku przed światem. Konrad jest księciem starego pokroju, gwałtownym wprawdzie, ale barbarzyńcą nie przyjmującym wynalazków cywilizacyi zagranicznéj, włoskiéj trucizny, lub uderzającego w ciemnościach sztyletu. Konrad jest prostak tylko, nie umié szlachetnie używać uzyskanéj nad wdową przewagi: mając ją w swych rękach, przychodzi jéj urągać może. „Mościa księżno bratowo!“—ozwie się do Grzymisławy—„zapomniałaś o przysłowiu, że u niewiasty długie włosy, ale rozum krótki. Zawierzyłaś przyjaźni wrocławskiego Brodacza! Czy nie wiesz, że on jest wspólnym naszym wrogiem. Chce on naszę wolność zaprzedać Niemcom, ażeby podatkami innych użył swojéj u nich niewoli. On zawsze dybie na nasze zgubę, aby, czego Boże uchowaj, sam zagarnął całe panowanie. Dla tego, tak przebiegle między nami siał niezgody, dla tego iskry zasianych tajemnie podniecał. A teraz siedzi sobie Brodacz w Krakowie, a ty, mościa księżno, siedzisz w Sieciechowie. A posiedzisz, póki ja zechcę.“

Miał Konrad słuszność, ta słuszność jednak nie mogła w téj chwili znaléść posłuchu w sercu Grzymisławy. I ona była starego

pokroju księżną, skłonną do gwałtownych wybuchów. Wyrzucała więc ostro szwagrowi, że małego synowca w murach więziennych gnębi. To przypomniało księciu mazowieckiemu główny cel jego przybycia: obejrzéć klatkę, czy dość bezpieczna, aby schwytane ptaszki z niéj się nie wymknęły. Może go doszły jakie w tym względzie niepokojące wieści, może żywa odpowiedź Grzymisławy podejrzenia jego podnieciła, bo właśnie odchodzący z izby zakonnik daje księżnie ostrzegające znaki, aby hamowała język w gniewie. I poskutkowała przestroga.

Księżna z dziecięciem, przy pomocy benedyktynów, wymknęła się szczęśliwie z niewoli niebawem, owo zaś dziecię, Bolesław zwany Wstydliwym, w dwadzieścia lat późniéj nadał Świętosławowi opatowi sieciechowskiemu, w nagrodę zasług, różne przywileje.

A ów Brodaty Henryk, zasiadłszy w Krakowie, panował w nim do śmierci i tron zostawił synowi. Wnuki jednak jego nie osiedzieli się na przywłaszczonéj ziemi; a w swojéj własnéj, dziedzicznéj ziemi szląskiéj rządy sprawowali w ten sposób, że się sami wynarodowili, zniemczyli i szlachtę za swym przykładem pociągnęli; że w nieustających zatargach ludność krajową zubożyli, wytępili i kraj niemcami zalali. Tylko ta część ziemi nadodrzańskiéj, która potomkom Henryka Brodatego nie podlegała,—Szląsk górny—zachowała dotychczas swoję narodowość niepokalanie w masach ludności wiejskiéj i w małych miasteczkach. Kraina ta przechodziła przez najrozmaitsze koleje. Miała swoich książąt niezależnych, dostała się pod zwierzchnictwo Czechów, była pod panowaniem austryackiém, aż w końcu Fryderyk II po długoletnich bojach przyłączył ją ostatecznie do państwa pruskiego.

Jest to kraina o ziemi po większéj części ubogiéj, nie zbyt żyznéj. Obecny nieurodzaj ściągnął na nią klęskę głodu, głodu o jakim nasz kraj nie ma pojęcia. Surowość zimy jest ową kroplą, która kielich nieszczęść Szlązaków przepełniła. Skoro wieści o tém do Warszawy doszły, redakcya „Ateneum" zgłosiła się do p. Karola Miarki w Mikołowie, redaktora pism „Katolika", „Moniki" i „Poradnika Gospodarczego", wielce gorliwego krzewiciela oświaty ludowéj, zapytując o rozmiary klęski i drogę na jakiéj pomoc może być niesioną. P. Miarka zawiadomił redakcyą, że *Zarząd Górnoszląskiego Towarzystwa Włościan* został obrany jako *centralny komitet głodowy*, którego kasyerem jest p. Józef Nieradzik, kupiec w Mikołowie (Nicolai, Ober-Schlesien, Preussen). Do niego więc wsparcia przesyłane być mogą. Prócz tego redakcya „Ateneum," na równi z redakcyami innych pism peryodycznych warszawskich, na mocy upoważnienia władzy, chętnie

pośredniczyć będzie w przesyłaniu składek, któreby na jéj ręce złożone zostały.

Zawiadamiając o tém czytelników naszych, mamyż jeszcze za pośrednictwem tkliwych frazesów odzywać się do ich serc i o datki dla głodnych i zziębłych biedaków upraszać? Kto dowié się o ogromie téj nędzy, jeżeli sam głodu nie cierpi, z pewnością choćby grosz wdowi dorzuci, a za te grosze Szlązacy chléb będą mieli. Spieszcie tylko z ofiarami, bo głód nie czeka.

Plaga głodowa przerwała nam sprawozdanie o ostatnim obrazie Jana Matejki, bo o nim właśnie mówiliśmy na początku. Mistrz krakowski w obrazie Konrada, odwiedzającego Grzymisławę w więzieniu, z właściwym sobie talentem przedstawił scenę, któréj lubo historya faktycznie nie zapisała, nie mniéj jednak pełną prawdy duchowéj, a tém samém mocno zajmującą uwagę. W salonie artystycznym p. Ungra, oprócz obrazu Matejki, godne są obejrzenia liczne prace Gottlieba, prace, których wykończeniu przeszkodziła, niestety, przedwczesna śmierć młodego artysty. W dwóch jego obrazach „Chrystus nauczający w Kafarnaum“ i „Chrystus przed sądem“ naszym oczom przedstawia się szczęśliwe połączenie idealizmu z realizmem. Ostatnia praca Gryglewskiego „Sala w ratuszu Gdańskim“ odznacza się perspektywą, wykończeniem i jakiémś ciepłem, które martwym ścianom zdaje się życie nadawać. P. Czachurski dał nam świetny obraz „Hamleta z aktorami.“ Zręczna kompozycya, poprawność rysunku, elegancya wykończenia, łudzące oddanie natury we wszelkich szczegółach, a nadewszystko figura deklamującego aktora i twarz słuchającego Hamleta, przykuwają do siebie oczy widza. Czytasz na twarzy księcia, jak silnego doznaje wrażenia, jak żywo w wyobraźni sobie przedstawia deklamowaną scenę, i sam duchowy bierze w niéj udział. Nie dziw przeto, że obraz ten nagrodzony został medalem.

Na ogólném zebraniu Towarzystwa Kredytowego m. Warszawy przy końcu roku 1878 zapadła uchwała, mocą któréj właściciel nieruchomości, któréj dochód od czasu otrzymania pożyczki podniósł się o 1/4 część, może żądać przeszacowania nieruchomości i ustanowienia nowéj cyfry pożyczki, bez względu na wysokość pożyczki dawnéj.

Uchwała ta wywołała obawę pomiędzy właścicielami listów zastawnych, którzy pokładając zupełne zaufanie do osób kierujących sprawami Towarzystwa Kredytowego, pragnęliby jednak, ze względu na zajść mogące zmiany w osobistym składzie władz Towarzystwa,

mieć gwarancyą bezpieczeństwa listów zastawnych nietylko w osobach, ale i w ustawie.

Gdyby uchwała powyższa wywierała skutki swe tylko na przyszłość, jak to w dyskusyach nad tym przedmiotem na ostatniém ogólném zebraniu mylnie zaznaczono, popłoch byłby rzeczywiście nieuzasadniony, gdyż każdy kupujący nowy list zastawny wiedziałby na jakich warunkach list ten jest wypuszczony, i tém samém akceptowałby warunki emisyi; obawa ztąd głównie powstała, iż uchwała powyższa rozciąga swe skutki nietylko na przyszłość, ale i na przeszłość, co jest przeciwne kardynalnym zasadom umów.

List bowiem zastawny nie ma specyalnéj hipoteki na danéj nieruchomości; bezpieczeństwo wszystkich wypuszczonych przez Towarzystwo listów zastawnych rozciągnięte jest wspólnie na wszystkich zastawionych nieruchomościach, tudzież na wspólnym kapitale zasobowym; listy przeto wcześniéj wydane nie mają przywileju, ani pierwszeństwa hipotecznego przed listami późniejszemi, i wszystkie bez względu na epokę ich wypuszczenia, póki znajdują się w obiegu, dzielą wspólny los.

W Towarzystwie Kredytowem Ziemskiém dobra stowarzyszone odpowiadają wspólném poręczeniem tylko za te dobra, które zaciągnęły pożyczkę téj saméj co one seryi resp. okresu, na dobra zaś, które korzystały z pożyczki innéj seryi resp. okresu, odpowiedzialność ta nie rozciąga się. W ustawie Towarzystwa Kredytowego m. Warszawy przepisu takiego nie znajdujemy, a redaktorowie przepisów o pożyczkach dodatkowych i odnowionych zasady téj również nie uwzględnili; list przeto zastawny miejski późniejszéj seryi ma oparte bezpieczeństwo hipoteczne i na nieruchomości, która otrzymała pożyczkę w listach wcześniejszéj seryi, a tém samém wszystkie wpływy, które niekorzystnie oddziaływają na listy zastawne jednéj emisyi oddziaływają na listy wszystkich innych emisyj.

W ten sposób pożyczki z przeszacowania nie pozostaną bez wpływu na listy zastawne, pochodzące z epoki uprzedzającéj uchwałę, zapadłą w przedmiocie udzielania nowych tych pożyczek.

Takie jednostronne stanowienie o prawach już nabytych przez właścicieli listów zastawnych, takie decydowanie *de me sine me*, mogło wywołać uzasadnioną obawę w łonie właścicieli listów zastawnych, i wniosek 31 stowarzyszonych, pojmujących obowiązki, jakie ciążą na sumiennym dłużniku względem jego wierzycieli, o dopuszczeniu właścicieli listów zastawnych do przynależnego im udziału w naradach i postanowieniach władz Towarzystwa, a w szczególności przy zmianach ustawy, nie powinien był być ani tak surowo krytykowany przez prasę, ani tak lekko traktowany przez władze Towarzystwa,

ani wreszcie tak stanowczo odrzucony, jak to miało miejsce na ostatniém ogólném zebraniu Towarzystwa.

Argumenty, które przytoczone były przeciwko wnioskowi, nie wytrzymują krytyki. Redaktorowie ustawy o Towarzystwie Kredytowém Miejskiem wprowadzili do niéj komitet właścicieli listów zastawnych, który przy zatwierdzeniu ustawy przez władzę pominięty został; kierownicy przeto instytucyi, którzy wiernie zachowują tradycye jéj założycieli, nie powinni byli przedmiotu tego lekceważyć. Mylą się téż władze Towarzystwa twierdząc, iż w podobnych instytucyach w Cesarstwie nie ma reprezentacyi właścicieli listów zastawnych.

Przy banku ziemskim Chersońskim, udzielającym pożyczki na nieruchomości tak wiejskie jak i miejskie, istnieje komitet właścicieli listów zastawnych, a w najpoważniejszéj z instytucyi kredytu Cesarstwa: Towarzystwie Wzajemnego Kredytu Ziemskiego, właściciele listów zastawnych są równouprawnieni ze stowarzyszonymi na ogólnych zebraniach. Tak samo w Towarzystwie Kredytowém m. Moskwy: każdy posiadacz listów zastawnych na 5.000 rubli ma na ogólnych zebraniach równy głos ze stowarzyszonymi. W ostatniém tém Towarzystwie stowarzyszeni wystąpili przed rokiem do władzy rządowéj z żądaniem ograniczenia wpływu właścicieli listów zastawnych, ale żądanie to uwzględnioném nie zostało. Z tego się okazuje, że obecnie pogląd władz rządowych na ten przedmiot jest inny, aniżeli w chwili zatwierdzenia ustawy naszego Towarzystwa, i wyrażona wątpliwość co do zyskania zatwierdzenia rządowego nie okazuje się uzasadnioną.

Powołującym się na praktykę Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i dotychczasową bezczynność znajdującego się przy niém komitetu, należy przypomniéć głos ogółu, który niedawno bardzo dobitnie się upominał, aby urząd prezesa komitetu właścicieli listów zastawnych, będący dotychczas synekurą, zamieniony został na urząd czynny i żywotny; należy ich nadto zawiadomić i o tém, iż władze Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, czując potrzebę ożywienia działalności komitetu właścicieli listów zastawnych, w projekcie nowéj kodyfikacyi ustaw Towarzystwa z własnéj inicyatywy wprowadziły prezesa tego komitetu na posiedzenia władz Towarzystwa. Z tém poszanowaniem praw wierzycieli, ze strony starszéj instytucyi kredytowéj, któréj półwiekowa przeszło pełna chluby działalność powinna służyć za wzór do naśladowania dla młodych w kraju instytucyj, bynajmniéj nie licuje niechęć, jaką okazało Towarzystwo Kredytowe Miejskie dla zasady uwzględnienia praw swoich wierzycieli.

Sprawy wewnętrznego urządzenia towarzystw kredytowych dotyczą interesów bardzo ważnych, jednakże zgoła niepilnych ani naglących; wieść o głodzie na Szlązku odbija się boleśnym echem w mieście i w kraju, ale echem tylko; tymczasem brak węgla w Warszawie daje, a przynajmniéj dawał się czuć najdotkliwiéj wszystkim mieszkańcom Warszawy, obudził wcale poważny niepokój o ten główny artykuł potrzeb zimowych każdéj rodziny i wywołał narzekania całéj publiczności.

Publiczność i publicyści, którzy chcieli jéj dogodzić, albo mieli zamiar wyjaśnić tę kwestyą, szukali winowajcy, na którego złożywszy winę, mogliby się uspokoić. Człowiek tak gwałtownie potrzebuje znać przyczyny faktów i zjawisk, iż przy największém grożącém mu niebezpieczeństwie, skoro zdaje mu się, iż odkrył jego przyczynę, zaczyna się powoli uspakajać, bo zaczyna mieć do czynienia z wiadomemi czynnikami, przeciwko którym może już działać. Pomimo jednak głośnych okrzyków i pilnego badania, nie zdaje nam się, aby winowajcę odkryto, aby go publiczność rozpoznała. Obwiniono właścicieli kopalń, utrzymujących składy węgli i zarząd kolei Warszawsko-Wiedeńskiéj. Że jednak kopalnie węgla nie są w ręku jednego człowieka, a składy nie należą do jednego handlarza, trudno było całość winy zwalić na nich. Kolej Warszawsko-Wiedeńska to jedyna droga, po któréj dotąd węgiel przychodził do Warszawy, na jéj więc zarząd powstano najsilniéj, bo najłatwiéj go było obwinić; zapomniano jednak przy tém, że zarząd kolei nie ma obowiązku czuwania nad zapasami węgla w mieście, i że główny robiony mu zarzut używania zbyt wielkiéj ilości wagonów pod przewóz zboża zdaje się być pozornym tylko, bo zboże przewozi się od Warszawy do Sosnowic, kiedy węgiel idzie w kierunku od Sosnowic do Warszawy, i mógłby być ładowanym na wagony opróżnione ze zboża w Sosnowicach. Nam się zdaje, że powodów téj katastrofy, a zatém i winnego czy winnych szukać należy bliżéj nas samych, a tylko głębiéj nieco. Winne temu: nasza własna nieoględność, w całym społeczeństwie tak równomiernie rozszerzone nieobliczanie się ze środkami i siłami, niepamiętanie o jutrze i życie z dnia na dzień. Społeczeństwo nasze obchodzi się dotąd bez zapasów, bez zasobu, każdy z nas rad bardzo jeżeli ma przed sobą na kilka dni zabezpieczone potrzeby, o dalszéj przyszłości nie myśli. Kiedy bieda nas zaskoczy, umiemy znieść ją bez wielkiego i zbyt głośnego narzekania, ale jak téj biedy nie dopuścić do siebie, jak jéj zapobiedz, na ten stopień wysilenia myśl nasza nie lubi się wznosić, zostawujemy tę pracę teoretykom, doktrynerom, a my sami: ot przeżyliśmy dotąd, to i nadal *jakoś to będzie.*

We Francyi panuje powszechny obyczaj odkładania na bok zaoszczędzonéj części dochodu; tam człowiek, który cały swój przychód spożywa na potrzeby bieżące, nazywa się utracyuszem. U nas człowiek, który w ciągu roku nie wyda więcéj niż ma, nazywa się oszczędnym, skąpym niemal, a rozrzutnym nazwiemy takiego tylko, który w ciągu lat dwóch czy trzech stracił majątek po rodzicach odziedziczony. Jakiż skutek takiego obyczaju? Oto kapitał czy zasób nie może się w rękach ludzi gromadzić, kraj nie wzbogaca się stale, a tylko wśród okoliczności pomyślniejszych więcéj spożywa, wśród biedy kurczy się cokolwiek w wydatkach.

Mickiewicz, przeżywszy lat kilkanaście we Francyi, powiadał odwiedzającemu go rodakowi: „Tam w kraju nie macie wyobrażenia co to jest pracowitość, u nas pracuje tylko chłop, a i ten nawet jest próżniakiem w porównaniu z pierwszym lepszym mieszczaninem francuskim, cóż mówić o innych klasach społeczeństwa.“ Jeżeli zestawimy ze sobą małą skłonność do pracy i nieoględność czyli wstręt do oszczędzania, łatwo dopatrzymy przyczyn: dla czego kraj nie jest bogatym; dla czego nie ma kapitałów; dla czego wszyscy pragną kredytu, a mało kto udzielić go może; dla czego nakoniec lada drobna okoliczność naraża wielkie miasto na zimno, a może i na głód narazić. Nie ma kapitału dostatecznego do urządzenia i stałego utrzymywania wielkich zapasów żywności, wielkich składów na przedmioty najniezbędniejsze w codzienném życiu. Przychodzą liczne zamówienia na wyroby przemysłu miejscowego, ale nie można im zadość uczynić, bo nie ma kapitału na urządzenie produkcyi na szerszą skalę. Powiadają, że w Warszawie w dniu jednym nie można znaléść pięciuset par butów gotowych, a przecież Warszawa ma więcéj trzechset tysięcy ludności. Warszawa zakupuje zboże w Cesarstwie i ekspediuje takowe zagranicę, a jednak nie ma w Warszawie składów na zboże; więc kupcy nasi zgrywają w tym handlu tylko rolę faktorów, a nie mogą wznieść się do stanowiska poważnego w europejskim handlu zbożowym; dla czego? bo nie ma pięciu czy sześciuset tysięcy rubli na wybudowanie kilku składów na zboże.

Potrzeby tymczasem mnożą się i komplikują w miarę wzrastania ludności w mieście i w kraju, tak że nie wielka ilość kapitałów, którą rozporządza kilkunastu może tylko ludzi, zaledwo wystarcza na opędzenie potrzeb najpilniejszych handlu i rodzącego się przemysłu. Kapitalistów mamy niewielu, znajomość finansowych obrotów bardzo mało u nas rozpowszechniona, pocieszamy się więc narzekaniem na kapitalistów, na finansistów, że wyzyskują społeczeństwo, posądzamy ich o nie wiadomo jakie zachcianki panowania i przewodzenia.

W każdéj gromadzie ludzkiéj ten co ma w swym ręku siłę, będzie też miał pewien rodzaj pierwszeństwa przed innymi. Za czasów barbarzyńskich siła ta wyrażała się poprostu mocą pięści i zręczności ruchów, późniéj siłę tę dawało czy raczéj gwarantowało posiadanie ziemi, dzisiaj główną jéj sprężyną stał się kapitał; pomimo więc wszelkich narzekań i utyskiwań na niecny kapitał, każdy kto go potrzebuje, będzie mu się zasługiwał. Jedyny zaś możliwy sposób bronienia się od monopolu kilku kapitalistów — to pilne staranie około rozmnożenia kapitału, który wzrastając rozdzieli się pomiędzy większą liczbę rąk, wywoła współzawodnictwo i zabezpieczy nas od przewagi kilku.

Wracając do węgla, czy fakt podobny niedostatku mógłby nas zaskoczyć, gdyby kilku kapitalistów trzymało na składzie kilkumiesięczny przynajmniéj zapas tego materyału na potrzeby miasta? A nawet w braku takich składów, jeżeliby połowa z pomiędzy zamożnych mieszkańców Warszawy miała zwyczaj zakupowania z jesieni zapasu węgla na całą zimę, nigdyby do podobnego niedostatku dojść nie mogło; bo składnicy widząc stopniowo wyczerpujące się zasoby węgla, o wiele energiczniéj staraliby się o zapełnienie na nowo swych składów; wprawdzie silne mrozy nastały zbyt wcześnie, jednakże w połowie Listopada ludzie zamożni powinniby już porobić zapasy na zimę, szturmowanie handlarzy do kopalń i do zarządu kolei zaczęłoby się już o kilka tygodni pierwéj, i sprawa mogłaby być załatwioną bez narażenia ludzi ubogich na zimno dotkliwe, a ludzi dostatnich na większe koszta.

Rozprawiamy ciągle o potrzebie rozwijania przemysłu, narzekamy na brak przedsiębiorczości, a widziéć nie chcemy, że przedsiębiorczość bez przezorności i pracowitości, bodaj klęską a nie dobrodziejstwem byłaby dla społeczeństwa, bo narażałaby go na wysilenia, nie doprowadzające do rezultatów pomyślnych. Narzekamy na Żydów, że wyzyskują kraj nasz cały, a nie chcemy pamiętać, że wyzyskiwać można tylko tego, kto o własnych siłach stać nie może, lub nie umié, lub o to nie dba; że lichwiarz straszny tylko temu, kto myśl o jutrze do ostatniéj chwili odsyła. Żadne zresztą społeczeństwo nie potrafiło dotąd obronić się od lichwiarzy jakiegokolwiekbądź wyznania, a to dla tego: że w każdym są ludzie nieoględni, nie umiejący ograniczyć swych potrzeb stosownie do środków; są nieumiejętni, którzy sami sobie radzić nie mogą lub nie umieją; są biedni, którym środki ich i zarobki nie wystarczają na utrzymanie życia. Ludzie tacy są wszędzie, wśród najbogatszych i najwyżéj wykształconych narodów, ale chodzi o stosunek ich liczebny do ludzi umiejętnych, oględnych, pracowitych i zamożnych, którzy pamiętają o jutrze, cią-

gle pomnażają swój zasób i przeto dają możność społeczeństwu wzbogacać się i wzmacniać.

Gdzie więcéj pracowitych, tam kraj bogaty, gdzie więcéj nieprzezornych, tam kraj ubogi. I tu i tam znajdują się lichwiarze, znajdą się tacy, którzy wyzyskiwać innych zechcą i potrafią zapewne, ale będą to fakta nie sięgające daleko, nie mające znaczenia klęski społecznéj, skoro większość społeczeństwa nie podda się podobnym wpływom. Dla tego to narzekania zbyt głośne na podobnego rodzaju biedy są bodaj dowodem, że u nas mniejsza niż gdzieindziéj jest liczba ludzi pracowitych i przezornych.

Miasta nasze niedawno dopiéro zaczęły wzrastać, przemysł większy zaczyna tylko się rozwijać, obyczaj nasz życia w małych kupkach, a nawet pojedyńczo po wsiach, nie mógł nauczyć nas przezorności na wielką skalę, bez któréj żadne większe zbiorowisko ludzi obejść się nie może, bo mu codziennie ta lub owa klęska grozić będzie. Dla tego to fakt braku węgla w Warszawie powinienby otworzyć nam oczy na te niebezpieczeństwa, nie powinienby on przebrzmiéć bezowocnie w narzekaniu na zarząd kolei, lub na kilku kupców, którzy drogo węgiel w dniach niedostatku sprzedawali; a powinienby zwrócić uwagę naszę na to, że gdzie żyje blisko czterech set tysięcy ludzi, tam każdy drobny fakcik może stać się ważną sprawą, bo może wielką ilość ludzi obchodzić i dotykać w najniezbędniejszych potrzebach. Powinienby nam nakoniec żywo przypomniéć niedostatek w kraju kapitału, a zarazem doprowadzić do zastanowienia się nad tém, że naród, mający ambicyą stać w szeregu narodów cywilizowanych, musi pielęgnować u siebie dwa pierwsze składniki, dwa pierwotne elementa wszelkiéj cywilizacyi i wszelkiego wykształcenia ludzkiego: niemarnowanie sił własnych tj. pracowitość, i właściwe użycie tego co te siły wyrabiać są zdolne tj. przezorność.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor, **J. Trejdosiewicz.**